

WSZYSTKO, CO CHCIELIBYŚCIE WIEDZIEĆ O **KORONAWIRUSIE**,
ALE WSTYDZICIE SIĘ ZAPYTAĆ

wprost

do Ciebie



**CHOROBA
KTÓRA ZMIENI ŚWIAT**



**Marcin
Dzierżanowski**

redaktor naczelny
m.dzierzanowski@wprost.pl
@DzierzanowskiM

**Nie wiemy, w jakim
świecie obudzimy
się jutro. Jedno jest
pewne – będzie to
inny świat**

Wprost do Ciebie

Obyś żył w ciekawych czasach – to stare, nomen omen – chińskie przysłowie nie jest bynajmniej życzeniem, lecz przekleństwem. Żyjemy w czasach nie tylko ciekawych, ale i nieco przerażających, bo nas, ludzi XXI wieku, przeraża wszystko, nad czym nie mamy kontroli. Przyzwyczailiśmy się wszak, że mamy wpływ na wszystko – życie nasze i naszych bliskich, na to, gdzie i kiedy jedziemy na urlop, z kim spędzamy wolny czas, na co wydajemy pieniądze. I nagle wszystkie te pewniki zostały zakwestionowane. Niespodziewanie, bez zapowiedzi, bez czasu na to, by w jakikolwiek sposób na nową rzeczywistość się przygotować. Koronawirus przyszedł do nas jak złodziej – niespodziewany i niechciany.

Najgorsze jest to, że nie wiemy, w jakim świecie obudzimy się jutro. Jedno jest pewne – będzie to inny świat. Czy na pewno gorszy?

Kto wie, czy – paradoksalnie – dzięki temu, co przeżywamy, świat nie spowolni. Nowa rzeczywistość sprawi, że zacieśnimy swoje więzi z bliskimi, zmniejszy konsumpcję i eksploatację świata. Sprawi, że nowe technologie będą bardziej służyć nam, niż my im.

Musimy wierzyć, że tak będzie. Tym bardziej, że na razie nie jest nam wszystkim łatwo. Wiem, że to jakaś kropla w morzu Państwa zmartwień, ale ten inny świat dotyczy także nas, dziennikarzy. Okazuje się bowiem, że w dobie koronawirusa nawet kupienie gazety w kiosku czy saloniku prasowym (z których dużą część po prostu zamknięto) może być problemem. Dlatego postanowiliśmy przygotować Państwu wydanie specjalne „Wprost”. Nie musicie już wychodzić z domu, żeby nas kupić i przeczytać. My przychodzimy do Was!

W najnowszym, elektronicznym numerze szczególnie polecam wywiad Pawła Bednarza z ministrem zdrowia Łukaszem Szumowskim. – Robię wszystko co w mojej mocy, by w Polsce nie powtórzył się włoski scenariusz – mówi minister.

Z kolei Szymon Krawiec pokazuje ciemną stronę epidemii. Obok fali solidarności, w tym trudnym czasie, jaki przyszło nam przeżywać, nie brakuje pseudobiznesmenów, którzy próbują nieuczciwie zarobić na chorobie i trudnej sytuacji, w jakiej znalazła się służba zdrowia.

Na koniec, ku pokrzepieniu serc, proponujemy Państwu dziesięć wywiadów o dobrych uczuciach. Jedno jest bowiem pewne – niezależnie od tego, co zmieni się w świecie po epidemii, dobre uczucia przetrwają! <



Niespodziewana w swoim zasięgu epidemia koronawirusa COVID-19 zdewastowała i przeorganizowała nasze życie społeczne i państwowe. Zmusiła nas do nowych zachowań, innej organizacji życia i pracy zawodowej. Brak wiedzy o rozwoju choroby skazuje nas na pełne niepokoju oczekiwanie. To nie jest łatwy czas dla Polaków. Tym ważniejsza jest pełna, rzetelna i wiarygodna informacja, którą przekazuje czytelnikom prasa – w wydaniach papierowych a także za pośrednictwem mediów elektronicznych. Jej rola w czasie pandemii jest szczególna. Tylko prasa dostarcza wiedzy pogłębionej, eksperckiej, opartej na wielu źródłach. Na dodatek, w przeciwieństwie do radia i telewizji, forma przekazu treści jest trwała, można do niej wielokrotnie wracać. Gazety i czasopisma docierają i powinny docierać do każdego zakątka kraju. Dokładamy wyjątkowych starań, by tak właśnie było. Nie zrezygnowaliśmy z dyżurów dziennikarskich, nie godzimy się na obniżenie jakości naszej pracy, działamy wbrew wszelkim przeciwnościom. By jednak nasza praca była owocna, potrzebujemy współpracy czytelników. Namawiamy do kupowania prasy, do podejmowania prenumeraty, do zapoznawania się z naszą ofertą online. Tam, gdzie nie dociera prasa papierowa, sugerujemy, by korzystać z wydań elektronicznych. Oferują je już niemal wszystkie tytuły. Przetrwamy w służbie dla Czytelnika tylko dzięki Czytelnikowi. To relacja nierozrywająca, a dziś wyjątkowo Wam i nam potrzebna. Czytajmy prasę i walczmy o jakość informacji.

*Prezes Izby Wydawców Prasy
Bogusław Chrabota*

Żabka na rzecz bezpieczeństwa

Żabka dziękuje franczyzobiorcom i przekazuje 4,5 mln zł na walkę z koronawirusem

Zofia Szkarłat



Zarząd firmy Żabka Polska podjął decyzję o przekazaniu 4,5 mln zł na działania związane z zagrożeniem epidemiologicznym. Firma zwróciła się w oficjalnym liście do premiera w tej sprawie i zadeklarowała pełne wsparcie w zakresie zapewnienia bezpieczeństwa wszystkim Polakom.

– Z uznaniem i uwagą śledzimy działania podejmowane przez Radę Ministrów w obliczu stanu zagrożenia epidemicznego. Priorytetem dla nas wszystkich jest bezpieczeństwo i zdrowie wszystkich Polaków – powiedział Tomasz Suchański, prezes firmy Żabka Polska. – Jesteśmy przekonani, że warunkiem niezbędnym do skutecznego zmierzenia się z obecną sytuacją nadzwyczajną jest wspólne działanie. Mamy świadomość, jak ważną rolę odgrywa obecnie administracja państwowa – doceniamy zaangażowanie pracowników służby zdrowia, ministerstw oraz nadzorowanych przez nie jednostek. Z tego względu jako sieć postanowiliśmy wesprzeć finansowo instytucje, które odgrywają strategiczną rolę w rozwiązywaniu problemów, które dotyczą nas wszystkich – dodał prezes firmy Żabka Polska.

↑ Żabka wprowadziła wiele rozwiązań dla franczyzobiorców i pracowników sklepów w celu podniesienia ich bezpieczeństwa

Żabka w obliczu rozwoju COVID-19 wprowadziła szereg rozwiązań dla franczyzobiorców, pracowników sklepów, a także pracowników biurowych oraz pracowników centrów logistycznych, aby podnieść ich bezpieczeństwo i przewencyjnie działać na rzecz nierozprzestrzeniania się wirusa. W sklepach zostały ograniczone godziny funkcjonowania, franczyzobiorcy otrzymali środki dezynfekujące, rękawiczki, montowane są przegrody pleksi oddzielające kasjerów od klientów. Franczyzobiorcy mogą również określać liczbę osób, które przybywają jednocześnie w sklepie. W centrach logistycznych został podwyższony reżim higieniczny.

– Dzięki odpowiedzialności i zaangażowaniu w tych pełnych wyzwaniach warunkach ponad 4,5 tys. franczyzobiorców, pracowników sklepów i centrów logistycznych, a także pracowników biurowych mogliśmy błyskawicznie wdrażać wszelkie zmiany wskazywane jako rekomendowane przez Główny Inspektorat Sanitarny i inne instytucje do tego powołane. Dziękuję wszystkim, że wspólnie możemy nadal zapewniać klientom dokonywanie codziennych zakupów – dodał prezes Suchański.

Żabka napisała w komunikacie informacyjnym: „Dziękujemy naszym franczyzobiorcom, pracownikom sklepów i centrów logistycznych za ich pracę w obecnych, pełnych wyzwaniach warunkach. Niezależnie od zmian, które wdrażamy dla zapewnienia bezpieczeństwa klientów i pracowników, to dzięki Waszemu zaangażowaniu Polacy mają niezakłóconą możliwość dokonywania codziennych zakupów.

Cieszymy się, że cała branża handlowa tak solidarnie i odpowiedzialnie podeszła do sytuacji i dba o bezpieczeństwo osób pracujących w sklepach oraz klientów. Sieci handlowe, na co dzień konkurujące z sobą, stanęły wspólnie wobec zagrożenia spowodowanego koronawirusem. Jesteśmy wdzięczni wszystkim Koleżankom i Kolegom z innych firm za działania w duchu wzajemnego wspierania się”. <

Franczyzobiorcy Żabki otrzymali środki dezynfekujące i rękawiczki, montowane są przegrody pleksi

- 7 Niedyskrecje parlamentarne
KRAJ
- 9 Wszystko, co w naszej mocy.
Rozmowa z ministrem Łukaszem Szumowskim
- 17 Gotowi na wszystko, czyli kampania w czasach epidemii
ZDROWIE
- 11 Medycyna kontra koronawirus
- 13 Wszystko, co chcielibyście wiedzieć o koronawirusie, ale boicie się zapytać
- 14 Wirusom mówimy stop
- 16 Pięć sposobów na wzmocnienie odporności
SPOŁECZEŃSTWO
- 21 Izolacja we dwoje. Rozmowa z seksuologiem Michałem Pozdajem
- 24 Domowy survival. Jak znieść odosobnienie
- 26 Katolik na kwarantannie, czyli przewodnik po religii w czasie zarazy
- 29 Pomagaj, nie przeszkadzaj.
Mapa samopomocy
- 31 Domowe przedszkole. Poradnik dla zdesperowanych rodziców
BIZNES
- 32 Maski opadły, czyli kto chce zarobić na epidemii
- 36 Antykrzysowy poradnik dla przedsiębiorców
- 37 Śmieciówki na śmietnik
- 38 Polska pracuje z domu
ZAGRANICA
- 39 Gorzka lekcja pokory. Kryzys zachodniego przywództwa
KULTURA
- 42 Kino domowe
- 43 Literatura pandemiczna
TRENDY
- 44 Dzień koronowirusa.
Śmiechem w epidemii
- 47 Kuchenne rekonstrukcje.
Domowa restauracja

WYWIADY NA CZAS KWARANTANNY



51
Mumio: Bóg ma poczucie humoru



57
Martyna Wojciechowska: Byłam zakapiorem



62
Jerzy Pilch: Dziesięć kluczowych słów



66
Zbigniew Boniek: Chłopak z dobrego podwórka



69
Anna Dymna: Nie zamierzam odpoczywać



73
Maciej Musiał: Pora burzyć mury



77
Fisz: Moja muzyka rośnie ze mną



81
Ewa Błaszczyk: Jest tylko czas terazniejszy



85
Bohdan Łazuka: Artysta z alei zadłużonych



89
Lucyna Kirwil i Jerzy Bralczyk: Mowa miłości nie tylko na walentynki



42 KULTURA ONLINE

Filmy i książki, które pomogą przetrwać kwarantannę

13

DOKTOREK RADZI

Ekspert WHO Łukasz Durajski odpowiada na nieoczywiste pytania internautów

36

FIRMA W KRYZYSIE

Poradnik dla biznesmenów



WWW.WPROST.PL

PEŁNE BIEŻĄCE WYDANIE „WPROST”
POBIERZ NA SWOJEGO IPHONE’A,
IPADA (APP STORE)
ORAZ NA URZĄDZENIA Z SYSTEMEM
ANDROID (GOOGLE PLAY)



PROJEKT OKŁADKI: STUDIO „WPROST”
ZDJĘCIA: BRUCE HOLFFSTOCKTREK
IMAGES/GETTY IMAGES, 123RF

ZDJĘCIA: RAFAŁ SIDERSKI, DAREK GOLIK, RAFAŁ MASŁOW, PZPN, ZUZANA KRAJEWSKA,
KATALIN VERNES/NETLIX, CEZARY PIWOWARSKI, BALTIMEDIA, SWF5, 123RF, MATERIAŁY PRASOWE



Niedyskrecje parlamentarne

Elizy Olczyk i Joanny Miziołek



Życie w czasach epidemii nie jest łatwe dla nikogo. Europostowie, którzy na co dzień zarabiają naprawdę porządne pieniądze, muszą trochę zacisnąć pasa. Ponieważ Bruksela odwołała całą aktywność - nie ma posiedzenia Komisji Europejskiej ani tematycznych komisji, nie zbierają się grupy polityczne, nie obraduje Parlament Europejski. W nomenklaturze urzędniczej nazywa się to „biały tydzień” czyli kalendarz jest pusty. A parlamentarzysta, gdy nie pracuje, dostaje gołą pensję, 6300 euro miesięcznie. Niby całkiem sporo, ale gdy pracuje, dostaje 1700 euro tygodniowo w postaci diety i jeszcze dodatki za dojazdy.

▲ *Parlament Europejski odwołał wszelką aktywność deputowanych*

- Zatem wynagrodzenia deputowanych spadły o połowę. Mil nie zbierają, bo nie latają. Same straty - kpi polityk związany z Koalicją Obywatelską.

W kwietniu nie odbędzie się też posiedzenie Parlamentu Europejskiego w Strasburgu. - Jeżeli sesja kwietniowa w ogóle dojdzie do skutku, to obrady odbędą się w Brukseli. Francja zgodziła się na to wyjątkowo i tylko dlatego, że uważa, iż trzeba chronić ludność Strasburga przed epidemią - mówi polityk KO. Poprzednim razem odwołano obrady Parlamentu Europejskiego w Strasburgu, gdy zawalił się sufit nad salą plenarną Parlamentu Europejskiego, na szczęście pod nieobecność deputowanych. Zatem tylko katastrofa budowlana i ogólnoswiatowa epidemia są w stanie odwieść unijnych urzędników od obyczaju, który kosztuje Unię Europejską 1 mld euro rocznie i wymaga przemieszczenia się 6 tys. pracowni-

ków z Brukseli i Luksemburga do Strasburga. Tak na marginesie ci pracownicy dostają za każdy taki wyjazd zagraniczną dietę, zatem też są poszkodowani z powodu koronawirusa.

A tymczasem w kraju trwa zarządzona przez władze samoizolacja społeczeństwa. Jeden z posłów Koalicji Obywatelskiej wyznał nam, że podczas pierwszych czterech dni siedzenia w domu posprzątał całe mieszkanie, poprał, poprasował, poukładał rzeczy na półkach i skończył mu się pomysły co dalej. - Ile można czytać i oglądać seriale? Jestem przyzwyczajony do aktywności, do spotkań z ludźmi, do jeżdżenia po kraju, a tu trzeba siedzieć w zamknięciu - wzdycha.

Na brak zajęć nie narzekają natomiast członkowie rządu, którzy nie dość, że muszą zmagać się z epidemią, to jeszcze na dodatek przeżyli ostatnio sporą traumę. - Gdy okazało się, że koronawirusem zaraził się minister środowiska **MICHAŁ WOŚ**, wszyscy wpadli w popłoch i porządnie się nadenerwowali, zanim dostali wyniki testów - mówi polityk związany z obozem rządzącym.

Humory mimo wszystko dopisują członkom obozu rządzącego. Jeden z nich w rozmowie z „Wprost” zażartował, że skoro opozycja domaga się wprowadzenia stanu nadzwyczajnego, to działacze PiS zaczęli rozważać stan wojenny, bo wtedy można odebrać koncesje mediom komercyjnym i wprowadzić cenzurę. Taki żarcik.

Przy okazji przypadku zarażenia ministra Wosia odezwał się **DONALD TUSK**, który błysnął wpisem w stylu: władza robi sobie szybkie testy, a ludzie i lekarze muszą czekać, i że jest to obłany test z przyzwoitości. W podobnym stylu wypowiedział się nowy szef PO **BORYS BUDKA**, który oznajmił, że minister Woś zrobił sobie szybko testy, bo ma znajomości, a ci co nie mają, muszą czekać. Ta wypowiedź nie spodobała się nawet politykom PO. - Uznali, że Budka jest nadaktywny i prowadzi głupie wojenki w stylu **ŚLAWO-MIRA NITRASA** - mówi poseł Koalicji Obywatelskiej.

Grzegorz Schetyna się nie poddaje. Po cichu zaczął już odbudowywać swoją pozycję na Dolnym Śląsku

Nasz rozmówca przytacza rozmowę z politykiem Platformy Obywatelskiej, który miał powiedzieć, że po raz pierwszy zgadza się z TVP w ocenie **BUDKI**. I że lider partii powinien zachowywać się po lidersku, a nie jak działacz młodzieżówki, który ostrymi wypowiedziami chce się wybić na niepodległość. - Przecież Budka obejmując władzę w Platformie miał 80 procent działaczy po swojej stronie, nie potrzebuje się lansować. Tym bardziej, że teraz jest czas na działania koncyliacyjne, na wspólne pomaganie. Czas na rozliczenia władzy przyjdzie później - mówi nasz rozmówca.

Nie wiadomo jednak, czy mandat **BUDKI** nadal jest taki silny jak kilka tygodni temu, podczas wyborów. Jeszcze przed atakiem

koronawirusa na Polskę działacze Platformy zaczęli knuć, kogo wybrać na nowego szefa klubu, który ciągle nie został wyłoniony. I podobno całkiem spore szanse ma **TOMASZ SIEMONIAK**, polityk związany z **GRZEGORZEM SCHETYNA**, byłym szefem Platformy, który nie jest przyjacielem Budki.

- **BUDKA** powinien był zwołać posiedzenie klubu zaraz po wyborach w partii, wtedy był tak silny, że posłowie wybraliby tę osobę, którą on wskazałby palcem. Ale ta chwila już minęła, Budka zaczął przeciągać wybory i zostawił czas na walki frakcyjne - mówi nasz rozmówca. Jednak inny z naszych rozmówców uważa, że wszelkie knucia i tak nie mają sensu, bo epidemia resetuje wszystkie działania i wpadki. Zatem Budka ma szczęście, a szczęście w polityce to ważna rzecz.

Nowy przewodniczący Nowoczesnej **ADAM SZŁAPKA** kompletnie nie wie jak, poradzić sobie z rozliczeniami finansowymi partii. - Kilku panów z Wrocławia, w tym **TADEUSZ GRABAREK**, którego majątek został uszczuplony, bo mocno zainwestował w Nowoczesną, teraz żądają zwrotu pieniędzy. Tymczasem **KATARZYNA LUBNAUER** i **RY-SZARD PETRU** umywają ręce, a Adam Szłapka jedynie uspokaja - mówi nasz rozmówca. I dodaje: - Dopóki Katarzyna Lubnauer była przewodniczącą partii, zapewniała, że Nowoczesna połączy się z Platformą, która pomoże jej finansowo. Tak się jednak nie stało - kwituje nasz rozmówca.

GRZEGORZ SCHETYNA po cichu odbudowuje swoją pozycję na Dolnym Śląsku. - Sytuacje w którym zostaje odstawiony w kącie tylko go umacniają. Obecnie Grzegorz wzmacnia swoje poparcie w regionie.

Kiedy **GRZEGORZ SCHETYNA** odsunięty w cień odbudowuje swoją pozycję, obecne kierownictwo nie o wszystkich dba w partii. O kogo nie dba? Okazuje się, że o kobiety. - Panie w Platformie narzekają na nową ekipę. Liczyły, że młodzi, dynamiczni faceci będą mieli pełno pomysłów, a tymczasem czekają na to, co przygotują koleżanki. Posłanki PO przygotowały projekt Pakietu Bezpieczeństwa, a cała chwała spadła na posłów PO - mówi nasz rozmówca z Koalicji Obywatelskiej. <

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Iskra w oku



wprost

UKAZUJE SIĘ OD 5 GRUDNIA 1982 ROKU

REDAKTOR NACZELNY: **Marcin Dzierżanowski**

REDAKTOR PROWADZĄCA: **Katarzyna Dobrowolska-Batyra**

SEKRETARZE REDAKCJI: **Leszek Bugajski, Magda Papużyńska, Dorota Bardzińska**

ADRES REDAKCJI: Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa, tel.: 22 347 50 00 (recepcja), , www.wprost.pl, e-mail: redakcja@wprost.pl

KIEROWNICY DZIAŁÓW: **Małgorzata Fiejdasz-Kaczyńska** *społeczeństwo*, **Szymon Krawiec** *biznes*, **Jakub Mielnik** *zagranica*, **Leszek Bugajski** *nauka*, **Krzysztof Kwiatkowski** *kultura*, **Paulina Socha-Jakubowska** *trendy*

DZIENNIKARZE I STALI WSPÓŁPRACOWNICY: **Paweł Bednarz** *biznes*, **Bartosz Czartoryski** *kultura*, **Anna Gielewska** *kraj*, **Magdalena Gryn** *biznes*, **Anna Gwozdowska** *zagranica*, **Agata Jankowska** *społeczeństwo*, **Magdalena Łyczko** *trendy*, **Joanna Miziołek** *kraj*, **Dawid Muszyński** *kultura*, **Eliza Olczyk** *kraj*, **Katarzyna Skrzydtowska-Kalukin** *społeczeństwo*, **Jan Śpiewak** *kraj*, **Katarzyna Świerczyńska** *zdrowie*, **Elżbieta Tomczyk-Miczka** *trendy*, **Olga Wasilewska** *kraj*, **Karol Wasilewski** *biznes*, **Artur Zaborski** *kultura*

FELIETONIŚCI: **Tomasz Broda**, *Iskra* (rysownik), **Jan Rokita**, **Magdalena Środa**, **Ewa Wanat**, **Michał Witkowski**, **Jan Wróbel**

WPROST ONLINE: **Natalia Rzewińska** (red. prowadząca), **Anna Mokrzanowska** (wydawca), **Gabriela Keklak** (wydawca, prime-time), **Jakub Bojakowski** (redaktor), **Katarzyna Gurmińska** (redaktor), **Magdalena Frindt** (redaktor), **Maciej Zaremba** (redaktor), **Marcin Haber** (biznes), **Ewelina Celejewska** (zdrowie), **Katarzyna Mieczkowska** (zdrowie), **Marcin Klimkowski** (motoryzacja)

STUDIO „WPROST”: **Krzysztof Mizgalski** (grafik prowadzący), **Karol Kinal** (kierownik studia), **Daria Abibok**, **Anna Abratańska**, **Dariusz Kanak**

FOTOEDYCJA: **Jakub Wiewiorowski** (kierownik), **Bartek Molga**. PROJEKTY SPECJALNE: **Magda Kozińska**

ZARZĄD: **Piotr Piaszczyk** (prezes) . DYREKTOR WYDAWNICZY: **Robert Pstrokoński**

WYDAWCA: Agencja Wydawniczo-Reklamowa, „Wprost” Sp. z o.o., tel.: 22 347 50 00. Wydawca tytułu, spółka AWR „Wprost”, należy do Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA

BIURO REKLAMY: reklama@wprost.pl, tel.: 22 347 50 00

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA: **Monika Doros**, **Elżbieta Maciążek**, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa, tel.: 22 347 50 00, faks: 22 347 50 01. DRUK: Walstead Central Europe

PRENUMERATA WYDAWNICZA: e-mail: prenumerata@pmpg.pl, tel.: 22 529 12 10. PRENUMERATA: Prenumerata realizowana przez RUCH SA: Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl. Ewentualne pytania prosimy kierować na adres e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Centrum Obsługi Klienta „RUCH” pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne w dni robocze w godzinach 7.00-17.00. Koszt połączenia wg taryfy operatora.

Wyłącznie dystrybutorzy w Kanadzie – VARTEX DISTRIBUTING INC. Mississauga, tel.: (905) 281 89 29, faks: (905) 281 9654

Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną. Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów.

ISSN 02091747

Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w tygodniku „Wprost” jest zabronione.

Jeśli w twoim kiosku zabrakło egzemplarzy tygodnika „Wprost”, poinformuj nas: e-mail: kolportaz@wprost.pl

© Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie treści artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.wprost.pl/regulamin/



rozmawiał **Paweł Bednarz**

kraj

SPOWOLNIĆ FAŁĘ ZACHOROWAŃ

Wszystko, co w naszej mocy

Polacy wzięli sobie do serca nasze apele i widzą, że tylko ograniczając kontakty, jesteśmy w stanie zapobiec rozprzestrzenieniu się wirusa – mówi minister zdrowia **prof. Łukasz Szumowski**. W rozmowie z „Wprost” minister podkreśla, że zmorą rządu jest scenariusz włoski.



Czy ma pan czas na odpoczynek?

Raczej na chwilę snu niż na odpoczynek. To jest czas podejmowania szybkich decyzji. Tu nie ma czasu na zwłokę, a więc i na odpoczynek.

Czy wszystko jest pod kontrolą, tak jak by pan sobie życzył?

Po pierwsze pamiętajmy, że cały świat mierzy się z czymś nowym i nieznanym, z nowym rodzajem zagrożenia, które nie jest zbadane ani rozpoznane. My robimy wszystko, by zminimalizować ryzyko rozprzestrzeniania się koronawirusa, bo nie da się zastopować go całkowicie. Dlatego zamknęliśmy granice, wprowadziliśmy obowiązkową kwarantannę dla wszystkich osób wjeżdżających do naszego kraju, zdecydowaliśmy o zamknięciu szkół i przedszkoli oraz dużej części sklepów w galeriach handlowych, zabroniliśmy imprez masowych i większych zgromadzeń. Nieustannie zachęcamy, by ludzie pracowali zdalnie, jeśli tylko mają taką możliwość. Wszystkie te działania mają jeden cel: ograniczyć transmisję wirusa.

W ostatnich dniach podjęliśmy ważne decyzje, ich efektów możemy oczekiwać za tydzień, może dwa tygodnie.

Wystarczy panu środków?

Pieniądze nie stanowią żadnego problemu. Na początku marca do wojewodów trafiło blisko 100 mln zł z rezerwy budżetu państwa. Wojewodowie rozdysponowali te środki między organy założycielskie placówek medycznych, a te przekazują je wnioskodawcom. Specustawa dała nam możliwość uruchomienia 1,3 mld zł. Teraz premier podjął decyzję o uruchomieniu kolejnych 7,5 mld zł dla ochrony zdrowia. Jeżeli trzeba będzie wydać więcej środków, to tak się stanie.

Jak pan ocenia zachowanie Polaków po wprowadzeniu szeregu obostrzeń?

Włosi nie przestrzegali reżimu kwarantanny, stąd mamy u nich skokowy, wręcz drastyczny wzrost zachorowań, przez który system ochrony zdrowia stał się kompletnie niewydolny. My takich błędów popełniać nie możemy. U nas policja prowadzi kontrole osób przeby-

wających na kwarantannie. Apelujemy też o odpowiedzialność samych kwarantannowanych. Dane, które otrzymujemy z MSWiA są budujące. 99 proc. Polaków przestrzega zasad kwarantanny i nie opuszcza domu. To świadczy, że Polacy wzięli sobie do serca nasze apele i widzą, że tylko ograniczając kontakty, jesteśmy w stanie zapobiec rozprzestrzenieniu się wirusa. Puste ulice miast również są oznaką odpowiedzialności.

Władza może wprowadzać obostrzenia, ale i tak wszystko zależy od ludzi, czy wezmą sobie do serca powagę sytuacji. Były jakieś niepokojące incydenty?

Nieustannie powtarzam, że to od naszego, obywateli, zachowania, od tego, czy ograniczymy nasze kontakty czy nie, zależy w dużej mierze, jak szybko będzie rozprzestrzeniał się wirus. Ograniczenie kontaktów między ludźmi, powoduje ograniczenie transmisji wirusa. Dzięki temu powinno spaść tempo wzrostu liczby osób zakażonych. To pozwala systemowi ochrony zdrowia działać efektywnie.

Uda się wypłasczyć tę parabolę zachorowań?

Taki jest cel naszych działań. Dane z krajów europejskich, nie mówiąc o danych z Chin, pokazują, że liczba zakażonych rośnie wykładniczo. To znaczy, że mniej więcej co tydzień dodajemy jedno zero. Robimy teraz wszystko, by przygotowywać się na większą falę zachorowań. Dlatego zdecydowaliśmy o przekształceniu 19 szpitali w Polsce w szpitale zakaźne. One mają sprzęt i personel gotowy do przyjmowania osób zakażonych. Co ważne, 10 proc. łóżek w tych placówkach musi być łózkami respiratorowymi. Respiratory są potrzebne, gdy dojdzie do pogorszenia stanu zdrowia chorych. Warto jednak podkreślić, że nie wszyscy zakażeni koronawirusem muszą przebywać w szpitalu. Jeśli ktoś łagodnie przechodzi zakażenie, może zostać na izolacji domowej.

Czy gramy na czas? Niektórzy eksperci mówią, że to normalne, że zachoruje 30-70 proc. populacji, większości osób nic się nie stanie, a podjęte działania mają nie przeciążyć systemu opieki zdrowotnej - żeby móc uniknąć scenariusza włoskiego?

Na przykładzie Włoch widać, że nie można lekceważyć wirusa. Jeśli nie podejmuje się radykalnych środków, które pomogą ograniczyć jego rozprzestrzenianie, wówczas żaden system ochrony zdrowia nie poradzi sobie z gwałtownym wzrostem liczby chorych, w tym osób pilnie potrzebujących intensywnej opieki medycznej.

Nowe doniesienia z Chin trochę pana uspokajają?

Na przykładzie Chin widać, że walka z koronawirusem wymaga stanowczego i szybkiego działania. Na początku rząd zamknął miasto Wuhan, ale dzień później zamknięto kolejne miasta. Zamknięto szkoły, teatry, kina, restauracje, galerie handlowe. Odizolowano duże miasta, łącznie z nakazem pozostawania w domu, z wyjątkiem konieczności wychodzenia po zakupy do najbliższego sklepu. Stała się gospodarka. Najpierw na tydzień, potem na kolejne tygodnie. Społeczeństwo chińskie trzymało się ściśle reżimu kwarantanny. Dzięki takim zdecydowanym i szybkim działaniom udało się zatrzymać rozprzestrzenianie się wirusa i liczba zachorowań na COVID-19 zaczęła spadać.

Wiele osób pyta, czy można było zrobić

coś więcej, wcześniej, lepiej się przygotować?

Mamy pandemię wywołaną nowym patogenem, która rozlała się na cały świat w bardzo krótkim czasie. 9 stycznia były pierwsze sygnały w Europie o kilku przypadkach zakażeń, które trafiły tu z innych regionów. Od początku śledziliśmy doniesienia w sprawie rozprzestrzeniania się koronawirusa przy współpracy z WHO, ECDC, CDC. Bardzo szybko powstały komunikaty dla podróżnych publikowane na stronach Głównego Inspektoratu Sanitarnego. Dalej szły zalecenia dla lekarzy, dla szpitali oraz kolejne zalecenia dla naszych obywateli. W miarę rozwoju sytuacji, obserwując to, co się dzieje w innych krajach, zaczęliśmy podejmować kolejne kroki. Decyzje były trudne, jak ta o zamknięciu szkół, galerii czy granic, ale mieliśmy odwagę je podjąć. Dziś jesteśmy w sytuacji, w której wiele innych państw na naszym etapie nie było. Zdążyli-

ście zakażonych. W tym tygodniu każdy z nich otrzymał już po tysiąc maseczek i po tysiąc kombinezonów. Jeśli będą zgłaszały kolejne zapotrzebowanie, będziemy reagować i dosyłać. Te szpitale będą na pierwszej linii walki, dlatego musimy zadbać o nie w pierwszej kolejności: otrzymują specjalny ryczałt za gotowość do przyjęcia pacjentów, za każde przygotowane łóżko.

To pierwsza epidemia w dobie social mediów.

Niestety widzimy, że właśnie przez social media rozpowszechnianych jest wiele fake newsów, które wywołują niepotrzebne negatywne emocje i panikę. Pojawiły się na przykład nieprawdziwe informacje, że zostaną zamknięte granice dużych miast lub że zamkniemy sklepy spożywcze. Od razu reagujemy i dementujemy te kłamstwa. Są też sytuacje, gdy ktoś wykorzystując ludzki lęk, chce zarobić. Ostatnio pojawił się fake news, że Ministerstwo Zdrowia

Decyzje były trudne, jak ta o zamknięciu szkół, galerii handlowych czy granic, ale mieliśmy odwagę je podjąć. Zdążyliśmy na czas

śmy z podjęciem trudnych decyzji na czas.

Jak wygląda dziś kupowanie na rynku międzynarodowym środków higieny takich jak maseczki i fartuchy, a także respiratorów? Wygrywa ten, kto ma silniejszy lobbying albo daje większą przecenę?

Maseczki i kombinezony to teraz towar deficytowy. Wszystkie kraje w jednym czasie zaczęły ich potrzebować w ogromnych ilościach. Jednak wspólnie z Agencją Rezerw Materiałowych udaje się nam systematycznie kupować nowy niezbędny dla szpitali towar, w tym również testy wykrywające obecność koronawirusa. Jesteśmy bardzo aktywnym graczem na rynku zakupu środków ochrony osobistej i testów.

Pojawiają się głosy, że część szpitali nie jest przygotowana. W tej grupie są szpitale, które jeszcze nie mają chorych. Czy właśnie teraz wychodzi na jaw fakt, że one były niedostatecznie zaopatrzone w czasie normalnego funkcjonowania?

Dla nas dziś najistotniejsze jest zabezpieczenie w sprzęt i środki ochrony osobistej sieci szpitali jednoimiennych, czyli szpitali

planuje masowe szczepienia w związku z koronawirusem i dodatkowo trzeba wносить specjalne opłaty. W naszych social mediach prosimy, by nie logować się na strony podawane w SMS-ach, w których mówi się o konieczności wniesienia opłat. Od początku podkreślamy, że informacje o podejmowanych działaniach znajdują się na stronach Ministerstwa Zdrowia i Kancelarii Premiera. Najważniejszy jest dostęp do informacji, wiarygodnych informacji, dlatego jesteśmy otwarci i cały czas komunikujemy. Walka z wirusem polega również na pełnym dostępie do wiedzy.

Jaki scenariusz spędza panu sen z powiek?

Na świecie widzimy dwa scenariusze: jeden azjatycki, gdy rozprzestrzenienie się wirusa dzięki wprowadzonym działaniom udaje się zatrzymać, oraz włoski, gdy wirus wymyka się spod kontroli. Robię wszystko, co w mojej mocy, by w Polsce nie powtórzył się scenariusz włoski. <

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Paweł Bednarz - dziennikarz działu Biznes



Medycyna kontra koronawirus

Niemal codziennie pojawiają się informacje o szansach na szczepionki i leki, które mogą powstrzymać koronawirusa. Wiele z nich jest obiecujących.



Prof. Krzysztof Simon z Wrocławia, konsultant wojewódzki w dziedzinie chorób zakaźnych, pacjentów w stanie ciężkim leczy terapią skojarzoną: lek przeciw wirusowi HIV plus lek przeciwko malarii. Na takie leczenie profesor dostał zgodę komisji bioetycznej i samych pacjentów. 74-letnia pacjentka, która była w najcięższym stanie, czuje się lepiej, choć za wcześnie jeszcze mówić o całkowitym wyleczeniu. Tego typu eksperymentalne terapie stosowali lekarze w Chinach, a teraz stosują we Włoszech, Stanach Zjednoczonych, Francji, Japonii.

ZIELONE ŚWIATŁO

Urząd Rejestracji Produktów Leczniczych kilka dni temu do leku polskiej firmy, wykorzystywanego głównie w leczeniu malarii, dopisał nowe wskazanie: leczenie wspomagające w zakażeniach koronawirusami typu beta, m.in. SARS-CoV-2. – Chlorochina to pochodna klasycznej chininy, znanej nam wszystkim z książki

„W pustyni i puszcy” Henryka Sienkiewicza. Wielokrotnie okazywało się, że znany od wielu lat lek jest skuteczny w zupełnie nieoczekiwanym, nowym wskazaniu. Dane chińskie i koreańskie wskazują, że u tak leczonych pacjentów gorączka była niższa, czynność płuc szybciej wracała do normy, szybciej też organizm pozbywał się wirusa – podkreśla prof. Krzysztof J. Filipiak z WUM.

Lek produkuje polska firma. Na razie nie ma go w aptekach: całość produkcji jest dystrybuowana zgodnie z zapotrzebowaniem Ministerstwa Zdrowia. 19 marca firma przekazała lek do 90 szpitali i oddziałów zakaźnych w całej Polsce, wskazanych przez ministerstwo. Dostaną go chorzy w szpitalu i przebywający w izolacji domowej.

16 marca we Francji zakończyło się badanie, które potwierdziło skuteczność stosowania innego leku stosowanego w malarii, a także w reumatoidalnym zapaleniu stawów (hydroksychlorochina).

Z Włoch pojawiły się obiecujące doniesienia dotyczące efektów zastosowania leku stosowanego w reumatoidalnym zapaleniu stawów; z Chin - leku przeciw grypowego. Nadzieje budzi lek przeciw wirusowi Ebola, obecnie bardzo intensywnie badany w USA i Włoszech w leczeniu ciężkich stanów zakażeń COVID-19.

POMOC BIOTECHNOLOGII

Firmy biotechnologiczne intensywnie poszukują nowych leków nakierowanych konkretnie na SARS-CoV-2, jednak ich stworzenie może potrwać. Równolegle w wielu krajach trwają prace nad szczepionką, która mogłaby zabezpieczyć przed kolejnymi zachorowaniami i rozprzestrzenianiem się wirusa. Testowanie u ludzi pierwszej z nich rozpoczęło się kilka dni temu w Stanach. <

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Więcej czytaj w wydaniu specjalnym „Wprost” „Zdrowie na kwarantannę” na prenumerata.wprost.pl



NAGRODA NOBLA ZA IMMUNOTERAPIĘ W ONKOLOGII POTWIERDZENIEM PRZEŁOMU W LECZENIU NOWOTWORÓW

James P. Allison i Tasuku Honjo

zostali docenieni za

ODKRYCIE TERAPII PRZECIWNOWOTWOROWEJ

poprzez hamowanie negatywnej
regulacji immunologicznej



James P. Allison

dyrektor oddziału immunoterapii
w MD Anderson Cancer Center.

Opracował przeciwciało anty-CTLA-4.



Tasuku Honjo

immunolog z Uniwersytetu
w Kioto.

Odkrył funkcję receptora PD-1.



Bristol-Myers Squibb



Immuno-Onkologia

Wszystko, co chcielibyście wiedzieć o koronawirusie, ale wstydziecie się zapytać

Na pytania internautów odpowiada **Łukasz Durajski** lekarz, ekspert Światowej Organizacji Zdrowia, autor bloga **doktorekradzi.pl**

Czy RTG płuc daje odpowiedź na pytanie, czy byłem zarażony koronawirusem? @Łysy

Niestety nie. Z rentgena dowiemy się, że są ewentualne zmiany w płucach, ale to badanie nie da nam odpowiedzi, co je spowodowało.

Czy można bezpiecznie uprawiać seks, zwłaszcza seks oralny? @Wasyl

Seks polega na bliskim kontakcie, a bliski kontakt jest ryzykowny. W trakcie seksu, także oralnego, można się zarazić korona wirusem. Już całowanie jest obarczone dużym ryzykiem. A więc lepiej mieć pewność co do tego, że nasz partner jest zdrowy. A jeśli wiemy, że jest zainfekowany wirusem, działamy na własne ryzyko.

Czy można dłubać w nosie pod przysznikiem? @Klimka

Ta czynność raczej nam nie zagrazi. Oczywiście warto zadbać o to, żeby ręce były czyste przed i po dłubaniu.

Czy mogę kupować i jeść owoce sprowadzane z takich krajów, jak Hiszpania czy Włochy? @Szycha

Można jeść wszystko, ale należy pamiętać, aby dobrze myć owoce i warzywa.

Czy wstrzymywanie powietrza, na przykład idąc do domu kłatką schodową, coś daje? @Agnieszka

To nic nie zmieni. Nie ma żadnego wpływu na ochronę przed korona wirusem.

Czy jeśli grupa osób pali jednego jointa, przekazując go z rąk do rąk i ust do ust, to jest bezpieczne? @Czesiek

Nie możemy niczego przekazywać sobie z ust do ust. To nie dotyczy tylko jointów, czy papierosów, ale nawet gryza kanapki. Przez naszą ślinę przekazujemy wirusy innym.

Czy powinienem brać profilaktycznie cynk i chlorhinaldin? Podobno substancje tam zawarte wspomagają leczenie wirusa. @Elka

Pojawiły się doniesienia o pozytywnym wpływie cynku. Ale ten suplement jest niebezpieczny, bo po przekroczeniu 150 mg obniża odporność. A więc z dozowaniem warto się skonsultować z lekarzem. Jeśli chodzi o chlorhinaldin nie ma żadnych podstaw, aby zażywać go w kontekście korona wirusa.

Czy można się zarazić przez ranę otwartą – na przykład obtarcie stopy od buta? @Małgosia

Rana to wrota do wszelkich infekcji. Ale najpierw wirus musi na niej osiąść. Jeśli więc przetrzemy ranę zakażoną ręką, oczywiście wirus może zaatakować.

Czy to prawda, że regularne picie alkoholu odkaża organizm i ten staje się odporniejszy? @Puchal

Alkohol rzeczywiście jest skuteczny przy dezynfekcji, dlatego warto odkażać nim ręce. Ale wypity dostaje się do dróg pokarmowych. Tymczasem korona wirus atakuje drogi oddechowe. A więc niestety nie ma żadnego wpływu na ochronę przed korona wirusem. <

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Więcej czytaj w wydaniu specjalnym „Wprost”
„Zdrowie na kwarantannę”
na prenumerata.wprost.pl



#Wprost do Ciebie

Wejdź na stronę **zdrowie.wprost.pl/koronawirus** i za pomocą prostego formularza zadaj pytanie ekspertowi **ŁUKASZOWI DURAJSKIEMU**. Odpowiedzi na kolejne pytania już wkrótce na łamach „Wprost” i na **www.wprost.pl**





Katarzyna Pinkosz

Wirusom mówimy STOP

Musimy się liczyć ze wzrostem liczby zachorowań na COVID-19. A jednocześnie wciąż jesteśmy w sezonie przeziębień i grypy. Dlatego ważne jest, by robić wszystko, by nie zachorować.

Wirusem SARS-CoV-2 zarazić się jest łatwiej niż grypą: w przypadku grypy chory zaraża (średnio) 1,5 osoby, koronawirusem - 2,5. Zakażamy się drogą kropelkową: wirusy znajdują się w wydzielinie osoby, która kaszle, kicha, są też przenoszone z powietrzem, które chory wydycha. Zakażają też osoby, u których jeszcze nie widać objawów.

DYSTANS I HIGIENA

Zaleca się zachowanie odległości 1 - 2 m między ludźmi. Osoby chore powinny nosić maseczki (zmniejszają ryzyko zakażenia innych, gdyż zatrzymują część wirusów). Coraz więcej lekarzy radzi, by maseczki nosiły też osoby zdrowe. Maseczkę można chałupniczo zrobić z bawełnianej chustki lub gazy i prać w temperaturze powyżej 60 st. C, w której wirus ginie. Jeśli w domu jest osoba chora, koniecznie powinna mieć maseczkę.

Nie dotykaj dłonią klamek ani wszelkiego rodzaju przycisków – np. w windzie, w autobusach, włączników światła. Lepiej to zrobić kostką zgiętego palca, łokciem, ramieniem, rękawiczką jednorazową. Podobnie jest np. z dotykaniem wózków w supermarkecie. Po zrobieniu zakupów najlepiej umyć ręce lub użyć płynu do dezynfekcji. Warto korzystać z możliwości zrobienia zakupów w internetowym sklepie.

Jak najczęściej myj ręce: koniecznie po przyjeździe do domu, pracy, przed jedzeniem i po nim, przed przygotowaniem posiłku i po nim, po wyjściu z toalety. Jeśli nie masz możliwości umycia rąk, dezynfekuj je (najprostszym środkiem dezynfekującym jest 60-70 proc. alkohol, którym można przetrzeć ręce).

1-2 razy dziennie przetrzyj w domu blaty kuchenne, klamki, przedmioty, których często dotykasz – także klawiaturę komputera i ekran smartfona.

Ważne telefony i adresy:

> Infolinia NFZ:
800 190 590
(całodobowo)

> Lista oddziałów zakaźnych: <https://www.gov.pl/web/koronawirus/lista-szpitali>

> gis.gov.pl/aktualnosci/koronawirus

Zakupów przyniesionych ze sklepu nie musisz dezynfekować, nie ma takich zaleceń. Można zdecydować się na kupowanie pieczywa, sera, wędlin w opakowaniach. Owoce i warzywa przed jedzeniem koniecznie myj pod bieżącą wodą.

KIEDY DO LEKARZA

Jeśli masz niewielkie objawy infekcji (katar, drapanie w gardle, lekko podwyższona temperatura, lekki kaszel), zostań w domu i lecz się objawowo. Jeśli stan zdrowia cię niepokoi, zadzwoń do przychodni. W przypadku wysokiej gorączki stosuj paracetamol. Kontakt z lekarzem jest konieczny, jeśli masz wysoką gorączkę, suchy kaszel, duszność.

Jeśli masz nawet niewielkie objawy infekcji, a w ostatnich dwóch tygodniach przebywałaś/eś w kraju, gdzie jest obecnie dużo zachorowań na COVID-19 lub miałaś/eś kontakt z osobą, u której potwierdzono chorobę (lub istnieje duże prawdopodobieństwo zakażenia), skontaktuj się ze stacją sanitarno-epidemiologiczną. Szybki kontakt z lekarzem i stacją sanepidu jest konieczny, jeśli twój stan zdrowia się pogarsza: masz wysoką gorączkę, suchy kaszel, duszność. Ważne: Nie idź do lekarza, nie jedź na szpitalną izbę przyjęć, na SOR. Wcześniej zadzwoń! Lekarz lub pracownik sanepidu, poinformują cię, co robić w danej sytuacji. <

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Więcej czytaj w wydaniu specjalnym „Wprost” „Zdrowie na kwarantannie” na prenumerata. wprost.pl



**NAUKOWA
FUNDACJA
POLPHARMY**

**otwiera XIX edycję konkursu
na finansowanie projektów badawczych ze środków Fundacji**

Temat konkursu:

**„Modulacja przewlekłych procesów zapalnych
indukowanych procesami dysbiozy”**

Wniosek w wersji elektronicznej wraz z oświadczeniem i zgodą Komisji Bioetycznej (jeżeli jest wymagana) należy przesłać drogą mailową na adres:
XIXkonkurs@polpharma.com **w terminie od 1 marca do 31 maja 2020 r.**

Autorzy, którzy w wyniku postępowania konkursowego otrzymają grant Fundacji na realizację nagrodzonych projektów, będą zobowiązani wspomniane wyżej dokumenty przesłać także w wersji papierowej na adres Naukowej Fundacji Polpharmy, ul. Bobrowiecka 6, 00-728 Warszawa.

Regulamin, formularz wniosku oraz oświadczenia znajdują się na stronie internetowej Fundacji: www.polpharma.pl/fundacja. Wnioski złożone po terminie lub niezgodnie z regulaminem nie będą rozpatrywane.

Naukowa Fundacja Polpharmy założona w 2001 roku przez Polpharmę SA jest jedną z największych w kraju organizacji finansujących projekty badawcze realizowane przez polskich naukowców. Misją Fundacji jest wspieranie rozwoju nauk medycznych i farmaceutycznych, którą realizuje poprzez m.in. finansowanie badań naukowych w tych dziedzinach. Projekty badawcze są wyłaniane w drodze organizowanego corocznie konkursu. Dotychczas odbyło się 18 edycji, w których granty wartości ponad 22 mln zł otrzymało 75 zespołów badawczych.

Działalność statutowa Fundacji jest w całości finansowana z budżetu Polpharmy.



polpharma

Mecenas polskiej nauki

Pięć sposobów na wzmocnienie odporności

Siedzisz w domu? Wysypiaj się, ograniczaj stres związany z epidemią i zatroszcz się o siebie. W ten sposób najlepiej wspomogiesz swój układ odpornościowy

Jak w czasach epidemii wzmocnić swoją odporność? – Nie ma jednej prostej metody. Nic cudownie nie poprawi naszej odporności. Trzeba po prostu zdrowo żyć – mówi prof. dr hab. n. med. Urszula Demkow, immunolog i alergolog z Warszawskiego Uniwersytetu Medycznego. Zdrowo żyć – czyli jak?

RZUĆ PALENIE

Dym tytoniowy uszkadza nabłonek dróg oddechowych i sam układ oddechowy, tak więc palenie podwyższa ryzyko infekcji górnych dróg oddechowych, na przykład przeziębienia. W przypadku COVID-19 konsekwencje palenia mogą być wręcz zabójcze. – Palenie jest udokumentowanym czynnikiem zwiększającym ryzyko zgonu na skutek zakażeń koronawirusem – podkreśla prof. Urszula Demkow.

ODSTRESUJ SIĘ

Wyluzuj! Złe wiadomości, niepokój o przyszłość, pracę, dochody, strach o zdrowie własne i bliskich – wszystko to podwyższa poziom stresu. A stres – szczególnie ten przedłużający się – ma negatywny wpływ na system odpornościowy. – Powoduje długotrwałe załamanie niektórych mechanizmów odpornościowych, co czasami trwa miesiące, a nawet lata – mówi prof. Urszula Demkow. Co gorsza, stres ma związek z większością chorób przewlekłych, które rujną nasze zdrowie i nas zabijają. Lekarze radzą: odstresowanie się może być jedną

z najważniejszych rzeczy, jakie możemy zrobić, by zachować zdrowie.

PORZĄDNI SIĘ WYŚPIJ

W chorobę może wpędzić także brak snu. Ludzie, którzy niedosypiają (czyli śpią do pięciu godzin) lub cierpią na zaburzenia snu, przy narażeniu na wirus wywołujący przeziębienie łatwiej je łapią, niż ludzie śpiący dłużej.

RUSZ SIĘ Z KANAPY

Regularna umiarkowana aktywność fizyczna jest podstawą zdrowego stylu życia. Poprawia ogólny stan zdrowia, a więc

JEDZ ZDROWO

Zdrowa, zbilansowana dieta, bogata w witaminy i mikro- oraz makroelementy, to coś, co z pewnością pozwoli utrzymać dobre zdrowie, a więc pomoże również układowi odpornościowemu. Jej podstawą powinny być różnorodne warzywa i owoce i produkty pełnoziarniste. Nie powinno w niej zabraknąć bogatych w kwasy tłuszczowe omega-3 ryb, nasion roślin strączkowych, ziaren i orzechów, a także zdrowych olejów roślinnych. Za to mięso – szczególnie to czerwone i przetworzone wyroby mięsne – warto istotnie ograniczyć.

**Nic cudownie nie poprawi naszej odporności.
Trzeba po prostu zdrowo żyć. Ważne, żeby się
wysypiać i jeść zdrowo**

korzystnie wpływa również na układ immunologiczny. Zmniejsza poziom hormonów stresu i przez to również dobroczynnie działa na odporność i ryzyko wielu chorób – m.in. krążenia. Niektóre badania wskazują też, że regularny umiarkowany wysiłek fizyczny pomaga w walce z przeziębieniami.

Nawet pozostając w domu, można codziennie wykonywać przynajmniej minimalną serię ćwiczeń; oglądając seriale, jeździć na rowerku stacjonarnym czy ćwiczyć na orbiteku.

Trzeba też pamiętać o produktach zawierających cynk, niezbędny dla prawidłowej pracy układu immunologicznego. Nie pomijajmy kwaszonek, kiszonek, jogurtów i kefirów. Wspomogą florę bakteryjną, której rola w utrzymywaniu odporności jest trudna do przecenienia. <

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Więcej czytaj w wydaniu specjalnym „Wprost” „Zdrowie na kwarantannę” na prenumerata.wprost.pl



Eliza Olczyk



Gotowi na wszystko czyli kampania w czasach epidemii

Epidemia koronawirusa zamroziła nie tylko kampanię prezydencką, ale też pomysłowość większości sztabów wyborczych.

Po stronie opozycji króluje na razie jeden pomysł - przełożyć wybory. Rzecz w tym, że PiS, przynajmniej na razie, nie zamierza się na to zgodzić. - Jeżeli będzie trzeba trzy razy więcej pieniędzy na wybory, to i tak je zorganizujemy - mówi sztabowiec Andrzeja Dudy.

W ubiegłym tygodniu posłanka Koalicji Obywatelskiej Klaudia Jachira, z zawodu satyryczka, wyjątkowo nie lubiana przez Zjednoczoną Prawicę za żarty z Jarosława Kaczyńskiego, katastrofy smoleńskiej i innych świętości prawicy, niespodziewanie napadła na kandydatów opozycji, że nie mają pomysłu, jak się prezentować w dobie koronawirusa. Jachira stwierdziła,

✓ Władysław Kosiniak-Kamysz zyskiwał na spotkaniach bezpośrednich z wyborcami. Dlatego teraz jego kampania przthamowała.



że Małgorzata Kidawa-Błońska, zamiast nagrywać dziwaczne orędzie, siedząc przy zakurczonym biurku, powinna zająć się czymś pożytecznym, np. wyprowadzaniem psów starszym sąsiadom narażonym na cięższy przebieg choroby w razie zakażenia. A Władysławowi Kosiniakowi-Kamyszowi odpowiedziała, że jako lekarz przydałby się w służbie zdrowia walczącej z koronawirusem. Dzięki temu - zdaniem Jachiry - oboje zostaliby zauważeni przez opinię publiczną.

OPOZYCJA BEZ POMYSŁÓW

Dobre rady to najbardziej wkurzająca rzecz pod słońcem, ale w jednej sprawie można Jachirze przyznać rację - sztabom kandydatów opozycyjnych brakuje dobrych pomysłów na prowadzenie kampanii w nadzwyczajnych warunkach. Zamiast tego woła utyskiwać, że Andrzej Duda, jako urzędujący prezydent, ma szansę prezentować się w mediach, a na dodatek

jeździ po Polsce i spotyka się z rozmaitymi służbami walczącymi z epidemią. I w ten sposób de facto prowadzi kampanię.

Inni rzecz jasna też mogą ją prowadzić, mimo zmienionych warunków. Małgorzata Kidawa-Błońska, kandydatka Koalicji Obywatelskiej, ma niezłą akcję banerową. Niektórzy politycy twierdzą, że lepszą niż prezydent Andrzej Duda. Władysław Kosiniak-Kamysz, kandydat Koalicji Polskiej, też wykupił billboardy w kilku dobrych miejscach. Ale poza billboardami i akcjami internetowymi mało kto ma pomysł, jak się promować. Nie można organizować spotkań z wyborcami, na co byli nastawieni wszyscy kandydaci, siadła dystrybucja ulotek i plakatów.

- Kosiniak-Kamysz jest bezradny, jego siłą jest mobilizacja wyborców w terenie czyli spotkania z ludźmi, a te się nie odbywają. Zatem Władek siedzi w Warszawie, nie ma z czym wystąpić, bo przeciwko rządowi nie uchodzi, a nic innego się nie przebija do opinii publicznej, zaś jego kampania leży - mówi polityk związany z Koalicją Polską.

Sztab Roberta Biedronia zorganizował studio telewizyjne, w którym kandydat nagrywa filmy. Ich punktem odniesienia jest panująca epidemia. - Bo nic innego teraz ludzi nie interesuje - twierdzi sztabowiec Biedronia. Zatem kandydat lewicy nagrywa i wrzuca do internetu rozmowy dotyczące problemów społeczeństwa. Przykładowo w czwartek w ubiegłym tygodniu Biedroń rozmawiał z Markiem Belką, byłym premierem, ministrem finansów i prezesem NBP, na temat pakietu kryzysowego zaprezentowanego przez rząd. Filmy cieszą się sporą popularnością, niektóre mają nawet po 100 tys. wyświetleń. I to jest zręczne wykorzystanie faktu, że większość ludzi zamknięta w domach konsumuje treści dostępne w internecie.

Biedroń ma jednak inny problem. Gdy premier zwołał telekonferencję z liderami partyjnymi to udał się na nią Adrian

Po stronie opozycji na razie króluje jeden pomysł: **przełożyć wybory! Tymczasem PiS nie chce o tym słyszeć**



Zandberg, szef partii Razem, bo merytorycznie jest dużo lepiej przygotowany do dyskusji o sprawach gospodarczo-społecznych niż Biedroń. Co charakterystyczne w imieniu Koalicji Obywatelskiej w konferencji brał udział Boras Budka, szef PO, a nie kandydatka na prezydenta Kidawa-Błońska. Z tego samego powodu co w przypadku kandydata lewicy.

W najgorszej sytuacji, według nieoficjalnych informacji, jest kandydat niezależny Szymon Hołownia. Przede wszystkim zebrał na kampanię zaledwie około miliona złotych, a liczył na trzykrotnie więcej. Zatem nie ma środków na prowadzenie kampanii i raczej trudno przypuszczać, że je zdobędzie, gdy ludzie zaczynają martwić się o swój byt. Po drugie poparcie dla niego systematycznie spada. Średnie notowania z ostatnich dwóch tygodni wynosi 6 proc., co daje mu przedostatnie miejsce wśród badanych kandydatów. Na ostatnim miejscu jest kandydat Kon-

▲ Małgorzata Kidawa-Błońska ma dobre bilbordy. Ale na razie jej sztabowi brak pomysłu na inne działania w czasie zarazy.

federacji, narodowiec Krzysztof Bosak. - Słaba zbiórka podcięła sztabowi Hołowni skrzydła - mówi polityk opozycji.

Dla Hołowni przesunięcie wyborów nie jest wcale dobrym rozwiązaniem, bo niewielka pula pieniędzy, która dysponuje, nie pozwala mu na prowadzenie długiej kampanii. Mimo to Hołownia jak cała opozycja je st za przełożeniem wyborów.

GESTY DESPERACJI

W PiS na razie nikt nie chce słyszeć o odłożeniu wyborów w czasie. Zwłaszcza, że opozycja chciałaby, aby odbyły się wczesną jesienią, a wtedy prawdopodobnie kryzys wywołany zamrożeniem gospodarki z powodu epidemii sięgnie apogeum. Spadek nastrojów społecznych spowodowanych zapaścią gospodarczą może odbić się na popularności kandydata obozu rządzącego. Zatem opozycja, choć tego nie artykułuje, chciałaby w ten sposób zwiększyć swoje szanse wyborcze, przeprowadzając wybory właśnie wtedy. Tyle, że nie wie jak zmusić do tego PiS.

Wymyślono co prawda tzw. opcję atomową czyli wycofanie się wszystkich kandydatów opozycji z wyścigu prezydenckiego. Gdyby na placu boju pozostał tylko jeden kandydat, Andrzej Duda to wybory prezydenckie i tak trzeba by rozpiścić na nowo.

- Nie wierzę, że to się uda - mówi spokojnie Adam Bielan, rzecznik prasowy sztabu Andrzeja Dudy.

Zjednoczona Prawica upiera się przy wyborach 10 maja. Oficjalnie podpira się terminami konstytucyjnymi. - Kadencja prezydenta Dudy mija 6 sierpnia, każde przekroczenie terminu oznacza narażenie się na zarzut, że łamiemy konstytucję - mówi Bielan.

Wiadomo jednak, że obóz Zjednoczonej Prawicy, choć tego nie artykułuje, liczy, iż problemy gospodarcze wtedy jeszcze nie będą tak silnie odczuwalne, żeby ludzie odwrócili się od prezydenta. Na razie poparcie dla niego stale rośnie i już pojawiły się pierwsze sondaże pokazujące, że może wygrać wybory prezydenckie w pierwszej turze.

- Jeżeli 5 maja nie będziemy mieć sytuacji takiej, jaka dziś panuje w Lombardii, to te wybory się odbędą, mamy zapewnienia Krajowego Biura Wyborczego, że zorganizuje wybory - mówi zdecydowanie sztabowiec Andrzeja Dudy.

A jaka sytuacja panowała w Lombardii gdy rozmawialiśmy ze sztabowcami o scenariuszach politycznych? Ponad 16 tysięcy zakażeń i około 1700 zmarłych. Wygląda na to, że obóz rządzący jest gotowy na wszystko.

Rzecz w tym, że w czasach koronawirusa, gdy właściwie niczego nie wiadomo na pewno, obie rachuby mogą okazać się błędne. Tak samo termin 10 maja może być zły dla prezydenta Dudy, jeżeli pierwsza fala kryzysu gospodarczego uderzy w społeczeństwo z większą mocą niż można się było tego podziwiać jak i jesienią - dla opozycji, jeżeli np. pod jej naciskiem

Obóz Zjednoczonej Prawicy liczy, że w dniu wyborów problemy gospodarcze jeszcze nie będą silnie odczuwalne

wybory zostaną przełożone, a epidemia się nie skończy albo rząd opanuje problemy gospodarcze i tylko na tym zyska.

Dlaczego zatem opozycja domaga się przełożenia wyborów?

- Bo wszystkie plany im się zawaliły - mówi polityk związany z opozycją.

I nie chodzi mu o to, że nie można prowadzić kampanii. Politycy opozycji liczyli, że Trybunał Sprawiedliwości Unii Europejskiej wyda ostry wyrok w sprawie legalności Krajowej Rady Sądownictwa i Izby Dyscyplinarnej Sądu Najwyższego. Krótko mówiąc TSUE miał orzec, że niektórzy sędziowie nie są sędziami i to miało dać paliwo do organizowania masowych demonstracji przeciwko obozowi rządzącemu.

- A teraz nie wiadomo, czy wyrok w ogóle zapadnie w najbliższym czasie, a jeżeli nawet, to na demonstrację w sprawie sądów nikt nie przyjdzie, bo szaleje epidemia. Nie da się podgrzać atmosfery w sytuacji, gdy ludzie martwią się o przetrwanie, zatem jedyny pomysł to jest zmuszenie władz do przesunięcia wyborów np. poprzez wycofanie się z wyścigu wszystkich kandydatów opozycji - mówi nasz rozmówca.

Polityk związany z Koalicją Polską uważa jednak, że jeżeli Marek Jakubiak, były poseł Kukiz15, który nie raz zdradzał swoją sympatię do obozu rządzącego, zdoła zebrać wymagane 100 tys. podpisów i zostanie pełnoprawnym kandydatem na prezydenta, to jest mało prawdopodobne, że razem z opozycją zdecyduje o rezygnacji z wyborów. Niektórzy uważają, że start Jakubiaka w ogóle jest po części inspirowany przez PiS, właśnie jako obrona przed tzw. opcją atomową.

- Na to opozycja już nie ma odpowiedzi - mówi nasz rozmówca.

Prof. Jarosław Flis:

Jeżeli obóz rządzący łudzi się, że uda mu się przeprowadzić wybory 10 maja, to jest w błędzie!

I dodaje: „Myślę, że jeżeli mimo wszystko wybory prezydenckie odbędą się 10 maja, to opozycja w geście desperacji może wezwać do ich bojkotu, co skończy się niską frekwencją i wygraną Dudy, z której prezydent nie będzie się cieszył. Partie opozycyjne zaś zyskają argument, że obecna władza nie ma demokratycznego mandatu. Ale Pałac Prezydencki pozostanie w rękach Zjednoczonej Prawicy”.

TESTOWANIE WYBORÓW

- Jeżeli obóz rządzący łudzi się, że uda mu się przeprowadzić wybory 10 maja to jest w błędzie. Musiałby wydarzyć się cud - mówi prof. Jarosław Flis, z Uniwersytetu Jagiellońskiego, znawca systemów wyborczych.

Dla krakowskiego socjologa spraw jest oczywista - przeprowadzenie wyborów będzie niemożliwe, bo z symulacji wynika, że szczyt zachorowań przypadnie u nas właśnie w maju. Zatem wybory będą nie do zrealizowania pod względem organizacyjnym, a zarazem będą sprzeczne z zaleceniami Głównego Inspektora Sanitarnego.

- Do 10 kwietnia trzeba zgłosić członków do komisji wyborczych, a potem trzeba im zorganizować szkolenia, zwykle robiło się to w wielkich aulach, nie wiem czy znajdują się chętni - mówi socjolog. Pod znakiem zapytania stanie też frekwencja.

- We Francji podczas przeprowadzonych ostatnio wyborów lokalnych frekwencja spadła o jedną trzecią - przypomina Flis. - A fakt, że przy wyborach zorganizowanych w czasach epidemii zostanie pogwałcone czynne prawo wyborcze osób pozostających w kwarantannie, którym nie wolno wychodzić, a głosowanie korespondencyjne zostało zniesione przez PiS - to już jest tylko wisienka na torcie.

Socjolog zwraca uwagę, że gdyby obóz rządzący jednak przeprowadził wybory 10 maja i zdobył Pałac Prezydencki, to chluby mu to nie przyniesie, bo przez całą kadencję Andrzej Duda będzie musiał wysłuchiwać, że skorzystał z okazji epidemii i wygrał w nierównej walce.

- Epidemia prawdopodobnie będzie się rozwijała, może zacząć brakować miejsc w szpitalach, a nawet w kostnicach, jeżeli w takich warunkach ktoś zechce organizować wybory to znaczy, że ma problemy z rzeczywistością. Upieranie się przy tym terminie jest autodestrukcyjne - zaznacza Flis.

Z punktu widzenia PiS ocena sytuacji może być jednak odmienna - ponieważ nikt nie wie co się wydarzy i kiedy w związku z epidemią, to lepiej zdobyć urząd prezydenta i czekać na rozwój wydarzeń niż odwlekać wybory prezydenckie.

Znamienny jest fakt, że władza nie odwołała wyborów uzupełniających do kilku samorządów, które odbyły się w minioną niedzielę. Od polityków opozycji można usłyszeć, że nie wykluczone, iż rząd w ten sposób przetestował możliwość przeprowadzenia wyborów w trudnych warunkach.

- Jeżeli nie będziemy mieli 50 tys. zachorowań i 3 tys. zgonów to Zjednoczona Prawica będzie się upierała przy wyborach i przeprowadzi je nawet na chłama - uważa polityk opozycji. <

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Eliza Olczyk – dziennikarka działu Kraj



Rozmawiała **Agata Jankowska**

Izolacja we dwoje

Wspólne zamknięcie się w mieszkaniu nie wystarczy, byśmy rzucili się na siebie w ogniu pożądania – seksuolog **Michał Pozdał** dementuje przypuszczenia, że czeka nas koronawirusowy baby boom.





„Dramat home office: ten irytujący facet siedzący przy biurku obok to twój życiowy partner”. Tak internet za pomocą memów śmieje się z tego, co nas czeka w domowej izolacji.

To bardzo prawdziwy dowcip. I prawdopodobny scenariusz. W najbliższym okresie przymusowej izolacji będziemy się irytować, wciekać, wkurzać na wszystko i na siebie wzajemnie. Bycie tak blisko partnera, na dodatek przez nie wiadomo jak długi czas, to dla wielu związków wyzwanie. Zwłaszcza dla tych, które jeszcze chwilę temu całą energię wkładały w to, żeby się dyskretnie mijać w drzwiach wejściowych.

Czasy rodzinnej sielanki to fikcja?

Śmiać mi się chce, gdy widzę na Instagramie zdjęcia celebrytów w objęciach wspierającej rodziny przy kominku. To odrealniona wizja, która nie ma nic wspólnego z rzeczywistością wielu osób. Przed nami czas wielkiej próby. Wiele osób zostanie postawionych pod ścianą i zmuszonych do konfrontacji ze sobą. Trudno będzie uciec od prawdy. Single zmierzają się ze swoją samotnością – dla niektórych to bolesne doświadczenie. Pary skonfrontują się z realnością swoich relacji. Jeśli w związku od dawna tliły się problemy, które partnerzy tuszowali, to najprawdopodobniej teraz będą zmuszeni się z nimi zmierzyć.

Może przynajmniej przestaniemy się zdradzać?

Gdyby tak to działało, w latach 80. nie mielibyśmy pandemii AIDS i HIV. W kryzysowych sytuacjach ludzie są pobudzeni, sfrustrowani, podejmują ryzykowne zachowania seksualne. Paradoksalnie, nie sądzę nawet, żeby zmalała liczba mężczyzn korzystających z płatnych usług seksualnych, choć przecież wydawałoby się, że w obecnych czasach to skrajna nieodpowiedzialność.

Nie będzie koronawirusowego baby boomu?

Wielu spodziewa się powtórki scenariusza ze stanu wojennego, ale rzeczywistość uległa transformacji. Wtedy nie było antykoncepcji, internetowej pomografii, fitnessu on-line ani Netfliksa. Poza tym godzina policyjna przypadała na wieczór, w dzień życie toczyło się normalnie. Fakt, że dwoje ludzi zamknie się razem w jednym mieszkaniu, nie wystarczy, żeby rzucili się na siebie w ogniu pożądania. Zwłaszcza że czeka nas czas wyciągnię-

**Nie będzie powtórki
ze stanu wojennego. Po epidemii
nie czeka nas bynajmniej baby boom.**

tych dresów i spranych legginsów. Trudno wyglądać seksownie, gdy siedzi się non stop w domu. I żeby było jasne – jestem daleki od dawania rad, żeby ludzie się stroili, robili makijaż i w sukniach wieczorowych oraz garniturach siadali do kolacji. Sam myślę, że to sztuczne. Ale nawet jeśli seks się zdarzy, bo w wielu związkach na pewno tak będzie, wcale nie musi być z tego dzieci. Ludzie są podszyci strachem, sytuacja jest kryzy-

sowa, a jutro niepewne. Choćby z tych powodów zwyczaję antykoncepcja.

A tak narzekaliśmy, że nie mamy czasu na miłość.

Z mojego doświadczenia z pracy klinicznej wynika, że brak czasu na seks jest objawem problemów w związku, a nie ich przyczyną. Nawet najbardziej zapracowane pary, jeśli mają fajną relację, znajdują chwilę na namiętność. Rzadziej, krócej, w przelocie, ale utrzymują życie seksualne. Brak czasu to dla wielu par dobra wymówka i pewna korzyść wtórna, bo nie muszą się konfrontować z realnym problemem. Podobnie działa wykręt, że nie uprawiamy seksu, bo dzieci są w domu.

Dzieci w domu to oddzielny temat. Większość rodziców ma ochotę podczas kwarantanny je związać, zakneblować i zamknąć na balkonie.

Znowu otuchy dodają nam celebryci, którzy na co dzień zatrudniają sztab ludzi do wychowania potomstwa, ale dziś pieją nad tym, jak bardzo ważny jest czas spędzony z dzieckiem. Wydaje im się, że jak raz z córką zagrają w szachy, a z synem w kalambury, to są królami rodzicielstwa. A realność jest taka, że dla bardzo wielu rodziców czas z dzieckiem spędzony w pomieszczeniu zamkniętym jest koszmarnie trudny, bo im w ogóle trudno być rodzicem. Nie oceniam tego. Stąd myślę, że dla zachowania psychicznego balansu, zamiast zmuszać się do wspólnej aktywności z dzieckiem, lepiej zachęcić je do zabawy,

Żeby przetrwać, musimy się dostosować. O naszym zdrowiu psychicznym świadczy właśnie umiejętność adaptacji

w której zajmie się same sobą. A rola rodzica ograniczy się do zachwytów: „Och, jak pięknie! Rysuj dalej”. Myślę oczywiście o skrajnych przypadkach, kiedy rodzic naprawdę nie odnajduje się w swojej roli. Poza tym nawet ci najbardziej zaangażowani muszą czasami odpocząć.

Sprytne.

Żeby przetrwać, musimy się dostosować. O naszym zdrowiu psychicznym świadczy właśnie umiejętność adaptacji. Po fazie szoku powinniśmy skupić się na tym, aby urządzić sobie czas i życie na nowo według dostępnych narzędzi. Warto odpowiedzieć sobie na pytanie, na co mam wpływ, a na co nie, i nie spalać się w dążeniu do tego drugiego. Jednym przyjdzie to łatwiej, innym trudniej. Nie oszukujmy się: banały o picciu herbatki pod kocykiem z nosem w książce, którą zawsze chcieliśmy przeczytać, tylko nigdy nie było na to czasu, to myślenie życzeniowe. Już po wszystkich na palcach jednej ręki policzę znajomych, dla których izolacja była czasem rozwoju i relaksu.

Przedstawiasz katastroficzną wizję przyszłości.

Bo to, co zaczynamy czuć, siedząc zamknięci w domach, bardziej przypomina żal żałobny niż radość z narodzin. Wchodzimy w fazę straty. Zaczynamy realnie odczuwać stratę możliwości, przyzwyczajęń, relacji, pieniędzy, wolności. To będzie miało wpływ na naszą przyszłość. Nie zarabiamy, więc tracimy pieniądze; nie chodzimy na siłownię, więc tracimy muskulaturę;

nie pijemy wina z przyjaciółmi, więc tracimy towarzyskie relacje. A w ostatnich dekadach przyzwyczailiśmy się do permanentnego zysku. Wprawdzie całe życie to pasmo utrat, ale łatwo nauczyliśmy się im zaprzeczać choćby poprzez konsumpcję, podróże, seks albo przeżywanie życia serialowych bohaterów. Obecna sytuacja stawia nas w pozycji tu i teraz. Nie da się uciec od poczucia straty. Będziemy musieli przejść przez tę żałobę.

Łatwo jest straszyć. Powiedz lepiej, co zrobić, żeby w trudnej sytuacji zachować jako takie poczucie komfortu?

Komfortowo nie będzie – pogódźmy się z tym. Pozwólmy sobie na optakanie strat, na chwilę słabości. Nie musimy wciąż liczyć zysków, nie stawiamy więc sobie nierealnych do osiągnięcia celów. Warto zadbać o własną przestrzeń i moment tylko dla siebie. Nawet jeśli oznacza to założenie słuchawek i oglądanie filmików w telefonie.

Wtedy partner może się obrazić.

Warto z nim o tym porozmawiać. Oprócz tego, że powinniśmy zadbać o siebie, warto wspierać najbliższych. Próbować zrozumieć ich potrzeby. W końcu jesteśmy w tej sytuacji razem. Na całym świecie ludzie mierzą się z tymi samymi problemami.

To pocieszające. A więc kto ma największe szanse wyjść z obecnej sytuacji obronną ręką?

Wszyscy, którzy się zaadaptują do nowej sytuacji i nie będą się spodziewali zbyt wiele. Trochę żartem, a trochę na poważnie, myślę, że łatwiej będzie właścicielom psów, kotów i innych zwierząt. Zwierzęta mają w nosie koronawirusa, nasze lęki i humory. Mają za to swoje potrzeby, którym musimy sprostać. Zamiast biadolić, jak potwornie znosimy przymusową izolację, po prostu wyjdziemy z psem na spacer. Oczywiście zachowując bezpieczną odległość od innych spacerowiczów. <

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Michał Pozdał – psychoterapeuta, seksuolog.
Wykładowca Uniwersytetu SWPS. Założyciel
Instytutu Psychoterapii i Seksuologii w
Katowicach.
Prowadzi konsultacje on-line.

Agata Jankowska – dziennikarka działu
Społeczeństwo, @AgataWprost



Domowy surwiwal

Zamiast lasu, gotowania w menażce i kleszczy jest mieszkanie, własna kuchnia i dzieci. A jednak okazuje się, że przetrwanie podczas kwarantanny w takich warunkach to też sztuka.

Wydawałoby się, że bywają gorsze nieszczęścia niż konieczność spędzenia kilku tygodni na kanapie, jednak dla wielu z nas jest to czas próby. Przymusowe lenistwo byłoby przyjemne, gdyby nie to, że kończą się pieniądze, a to tylko wierzchołek pandemicznej góry lodowej. W trudnych czasach zarazy i izolacji przerywanej sporadycznym wyjściem na zakupy, spontaniczny domowy rozgardiasz stał się nie do zniesienia. Pocieszające, że można go przetrwać, jeśli zastosuje się właściwą strategię.

STRATEGIA AKCEPTACJI

– Nowa sytuacja rzeczywiście jest trudna dla nas wszystkich, więc nie wymagajmy od siebie, że już teraz będziemy znać jej rozwiązanie – mówi Joanna Chmura, psycholożka i trenerka biznesu. To, co się dzieje w naszych domach, porównuje do stanu określanego w biznesie mianem „stormingu”, czyli formowania zespołu. Towarzyszą mu wprawdzie burze, ale atmosfera po nich się oczyszcza. – Zaczęliśmy być ze sobą non stop, więc pojawiają się trudne emocje. To naturalne, bo mamy przesyty bodźców. Kiedyś można było iść na jogę, na zakupy i się odciąć. Teraz nie można, więc wybuchamy. Jeśli klócimy się, to nie znaczy zaraz, że jest źle, tylko że musimy się nauczyć nowej sytuacji. Na wagę złota będzie teraz transparentna komunikacja, jasne wyrażanie potrzeb i umiejętność przepraszania – dodaje Joanna Chmura.

STRATEGIA DLA SINGLI

Izolacja to także trudny czas dla singli. Choć nie mają nadmiaru bodźców i aktywności, też znoszą złe odosobnienie.

– Boimy się ciszy, pustki, jeśli to się przedłuża, odczuwamy niepokój – tłumaczy Joanna Chmura. I podpowiada: – Jeśli mi niewygodnie samej ze sobą, warto zapytać o przyczynę. Nie ma nic



złego w tym, że szukam towarzystwa, ale dlaczego trudno mi przebywać sam na sam ze sobą? Polecam po pierwsze zaakceptować dyskomfort, że jest mi teraz źle. A po drugie być dla siebie przyjacielem. Jakis czas temu, kiedy byłam sama, sporządziłam listę rzeczy, które bym zrobiła dla swojego przyjaciela, żeby poczuł się lepiej: zaparzyłabym herbatę, usmażyłabym naleśniki, kupiła kwiaty. I dokładnie to zrobiłam dla siebie. Chodzi o to, żeby nie być dla siebie katem, tylko dobrym bliskim towarzyszem.

STRATEGIA NADAWANIA SENSU

To, że izolacja we własnym domu przypomina sztukę przetrwania sprawia, że wielu ludzi pyta: dlaczego. Po sieci krążą różne, mniej lub bardziej metafizyczne próby wytłumaczenia sobie sytuacji. Grażyna czuje, że ta społeczna izolacja zmieni coś w nas wszystkich. Jest wierząca, mówi, że to szczególnie Wielki Post.

Monika, przymusowo urlopowana matka czwórki dzieci z Warszawy, wyjechała z nimi na czas izolacji w góry. Napisała na portalu społecznościowym: „Wszelchświat mówił do nas od dawna. Prosił. Ostrzegał. Nikt go nie słuchał. My wciąż go zlewaliśmy, zajęci swoim ego. W końcu postanowił zatrząść nami porządniej. Zamykając nas w domach, dał nam czas na przemyślenia. Oby nastąpiło całkowite przewartościowanie tego, co było”. <

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Więcej czytaj w wydaniu specjalnym „Wprost” „Domowy surwiwal” na prenumerata.wprost.pl



Mecenas Teatru Telewizji

Polskie Górnictwo Naftowe
i Gazownictwo



Polskie Górnictwo Naftowe i Gazownictwo od lat wspiera inicjatywy, projekty i wydarzenia promujące polską kulturę wysoką, występując w roli ich sponsora lub organizatora. W poczuciu odpowiedzialności za polskie dziedzictwo kulturalne objęliśmy mecenatem Teatr Telewizji.



Marcin Dzierżanowski

Katolik na kwarantannie, czyli przewodnik po religii w czasie zarazy

W dobie koronawirusa wiele katolickich zwyczajów, a nawet wydawałoby się nienaruszalnych reguł – musi zostać poddanych rewizji.



Sekretariat Generalny Episkopatu Włoch wydał instrukcję „Sugestie do celebracji sakramentów w czasie nagłego zagrożenia COVID-19”. Biskupi nakazują w niej m.in. używanie przez księży „jednorazowych rękawiczek winylowych lub nitrylowych” w czasie sakramentów chrztu, namaszczenia chorych. W czasie spowiedzi kapłan powinien mieć maskę ochronną, a wierny musi być od niego oddalony o co najmniej metr. Przed rozpoczęciem obrzędu namaszczenia „szafarz zakłada rękawiczki i zanurza kciuk w oleju, uważając następnie, aby nie dotknąć gołymi palcami powierzchni rękawicy” – czytamy w dokumencie.

W Polsce metropolita szczecińsko-kamieński abp Andrzej Dzięga w liście do wiernych zasugerował, że epidemia to kara za grzechy. W dodatku odciął się od zalecaniej przez Episkopat rezygnacji z korzystania wody święconej i przyjmowania komunii na rękę. - Chrystus nie roznosi zarazków ani wirusów – przekonywał.

- Jak bardzo nieodpowiedzialnym człowiekiem trzeba być, żeby teraz napisać

coś takiego? Ręce opadają – skomentował Piotr Żyłka, redaktor naczelny jezuickiego portalu Deon.pl.

Myślenie biskupa Dzięgi jest nie tylko lekkomyślne, ale też błędne teologicznie. II Sobór Watykański w dokumencie „Gaudium et spes” uznał bowiem autonomię nauk przyrodniczych od teologii. Oznacza to m.in., że Kościół uznaje wszystkie zasady fizyki, medycyny czy chemii. W tym kontekście sugestie biskupa, że nie można się zarazić przez wodę święconą czy komunię, są nie tylko głupie, ale też niezgodne z nauczaniem i tradycją Kościoła.

Ks. Wojciech Kućko na łamach „Więzi” przytacza fragment podręcznika dla kapłanów posługujących w czasie zarazy. Został on wydany w 1789 roku we Włoszech. W celu udzielenia rozgrzeszenia kapłan miał „stać w odległości dziewięciu lub dziesięciu kroków od chaty lub miejsca, do którego chorzy zostali oddaleni, stając po stronie, skąd wieje wiatr, i w ten sposób wysłuchać spowiedzi na odległość, zadowolając się krótkim pytaniem o najważniejsze

grzechy w ich sytuacji, dając zarażonym rozgrzeszenie z tego samego miejsca”.

W jeszcze bardziej skomplikowany sposób udzielano chorym komunii. Według instrukcji, księża „umieszczają konsekrowaną Cząstkę w większej hostii niekonsekrowanej i mając wszystko zawinięte w papier, położą na ziemi rozważnie daleko od chaty, zakryją to kamieniem z obawy, by nie zwał wiatr, po czym oddalą się bardzo daleko, powiedziawszy choremu, gdzie jest konsekrowana Hostia; chory podejdzie ją zabrać sam lub przyniesie mu ją ten, który mu posługuje; [kapłani] będą uważni, aby chory wziął Hostię, i uczynią przed i po komunii modlitwy, które poleca Rytuał w udzielaniu świętego Wiatyku”. Widać, że ponad 200 lat temu doskonale zdawano sobie sprawę z zagrożenia epidemiologicznego i starano się je uwzględnić przy posłudze religijnej.

Nie ma więc wątpliwości, że w dobie koronawirusa wiele katolickich zwyczajów – a nawet wydawałoby się nienaruszalnych reguł – musi zostać poddanych rewizji.

CO Z TĄ MSZĄ, CZYLI KOGO DOTYCZY DYSPENSA?

Wiele się mówi o dyspensie polskich biskupów, którzy zwolnili niektórych wiernych z obowiązku uczestniczenia we mszy świętej. Dotyczy ona jednak jedynie osób starszych, chorych i tych, którzy boją się zarażenia. A co z tymi, którzy na przykład są młodzi i po prostu nie chcą narażać bliskich? Wydaje się, że Episkopat o nich nie pomyślał (choć ostatecznie można ich podciągnąć pod trzecią kategorię podlegających dyspensie).

Ci, których biskupi nie wymieniają, mogą jednak także nie iść na mszę świętą. Wiadomo, że nie grzeszy ten, kto nie wypełnia obowiązku niedzielnej Eucharystii „z ważnego powodu”. A takim może być obawa przed narażaniem zdrowia bliskich. Zresztą „ważnym powodem” mogą też być ograniczenia w dostępie do mszy, które wprowadzono po tym, jak państwowo zakazało organizowania zgromadzeń większych niż 50-osobowe. Do pozostania w domu namawia wielu światłych księży.

A CO Z TRANSMISJAMI MSZY ŚWIĘTEJ W RADIU, TELEWIZJI CZY INTRENECIE?

Zgodnie z kościelnymi przepisami, transmisja nie zastępuje realnej obecności na mszy. Oglądanie transmisji nie jest więc obowiązkowe nawet w sytuacji, gdy ktoś z ważnych powodów nie idzie na niedzielną Eucharystię. Dyrektorium Episkopatu z 2017 roku w sprawie transmisji Mszy świętej, podkreśla, że „ogłądanie Mszy w telewizji nie jest tym samym co bezpośrednie uczestnictwo”. Kościół zachęca jednak do oglądania czy słuchania transmisji wydarzeń liturgicznych, bo wtedy wiernym łatwiej jest się łączyć z tymi wydarzeniami duchowo. Wśród teologów nie ma zgody, czy słuchając transmisji mszy, należy w odpowiednich momentach klękać albo na przykład wstawać. Ks. Andrzej Draguła, kierownik Katedry Teologii Praktycznej Uniwersytetu Szczecińskiego sugeruje, że telewizor czy ekran komputera staje się w czasie transmisji swoistą ruchomą ikoną, dlatego odpowiednie gesty liturgiczne są nie tylko dopuszczalne, ale i zalecane. O ile oczywiście zdajemy sobie sprawę z tego, że klękamy nie przed telewizorem, a pokazanym w telewizji ołtarzem znajdującym się w rzeczywistości wiele kilometrów od naszego mieszkania.

CZY MOŻLIWA JEST SPOWIEDŹ PRZEZ TELEFON?

Wielu teologów od lat zastanawia się nad możliwością udzielania rozgrzeszenia przez telefon. Na razie jednak Kościół nie przewidział takiej ewentualności.

W sytuacjach klęsk żywiołowych, wojen czy zagrożenia życia wielu osób kapłani mogą udzielić tzw. absolucji generalnej. Jest to jakby zbiorowe rozgrzeszenie bez wyznawania grzechów. Na takie rozwiązanie kilka dni temu zdecydował się Episkopat Węgier (w Polsce ostatni raz na masową skalę stosowano to rozwiązanie w czasie Powstania Warszawskiego). Wierny tak rozgrzeszony powinien jednak przystąpić do spowiedzi indywidualnej, gdy będzie to już możliwe. Ma on wówczas obowiązek wyznać także grzechy, z których został rozgrzeszony w czasie absolucji generalnej.

Zgodnie z przepisami kościelnymi, święconkę może poświęcić nie tylko kapłan, ale też osoba świecka. najlepiej matka lub ojciec rodziny.

W Polsce biskupi nie zdecydowali się jeszcze na to rozwiązanie. Na razie polecili, by na krótkach konfesjonatu zawiesić szczelne folie ochronne. Kto jednak boi się w tej sytuacji przystąpić do spowiedzi, może poprosić księdza o spowiedź w zamkniętym pomieszczeniu, gdzie między spowiednikiem a penitentem będzie zachowana odpowiednia odległość. Według prawa kościelnego, grzechy gładzi także tzw. „doskonały żal za grzechy”.

CZY MOŻNA PRZYJĄĆ KOMUNIE NA RĘKĘ?

W czasie kwarantanny księża zalecają przyjmowanie komunii wyłącznie na rękę. Wielu polskich katolików to szokuje. Niektórzy konserwatywni wierni (a nawet księża) sugerują, że to nowinkarstwo z Zachodu. Nic podobnego. Po pierwsze, zwyczaj komunii na rękę rozpowszechniony jest nie tylko na Zachodzie, ale też na przykład w Afryce. Po drugie, Stolica Apostolska oficjalnie dopuszcza ten sposób przyjmowania komunii w instrukcji Kongregacji ds. Kultu Bożego i dyscypliny Sakramentów Redemptionis Sacramentum. Ważne, żeby wiedzieć, jak poprawnie przyjąć komunię na rękę.

Szczegółową, wręcz nieco poetycką instrukcję w tej sprawie opracował dla Polaków w styczniu 2005 r. prymas Polski kard. Józef Glemp. „Lewa dłoń, podtrzymywana przez prawą, ma być tak wyciągnięta, aby tworzyła jakby patenę lub rodzaj żłóbka, na którym mogłaby być położona Komunia święta. Następnie prawą ręką wierny bierze złożone na lewej dłoni Ciało Pana i wkłada do swych ust niezwłocznie, w obecności kapłana”. Niestety, ten sposób przyjmowania komunii na rękę jest wygodny wyłącznie dla osób praworęcznych. Leworęczni powinni móc przyjąć komunikant na prawą dłoń, co jest wygodniejsze.

CO ZROBIĆ Z DŁONIĄ PO PRZYJĘCIU KOMUNII NA RĘKĘ?

Nic! Opór wiernych przed przyjęciem komunii na rękę wiąże się często z obawą przed nieświadomą profanacją. Wielu się boi, że pojedyncze drobinki z hostii mogą się przykleić do dłoni, a potem na przykład upaść na ziemię. Takie obawy wyrażają nawet niektórzy

konserwatywni biskupi. - Przy rozdawaniu komunii świętej na rękę partykuły upadają na ziemię, przez co zostają znieważane – oświadczył kilka lat temu bp Athanasius Schneider, niemiecki biskup pracujący w Kazachstanie.

To jednak niepotrzebne obawy. Deklaracja Kongregacji Nauki Wiary „O partykułach eucharystycznych” (partykuły to małe fragmenty hostii, które się oderwały od całości) mówi wyraźnie, że fragmenty komunii pozostają konsekrowane tylko wtedy, gdy wyglądają jak kawałek chleba. „Partykuły, które oderwały się od konsekrowanej Hostii, muszą nadal wyglądać jak chleb, w przeciwnym razie nie będą już znakiem i nie mogą dłużej stanowić fundamentu obecności Ciała Chrystusa. Dotyczy to nie tylko partykuł niewidocznych gołym okiem, ale także partykuł tak małych, że nie wyglądają już jak chleb”. Tak więc po przyjęciu komunii na rękę nie musimy obmywać dłoni z pyłu, który ewentualnie mógł zostać po komunikancie.



Abp Andrzej Dzięga nieodpowiedzialnie namawia, by w czasie epidemii korzystać z kropielnic

CZYM JEST KOMUNIA DUCHOWA?

Księża, którzy radzą wiernym przyjmowanie komunii na rękę, spotykają się z oporami ze strony bardziej tradycyjnych katolików. Tym, którym sumienie nie pozwala na dotykanie hostii, zalecają tzw. komunię duchową. Co to oznacza?

O komunii duchowej pisał Jan Paweł II w encyklice „Ecclesia de Eucharistia”. „W Eucharystii znajduje swój kres wszelkie ludzkie pragnienie, ponieważ tu otrzymujemy Boga i Bóg wchodzi w doskonałe zjednoczenie z nami. Właśnie dlatego warto pielęgnować w duszy stałe pragnienie Sakramentu Eucharystii. Tak narodziła się praktyka komunii duchowej, szczęśliwie zakorzeniona od wieków w Kościele i zalecana przez świętych mistrzów życia duchowego”.

w sposób indywidualny. Według teologów, przynosi ona takie same owoce, jak komunii sakramentalna.

KTO MOŻE POŚWIECIĆ WIELKANOCNE POKARMY?

Wielu Polaków nie wyobraża sobie Wielkanocy bez święconki. Nic dziwnego – ten zwyczaj znany jest u nas co najmniej od XIII wieku. I o ile w innych krajach praktycznie obumarł, w Polsce – jak twierdzi liturgista ks. Marian Pisarszak – nabrał znaczenia „ósmego sakramentu”. Niestusznie, z punktu widzenia teologicznego jest to bowiem

Co zrobić, jeśli społeczna kwarantanna potrwa do Wielkanocy i nie będziemy mogli zanieść święconki do kościoła? W myśl przepisów liturgicznych, to nie problem. Wprawdzie w średniowieczu prawo do poświęcenia pokarmów w Wielką Sobotę było zastrzeżone dla proboszczów (toczyły się nawet w tej sprawie spory sądowe), to dziś błogosławieństwa pokarmów może dokonać także osoba świecka. Współczesny polski Rytuał Błogosławieństw przyjęty przez Episkopat w 1994 r., w punkcie 1338 mówi: „Błogosławieństwa pokarmów może też dokonać w domu ojciec, matka lub ktoś z członków rodziny przed porannym wspólnym posiłkiem w Uroczystość Zmartwychwstania Pańskiego”.

DO KOGO SIĘ MODLIĆ W CZASACH ZARAZY?

W Polsce tradycyjną modlitwą od wieków odmawianą w czasach epidemii są Suplikacje. Do ich śpiewania w kościołach zachęcała ostatnio Rada Stała Episkopatu. Mówiąc precyzyjnie, polska tradycja łączy w jedną modlitwę znany na całym świecie hymn Trisagion („Święty Boże, Święty Mocny, Święty a Nieśmiertelny”) z właściwymi suplikacjami, jakim są wezwania „Od powietrza, głodu, ognia i wojny wybaw nas Panie”. Ta druga część, w innych krajach nieznaną, została u nas dodana w XVII wieku, w okresie Potopu Szwedzkiego i niespotykanego spustoszenia, jakie przeszło wówczas przez nasz kraj.

W pobożności ludowej przed zarazami chronią święci Roch, Walenty, Florian i Rozalia. - Przez wieki dali się poznać jako „Obrońcy w czasach powietrza” – mówi Dawid Gospodarek, dziennikarz Katolickiej Agencji Informacyjnej.

Nie ma więc wątpliwości, że wielowiekowa praktyka Kościoła pozwala na praktykowanie bez narażania siebie i innych. „Żadna to pobożność i żadne to poświęcenie narażać siebie, a co gorsza innych na infekcję” – pisze na portalu deon.pl jezuita ks. Wacław Osajca. „Prawa szabatu muszą ustąpić prawu miłości. Chrześcijański szabaty nie może być wrogiem dobra” – dodaje. <

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Marcin Dzierżanowski – redaktor naczelny, m.dzierzanowski@wprost.pl @DzierzanowskiM, f

W pobożności ludowej przed zarazami chronią święci Roch, Walenty, Florian i Rozalia. W kościołach śpiewa się też Suplikacje: „Święty Boże”

W praktyce komunii duchowa oznacza wzbudzenie w sobie silnego pragnienia przyjęcia Eucharystii. Nie ma ona specjalnego rytuału, każdy wierny może zrobić to

obrzeź drugorzędny. Mimo to miliony Polaków, którzy w ciągu roku nie praktykują, idą w Wielką Sobotę do kościoła, by poświęcić koszyk z produktami żywnościowymi.



Małgorzata Fiejdasz-Kaczyńska

Pomagaj, nie przeszkadzaj

Wydarzenia ostatnich dni pokazały, że jest coś bardziej zaraźliwego niż wirus – entuzjazm, z jakim dzielimy się pomocą.

Wpowodzi złych wiadomości jedna dodaje otuchy: nie tylko koronawirus rozchodzi się błyskawicznie, także solidarność, dzięki której wspieramy się podczas pandemii.

„Dziękuję panu Piotrowi za krupnik z kaszą, ziemniakami i marchewką. Tak smakuje czysta ludzka życzliwość” – napisała na Facebooku Monika Kucia, kuratorka kulinarna, która spędza czas kwarantanny z dwójką dzieci w wieku podstawówkowym, 80-letnią mamą unieruchomioną z powodu chorób i czterema kotami. To, że cały dom jest na jej głowie to nie nowina, nauczyła się już organizować życie tak, żeby wszystko chodziło jak w zegarku. Ale teraz zegar przyspieszył wbrew jej woli – każde wyjście z domu niesie ryzyko przywleczenia do domu koronawirusa, który dla mamy z nadciśnieniem i po licznych chorobach płuc stanowi śmiertelne niebezpieczeństwo. Gdy tylko zobaczyła na Facebooku lokalną grupę „Widzialna Ręka” stworzoną do pomagania sobie w trudnych sytuacjach wywołanych epidemią, zamieściła ogłoszenie, że poszukuje maseczek, bo używa ich profilaktycznie w opiece nad mamą. Nie wiedziała wtedy jeszcze, że uruchamia lawinę.

ZADZIAŁAŁ INSTYNET

Dzięki inicjatywom takim jak Widzialna Ręka, działająca według zasady „pomagaj, nie przeszkadzaj”, możemy zobaczyć lepszą twarz Polski. Solidarną, altruistyczną, życzliwą. Mapa z zaznaczonymi lokalnymi grupami częściowo pokrywa się z przypadkami zachorowań na Covid-19. Jest gęsta w Warszawie, Katowicach, Wielkopolsce, ale też wokół Trójmiasta. W Rzeszowie ofert pomocy jest więcej niż próśb o nią. Dowiozę do lekarza. Zrobię zakupy. Wyprowadzę psa. Wyrzucę śmieci.

Furorę robi zakwas na chleb przekazywany sobie z rąk do rąk (z zachowaniem zasad bezpieczeństwa). Popularność wymianek zakwasowych kojarzy się Justynie Dworczyk, psychoterapeutce i współtwórczyni warszawskiego ośrodka Konteksty, z czasami wojennymi, kiedy w obliczu głodu i zagrożenia życia posiadanie w domu chleba było jedną z podstawowych potrzeb. W ogóle fora pomocowe mają w sobie coś atawistycznego – są dowodem na to, że człowiek nie istnieje bez więzi. – Organizm broni się przed narzuconą izolacją. Nie potrafimy żyć w odosobnieniu, potrzebujemy być jednym z ogniw łańcucha – podkreśla Justyna Dworczyk.

POTENCJAŁ ŻYCZLIWOŚCI

Reakcja na post Moniki Kuci w Widzialnej Ręce była błyskawiczna. Najbardziej spektakularną pomoc zaoferował pan Piotr, któ-

ry zadeklarował, że do 30 kwietnia będzie przyrządzał obiady dla rodziny. Pracuje popołudniami i codziennie pomiędzy dziećmi a jedenastą zjawia się na Mokotowie ze stoikami. Nie chce pieniędzy. Monika nawet nie próbuje sobie tego tłumaczyć. – Tkwi w nas potencjał radykalnej życzliwości i on się teraz ujawnia – mówi.

Krystian Rubacha z Torunia, psychoterapeuta, który od tygodnia rozkręca wspólnie z dziesiątkami osób



największą do tej pory inicjatywę darmowego wsparcia – PDS, czyli www.psychologowie-dla-spolesczenstwa.pl, nie kryje zdumienia, widząc odzew koleżanek i kolegów po fachu: – W ciągu kilku dni zebraliśmy do pomocy ponad sto osób, a wciąż zgłaszają się nowe. Ludzie, którzy dzwonią do specjalistów, mierzą się z samotnością, boją o utratę źródła dochodu, obawiają o zdrowie najbliższych – wylicza. Jak on sam trzyma się w tym wszystkim? – Zamiast faszerować się negatywnymi doniesieniami, skupiam się na organizowaniu pomocy. Ta inicjatywa daje mi nadzieję, że z ludzkością nie jest aż tak źle. <

© Wszelkie prawa zastrzeżone

**Więcej czytaj w wydaniu specjalnym
„Wprost” „Domowy survival”
na prenumerata.wprost.pl**

SPRAWDŹ SWÓJ PIT I PRZEKAŹ

1% PODATKU

FUNDACJI POLSAT

To nic Cię nie kosztuje!



KRS 0000 135 921

Twój 1% podatku pomoże
dzieciom w walce z chorobą

#jesteśmydladzieci



fundacijapolsat.pl

Akcję wspiera





Domowe przedszkole

81 proc. dzieci chciałoby, by rodzice się z nimi więcej bawili – wynika z badania przeprowadzonego na zlecenie producenta klocków. Podczas kwarantanny czasu na zabawy mamy jakby więcej. Jak więc go mądrze wykorzystać?

Eksperti przyznają, że zamknięte przedszkola i szkoły, kwarantanna czy tak wskazana dziś izolacja wcale nie oznaczają początku zmagania o tytuł najlepszego rodzica na świecie. – Dorośli muszą zdjąć z siebie ciężar łączenia wszystkich ról jednocześnie, powinni też dać odsapnąć i sobie, i dzieciom. Nie chodzi o to, by wypełniać dziecku cały dzień coraz to nowszymi pomysłami na zabawy. Gdybyśmy jako rodzice chcieli skorzystać ze wszystkich propozycji zabaw i edukacyjnych aktywności, które można dziś znaleźć w Internecie, musielibyśmy mieć do czynienia nie tylko z pandemią koronawirusa, ale też stać się nieśmiertelnymi – mówi Katarzyna Kalinowska, psycholożka, trenerka Fundacji FamilyLab Polska, nauczycielka Montessori.

Problemem może także okazać się fakt, że w normalnym życiu, czyli tym przed koronawirusem, rodzice czasu dla dzieci mają jak na lekarstwo. A co za tym idzie, bywa, że nie są przyzwyczajeni do wspólnych zabaw, nie potrafią ich inicjować czy wręcz wstydzą się wchodzenia w rolę proponowane im przez dzieci. Z przeprowadzonego na zlecenie firmy LEGO, największego na świecie producenta klocków, badania, w którym udział wzięło 13 tys. osób z dziewięciu krajów świata, wynika, że prawie jedna trzecia rodzin spędza razem mniej niż pięć godzin tygodniowo. Jedna osoba na 10 bawi się mniej niż dwie godziny w tygodniu. Ponad jedna trzecia pytanym przyznała, że trudno im znaleźć czas na zabawę ze względu na napięty harmonogram zajęć, zarówno rodziców, jak i dzieci. Poza tym, jak wynika z badań, nawet jeśli rodzice bawią się z dziećmi, to ponad 60 proc. z nich przyznaje, że zabawa ta często bywa przerywana ze względu na obowiązki zawodowe, zajęcia domowe, czy ciągłe dające o sobie znać smartfony.

Skoro zaś 81 proc. dzieci chciałoby, by



rodzice się z nimi więcej bawili, domowa kwarantanna, czy izolacja teoretycznie temu sprzyja.

– Nawet niewielki balkon może stać się placem zabaw. Wystarczy do kartonu nasypać zamówionego przez internet piasku, dorzucić dwa kubki i tyżkę, by dać dziecku namiastkę normalności – mówi Odeta Moro, dziennikarka i autorka dwóch książek poświęconych dziecięcym zabawom: „Czupury i inne zabawy z wyobraźnią” oraz „W co się bawić?”, a przede wszystkim mama. Moro dodaje, że skoro zrobiliśmy zapasy papieru toaletowego, a pandemia koronawirusa wymusiła na nas siedzenie w domu, z rurki po papierze można zrobić lornetkę, by dzięki niej wyłapywać idącego po zakupy sąsiada lub auto w czerwonym kolorze. – Dzień życie toczy się na balkonach, można więc tę sytuację wykorzystać do zabawy – dodaje dziennikarka.

Co jeszcze psycholożka Katarzyna Kalinowska, dziennikarka Odeta Moro i blogerka Kaja Wolnicka radzą rodzicom maluchów? <

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Więcej czytaj w wydaniu specjalnym „Wprost” „Domowy surwiwal” na prenumerata.wprost.pl



Maski opadły, czyli kto chce zarobić na epidemii

Lekarze wstrzymują operacje i nie przyjmują pacjentów, bo w całym kraju brakuje środków ochrony osobistej. Szpitale miały podpisane umowy na dostawę maseczek, ale firmy zaczęły je wypowiadać, bo bardziej opłaca się handlować w internecie.

> Matt Colvin z bratem wykupili środki dezynfekujące w sklepach i sprzedawali je w internecie nawet z 70-krotnym przebicciem. Do czasu aż Amazon zawiesił ich aukcje



Dzień po tym, jak 1 marca amerykańskie media podały informację o pierwszej śmiertelnej ofierze koronawirusa w USA, Matt Colvin wsiadł ze swoim bratem w samochód i wspólnie ogołocili ze środków dezynfekujących półki we wszystkich lokalnych sklepach. Przejechali ponad 2 tys. kilometrów wzdłuż i w szerz całego stanu Tennessee. Kupili w sumie ponad 20 tys. butelek płynu do dezynfekcji rąk. Handlowali nim przez internet. Butelki kupowali za dolara. Odsprzedawali nawet za 70 dolarów. Colvin tłumaczył, że traktuje swój biznes jak służbę publiczną. W końcu naprawia niewydolność rynku, bo sprzedaje płyn tam, gdzie go nie ma. Dzień później Amazon zawiesił wszystkie jego aukcje. 36-latek został z tysiącami butelek w garażu i za bardzo nie wiedział, co z nimi zrobić.

Po tym, jak jego historię opisał „New York Times”, sprawą zainteresowała się prokuratura. Colvin zaczął przeproszać i tłumaczyć, że nigdy nie chciał dorobić się na ludzkiej krzywdzie. Przekazał cały towar lokalnej parafii. Prokurator generalny stanu Tennessee ogłosił: – Nie będziemy tolerować sztucznego zawyżania cen w czasach, kiedy mamy tak wyjątkowe potrzeby. Podejmiemy drastyczne kroki, żeby takie praktyki ukrócić.

W podobnym duchu wypowiedział się dziennikarz NYT. – Teraz, kiedy miliony ludzi na całym świecie nadaremnie szukają środków dezynfekujących do rąk, by chronić się przed koronawirusem, Colvin siedzi na 17,7 tys. butelek bez pomysłu, jak je sprzedać – pisał Jack Nicas.

Do mojej apteki przyjechał pan, który chciał wykupić cały towar. Mówił, że handluje maseczkami na Allegro i w miesiąc zarobi 40 tys. zł – opowiada farmaceutka

Ale Tennessee to nie wyjątek. Parę tygodni temu po Polsce również grasowały grupy, które wykupowały całe zapasy maseczek ochronnych, środków do dezynfekcji czy żeli antybakteryjnych z drogerii i aptek. Firmy, które dostarczały środki ochrony osobistej dla szpitali, wypowiedziały z dnia na dzień umowy. Nawet z zapłatą kar umownych bardziej optała im się teraz sprzedawać maseczki i płyny w internecie. Szpitale, które dzisiaj chcą maski kupić, słyszą, że ceny wzrosły sześćdziesięciokrotnie. Tak się robi biznes w czasie epidemii.

UMÓW SIĘ DOTRZYMUJE

Paulina Front, właścicielka apteki z Niepołomic, mówi, że jeszcze przed tym, jak potwierdzono pierwszy przypadek koronawirusa w Polsce, po małopolskich aptekach krążyli ludzie, którzy skupowali maseczki i płyny dezynfekujące w ogromnych ilościach. – Do mojej apteki przyjechał pan, który chciał wykupić cały towar. Chwalił się, że handluje maseczkami na Allegro i w miesiąc zarobi 40 tys. zł – opowiada.

Na serwisach aukcyjnych za jedną maseczkę jeszcze parę tygodni temu trzeba było zapłacić nawet 10 zł. Opakowania po 50 sztuk kosztowały nawet pół tysiąca złotych. Przed wybuchem epidemii za jedną płacono średnio kilkadziesiąt groszy. W Internecie maseczki dla budowlanców reklamowano jako antywi-

rusowe, które chronią przed zarażeniem. – To bzdura. Noszenie masek przez osoby zdrowe jest bezsensowne. Przed niczym to nie chroni. Jeżeli pojawi się taka potrzeba, GIS wyda odpowiedni komunikat. Teraz jest to jedynie niepotrzebne wydawanie pieniędzy i nabijanie kabzy osobom, które wykorzystując zaniepokojenie epidemią koronawirusa, podnoszą ceny – przestrzega Jarosław Pinkas, szef Głównego Inspektoratu Sanitarnego.

Hurtownie i producenci zwęszyli jednak dobry biznes, sztucznie zawyżając ceny. Przy tym odcinając od dostaw polską służbę zdrowia, bo bardziej optała się im sprzedawać w detalu niż realizować kontrakt ze szpitalem.

O tego typu praktykach alarmował pod koniec lutego Urząd Ochrony Konkurencji i Konsumentów. Dwie hurtownie wypowiedziały szpitalom kontrakty na dostawę środków ochrony indywidualnej.

– Zerwanie umowy ze szpitalem po to, aby podnieść cenę lub sprzedać produkty na rynku, zamiast dostarczyć je placówkom medycznym w ramach wcześniej zawartych umów, to działanie nie tylko haniebne, ale również sprzeczne z ustawą. Pacta sunt servanda – umów należy dotrzymywać – tłumaczy Tomasz Chróstny, prezes UOKiK. Nie wyklucza, że zgłosi sprawę do prokuratury i Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego. Firma, oprócz maksymalnej kary wynoszącej 10 proc. rocznego obrotu, może zostać również wykluczona z przyszłych przetargów publicznych. Po tej sytuacji UOKiK uruchomił specjalną infolinię dla dyrektorów szpitali, którzy mogą zgłaszać urzędowi przypadki łamania prawa przez dostawców.

Urząd nie chce ujawnić nazw firm, które wypowiedziały umowy szpitalom. Według naszych informacji, jedną z poszkodowanych placówek jest Uniwersyteckie Centrum Kliniczne w Gdańsku. Nie dość, że wypowiedziano im umowę, to na początku marca nieznani sprawcy ukradli ze szpitala pojemniki z płynem do dezynfekcji. Łupem padły też maseczki ochronne.

JAK W PRL

– W szpitalach nigdy się nie przelewało, więc nikogo nie było stać na robienie zapaśów rękawiczek, maseczek czy fartuchów. Teraz mamy czasy wojny z wirusem i tych środków zaczyna brakować – mówi lekarz



Bartosz Fiałek. Koledzy ze szpitali, którzy walczą na pierwszej linii frontu z koronawirusem, mówią mi, że brakuje przede wszystkim maseczek, gogli i kombinezonów ochronnych. – Jeżeli w pierwszej kolejności nie zabezpieczymy personelu medycznego, to nie będzie miał nas kto leczyć – tłumaczy.

Swoje zapasy stara się teraz zwiększyć krakowski szpital specjalistyczny im Gabriela Narutowicza. – Brakuje maseczek, fartuchów. Wstrzymaliśmy przyjęcia, zawiesiliśmy zabiegi i operacje – mówi rzeczniczka szpitala Agnieszka Marzęcka. Wcześniej kupowali maseczki po 12 groszy za sztukę. Teraz pytali o ceny w kilku hurtowniach. Sprzedawcy żądają od szpitala nawet 7,7 zł za jedną maseczkę. 64 razy drożej! – Nie ma z nimi dyskusji. Mówią, że taka jest cena i pytają, czy się decydujemy – opowiada Marzęcka. Dyrektor szpitala, Renata Godyń-Swędzioł, mówi, że jej placówki nie stać na takie ceny. – Chyba będziemy musieli powrócić do sposobów sprzed 30 lat, kiedy to maseczki były szyte. Rozważam zlecenie szycia maseczek szwaczkom. Muszę w jakiś sposób zabezpieczyć pracowników i pacjentów przebywających na oddziałach zachowawczych i poradniach – tłumaczy.

Podobna sytuacja jest w większości polskich szpitali. Maseczek albo nie można kupić w ogóle, albo hurtownie żądają za nie horrendalnych kwot. Robert Krawczyk, dyrektor Uniwersyteckiego Centrum Klinicznego Warszawskiego Uniwersytetu Medycznego, mówi w rozmowie z „Polską Times”, że dostawcy, z którymi szpital ma podpisane umowy na środki ochrony osobistej, nie realizują zamówień. Postanowił więc zapytać o ofertę inne firmy. Usłyszał, że teraz za zwykłą maseczkę chirurgiczną trzeba zapłacić 11,5 zł, a nie 30 groszy jak wcześniej.

▲ Ceny newralgicznych produktów, jak maseczki czy płyny do dezynfekcji, gigantycznie wzrosły

– To jest żerowanie na krzywdzie ludzkiej. Na tym zawsze się dobrze zarabiano. Takie firmy powinny mieć już na zawsze zakaz współpracy z ochroną zdrowia, skoro chcą się dorabiać na szpitalach w tak trudnym czasie dla całego kraju – mówi Fiałek.

CAŁA POLSKA SZYJE

Na pomoc miała przyjść Agencja Rezerw Materiałowych. Ale maseczki trafiają stamtąd głównie do szpitali zakaźnych, a nie do zwykłych placówek medycznych.

Marcin Wiśniewski, prezes Związku Aptekarzy Pracodawców Polskich Aptek – Ceny newralgicznych produktów, jak maseczki czy płyny do dezynfekcji, gigantycznie wzrosły. Przed epidemią maseczka kosztowała kilkadziesiąt groszy, dziś może to być nawet 20 zł.

Paweł Bernat z Neuca, jednej z największych hurtowni medycznych w Polsce: – Codziennie zgłaszają się do nas pośrednicy, którzy oferują maseczki niewiadomego pochodzenia po niezwykle zawyżonych cenach. Wszystkie oferty odrzucamy. My nie nakładamy na środki ochrony osobistej swojej marży.

Problem może wynikać z tego, że przed wybuchem epidemii 80 proc. maseczek używanych w kraju importowaliśmy z Chin czy Tajwanu. Z kolei polskie firmy, które zajmowały się produkcją środków ochrony osobistej, wołały sprzedawać je drożej na Zachodzie, niż taniej w kraju. Teraz, kiedy granice są zamknięte, a zapasy szpitali i hurtowni się kończą, zasady gry wywróciły się do góry nogami.

Tydzień temu prezydent Andrzej Duda oznajmił, że osobiście skontaktuje się Chin Xi Jinpingiem, prezydentem Chińskiej Republiki Ludowej, żeby przysłał Polakom chińskie maseczki.

Polacy wołają jednak na polityków nie czekać. Fryzjerzy i kosmetyczki z całej Polski zbierają własne zapasy maseczek i płynów do dezynfekcji. Pakują w kartony i wysyłają potrzebującym szpitalom. Igor Klaja, prezes polskiej marki odzieżowej 4F, przekazał 300 par gogli na prośbę lekarzy ze szpitala MSWiA w Warszawie. Firma przeznaczy również jedną piątą zysków ze sprzedaży produktów kupionych w ich sklepie internetowym na zakup środków medycznych. Przetawia też część mocy przerobowych na produkcję własnych maseczek ochronnych. „To trudny czas dla nas wszystkich, musimy sobie pomagać” – tłumaczył swoje decyzje. Maseczki szyją polscy więźniowie. Są w stanie wyprodukować ich 3,5 tysiąca dziennie. Dla Uniwersyteckiego Szpitala Dziecięcego w Prokocimiu maseczki szyje kilka krakowskich aktywistek. Mama niepełnosprawnego dziewięciolatka chorującego na astmę napisała do Mazowieckiego Szpitala Specjalistycznego w Radomiu, że może wysłać lekarzom 50 maseczek ochronnych swojego syna. Szpital informował, że przez brak środków ochrony może wstrzymać operacje.

Od zeszłego tygodnia przy UOKiK działa specjalny zespół, który monitoruje ceny środków ochrony osobistej w internecie i sklepach stacjonarnych. Tylko przy współpracy z Allegro udało się już wyeliminować z sieci kilkadziesiąt tysięcy produktów, które za wysoką cenę miały cudownie pomóc Polakom w ochronie przed koronawirusem. <

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Szymon Krawiec – kierownik działu Biznes @SzymonKrawiec



Kto straci, a kto zarobi na epidemii

Tydzień temu wyłączono całe sektory gospodarki. Nie działają kina, restauracje, biura podróży, galerie handlowe, sądy. Ale są też przedsiębiorstwa, którym epidemia przyniosła okres prosperity.



To odważny plan, który ma zapobiec utracie miejsc pracy, bankructwom, zamykaniu zakładów oraz zmniejszaniu przychodów przedsiębiorców. Być może to najpoważniejsza próba, z jaką mierzy się Polska w XXI wieku – mówił w zeszłą środę premier Mateusz Morawiecki przedstawiając propozycję tzw. tarczy antykryzysowej. Pakietu rozwiązań, które mają uchronić polską gospodarkę przed zapaścią. To 212 mld zł, aż 10 proc. PKB. Żeby uzmysłowić sobie, ile to pieniędzy, wystarczy wspomnieć, że nasz kraj od wejścia do UE wydał podobną kwotę na wybudowanie i utrzymanie wszystkich dróg krajowych.

Może się jednak okazać, że te setki miliardów złotych to i tak za mało, żeby uchronić sektory, które najmocniej odczuły stan zagrożenia epidemicznego. Na drugim biegunie są z kolei branże, które wcale nie potrzebują rządowej pomocy, bo pandemia tylko nakręca ich biznes.

NA TARCZY

Nie zarabiają prawnicy, bo do końca kwietnia zamknięto sądy. Nie zarabiają restaura-

torzy, bo nie działają lokale gastronomiczne. Nie zarabiają pracownicy teatrów, bo nie ma spektakli. Nie zarabiają dentyści, bo pacjenci odwołują wizyty. Branża rozrywkowa przestała istnieć. Sportowcy mają odwołane zawody. Piosenkarze śpiewają pod prysznicem, bo anulowano koncerty. Nie ma konferencji. Nie pracują galerie handlowe. Pozamykano wiele kiosków, więc gazety mają kłopot z dystrybucją. Autokary biur turystycznych stoją na parkingach. Autobusy komunikacji miejskiej jeżdżą puste, bo ludzie wolą przemieszczać się własnymi samochodami. Zawalił się rynek kryptowalut. Tanieje złoty. Światowe giełdy świecą na czerwono.

Z TARCZĄ

Z drugiej strony rekordy oglądalności biją kanały informacyjne, bo wszyscy są głodni najnowszych doniesień o wirusie. Obłożenie przeżywają markety i drogerie, bo Polacy robią gigantyczne zapasy. Kurierzy pracują nawet w weekendy. Aptekarze zostają po godzinach, żeby obsłużyć wszystkich klientów. Sklepy internetowe nie nadążają z wysyłkami.

Wykupujemy rekordowe ilości leków bez recepty i suplementów diety. Żniwa przeżywają producenci maseczek, żeli antybakteryjnych i papieru toaletowego. Gorzelnie zwiększają moce przerobowe produkcji spirytusu. Firmy obsługujące bankomaty nie nadążają z uzupełnianiem ich gotówką, bo Polacy ruszyli wypłacać pieniądze. Rekordy bije też sprzedaż e-booków, audiobooków, webinarów czy internetowych szkoleń. Nagle wszyscy zaczęli ściągać aplikacje do organizowania wideokonferencji, bo Polska pracuje z domu. Kursy producentów makaronu i gotowych dań w puszkach i słoikach rosną na warszawskiej giełdzie. Żniwa mają teraz aplikacje do zamawiania jedzenia na wynos, bo to jedyny sposób na funkcjonowanie restauracji. Mięso znika ze sklepów jeszcze przed południem. Rzeczoznawcy zacierają ręce, spodziewając się tąpnięcia na rynku nieruchomości. Wtedy wszystko trzeba będzie wyceniać od nowa. <

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Więcej czytaj w wydaniu specjalnym „Wprost” „Biznes na kwarantannie” na prenumerata.wprost.pl



Antykryzysowy poradnik dla przedsiębiorców

Nie identyfikuj się ze swoją firmą! Ostudź emocje! Nie panikuj! Radzimy, co robić, żeby nie pójść ze swoją firmą na dno w dobie epidemii koronawirusa.



Kiedy zaczniemy pracować normalnie? Czy pomoc szykowana przez rząd uratuje moją firmę? Co się zmieni po zakończeniu kwarantanny? Czy twój biznes będzie miał jeszcze sens? Na te pytania odpowiada Krzysztof Oppenheim, ekspert finansowy, spec od upadłości i restrukturyzacji w poradniku dla przedsiębiorców. W tym tygodniu publikujemy jego pierwszą część.

NIEPOTRZEBNE EMOCJE

Oppenheim radzi, żeby ostudzić emocje, nie wpadać w panikę i zrobić gruntowną analizę tego, co jest tu i teraz. To, co ci się przydarzyło, pisze, w biznesie nazywa się „Czarny łabędź” od tytułu bestsellerowej książki Nassima Taleba. Co pewien czas ma miejsce niemożliwe do przewidzenia zdarzenie, które może doprowadzić do ruiny twoją firmę. Zgodnie z teorią Taleba nie można prognozować przyszłości tylko na podstawie zdarzeń z przeszłości. Bo może się pojawić „czarny łabędź” i to cię właśnie spotkało.

Musisz tę sytuację zaakceptować. A nie rozpacz nad losem twojej firmy, który – jeśli na przykład działasz w turystyce – jest obecnie łatwy do przewidzenia. W takim przypadku obaj wiemy,

że nie będzie dobrze, więc znies ten fakt po męsku – radzi Oppenheim.

Jego zdaniem biznesowa kwarantanna potrwa w polskich firmach dwa, trzy miesiące. Nawet ta optymistyczna wersja spowoduje potężne straty u 90 proc. firm, z których 20-30 proc. musi zbankrutować: „To może się zdarzyć, niestety, także w twoim biznesie. Dlatego w tak krytycznej sytuacji nie identyfikuj się ze swoją firmą! Bo inaczej razem pójdziecie na dno”.

NIC NIE BĘDZIE TAKIE SAMO

Wyobraź sobie, że nagle otrzymujemy informację, iż wszystko się otwiera od początku maja – pisze Oppenheim. Czy Polacy rzucą się do sklepów, restauracji i zaczną jeździć na wycieczki po świecie? Nie. Przez dość długi czas koronawirus pozostanie w głowach. Nabierzemy nawyków ostrożności, strach przed chorobą nie minie.

Część branż padnie, w większości spadnie zatrudnienie. Powstanie znaczące bezrobocie. Sprzedaż detaliczna ogromnie zmaleje. I ta sytuacja utrzyma się długo.

W tym miejscu potrzebna jest analiza twojej branży i firmy. Jak oceniasz zapotrzebowanie na siłę roboczą po zakończeniu kwarantanny? Jaki będzie potencjalny zbył na twoje usługi czy towary? Czy po zakończeniu kwarantanny twój biznes będzie miał sens? W wielu przypadkach wyjdzie z tej analizy, że nie będzie miał sensu. Pewnie myślisz, skoro tak – to po co mi ta wiedza? Po co mi „mądre” porady? Wsiadam do autobusu z napisem: „Koniec wyścigu” i zamykam temat. I tu właśnie jesteś w największym błędzie. <

© Wszelkie prawa zastrzeżone

**Więcej czytaj w wydaniu specjalnym „Wprost”
„Biznes na kwarantannie”
na prenumerata.wprost.pl**



Śmieciówki na śmietnik

Epidemia koronawirusa pokazała słabe podbrzusze naszej gospodarki. Ponad milion osób zatrudnionych jest na umowach śmieciowych. W nich kryzys uderzy najbardziej i najszybciej.

Kwarantanna i strategia społecznego dystansu jest zabójcza dla dziesiątek branż. Ekonomisci ostrzegają, że szykuje nam się kryzys gospodarczy na miarę krachu z 2008 r. Kto zapłaci najszybciej i największą cenę za spowolnienie gospodarcze?

Epidemia w pierwszej kolejności uderzy w pracowników branż, które zależą od ruchu i bezpośredniego kontaktu z klientem. Wiele z tych usługowych branż opiera się na śmieciowych formach zatrudnienia. Dzisiaj setki tysięcy ludzi jest zagrożonych utratą pracy niemal z dnia na dzień. Pracy, dodajmy, która już wcześniej nie była specjalnie dobrze płatna i stabilna.

Konkurencyjność polskiej gospodarki jest w dużym stopniu oparta na niskich kosztach pracy i bardzo liberalnym podejściu do form zatrudnienia. Nie wytwarzamy zaawansowanych technologicznie produktów, nie tworzymy wartości dodanej. Duża część naszej gospodarki to proste usługi, w których zyski i marże są niewielkie, a w rozwój pracowników nie trzeba przesadnie inwestować. Polska jest wiceliderem w zatrudnianiu osób na umowy czasowe. Wedle Eurostatu, pracowników zatrudnionych w taki sposób było ponad 26 proc. Tylko Hiszpania miała większy udział czasowych form zatrudnienia niż Polska.

Taka skala zjawiska w czasach kryzysu może być akceptowalna, ale w czasach koniunktury, gdy firmy do niedawna liczyły rekordowe zyski, jest formą systemowej patologii. Deregulacja rynku pracownika miała być odpowiedzią na czasy wysokiego bezrobocia, ale stała się permanentną częścią naszej gospodarki.

NERWY ZAMIAST LATTE

Sytuacja poprawiła się trochę, gdy oskładkowano umowy-zlecenia w 2015 r., ale już od 2018 r. statystyki wskazują, że znowu

lawinowo zaczęła rosnąć liczba śmieciowych umów.

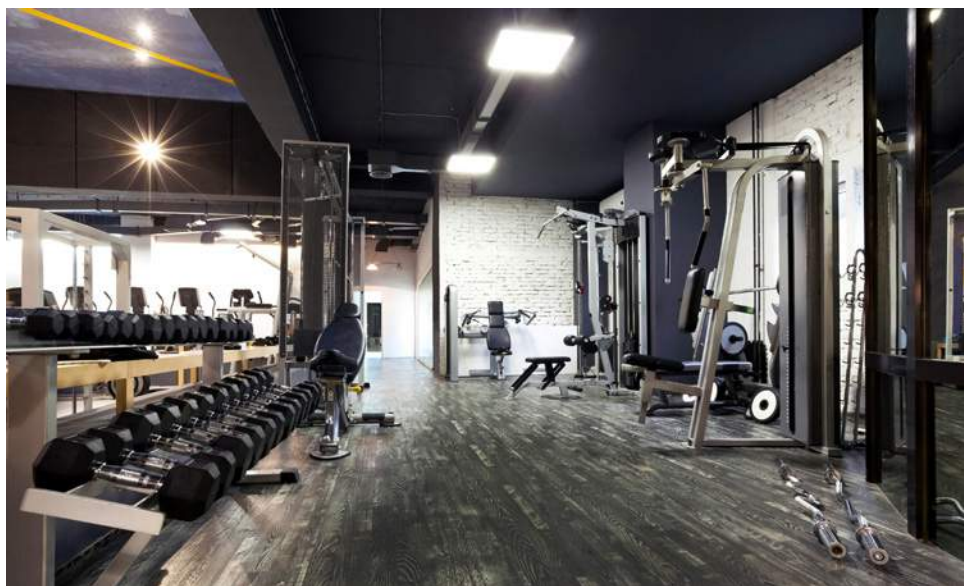
Śmieciówki mają różne oblicza – jednoosobowej fikcyjnej działalności gospodarczej albo umów o dzieło i umów-zlecenia. Pracodawca nie musi się martwić o składki emerytalne i płatne urlopy. W każdej chwili może kogoś zwolnić.

Oprócz uśmieciowienia branż, które istniały już wcześniej, powstał cały nowy

POWRÓT ETATU

Rząd musi wyciągnąć rękę wobec branż, które najbardziej odczuwają skutki gospodarczego spowolnienia. Pieniądże powinny iść na ratowanie miejsc pracy, a nie sutych premii zarządów, jak to było podczas kryzysu w 2008 r.

Wydarzenia ostatnich dni pokazały jednocześnie, jak ważne jest to, żeby pracownicy byli chronieni przez kodeks pra-



sektor gospodarki, który socjologowie nazywają gig economy, czyli gospodarką fuch. Ludzie zatrudniani są od projektu do projektu, bez jakichkolwiek gwarancji przedłużenia współpracy. Politycy i ekonomiści obiecywali za pomocą nowych form zatrudnienia „uwolnić potencjał i energię ludzi” w rzeczywistości narzucili im nowe formy kontroli. Świat freelancera nie polega na opijaniu się latte w kawiarni przy macbooku za dziesięć tysięcy złotych, ale nerwowym poszukiwaniu kolejnych źródeł zarobku.

cy, który na co dzień w Polsce jest łamany w sposób systemowy. Jeśli ktoś przychodzi codziennie do pracy, to pracuje na etacie, nie na umowie-zleceniu czy jednoosobowej działalności gospodarczej. Państwo powinno tego wymagać i przestrzegać. Śmieciówki muszą stać się wspomnieniem czasów transformacji, a nie nieodłączną charakterystyką III Rzeczypospolitej.<

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Więcej czytaj w wydaniu specjalnym „Wprost” „Praca na kwarantannie” na prenumerata.wprost.pl



Paweł Bednarz

Polska pracuje z domu

Zainteresowanie pracą zdalną wzrosło o kilkaset procent. Jak dać sobie radę, kiedy drzwi do biura to teraz próg naszej sypialni?

Okazuje się, że pierwszymi firmami, które już w styczniu przeszły na tryb pracy zdalnej były chińskie korporacje. Polski oddział Huawei w dobie koronawirusa musiał zreorganizować pracę. Cała komunikacja firmy odbywa się poprzez wideokonferencje. Jedyną niedogodnością, która akurat nie jest związana z epidemią, jest różnica czasu, w przypadku łączy z chińską centralą w Shenzhen. Kiedy u nas zaczyna się popołudnie, tam jest już wieczór. Wprowadzono jednak dodatkowe zmiany.

– Od pierwszych dni, kiedy w Chinach pojawiły się informacje o wirusie, zaczęliśmy wprowadzać procedury, które teraz owocują tym, że większość ludzi pracuje zdalnie. Dla tych osób, które mimo wszystko chcą dojeżdżać do biura, zorganizowaliśmy specjalny transport, żeby nie musieli korzystać z komunikacji miejskiej. Wszyscy w biurze zostali zaopatrzeni w maseczki i mają mierzoną temperaturę dwa razy dziennie. Osoby pracujące zdalnie są zobowiązane podawać pomiary swoich temperatur. Wpro-

wadziliśmy specjalnych „health managerów”, którzy opiekują się pracownikami i egzekwują pomiary temperatury. W samym biurze wszystko jest na bieżąco dezynfekowane. Spotkania powyżej pięciu osób są zabronione – mówi Ryszard Hordyński dyrektor ds. strategii i komunikacji Huawei Polska.

Podobnie jest w polskich firmach. Hitem Internetu stała się rozmowa telefoniczna z pracownikiem banku Pekao. – Julka, czy ty chcesz spać z tej kanapy? Dzień dobry, bank Pekao SA, jak mogę pomóc? – usłyszał w zeszłym tygodniu klient w słuchawce.

Zgodnie z zaleceniem władz, każda firma, która tylko mogła to zrobić wysłała swoich pracowników do pracy z domu. Z danych polskiej firmy SentiOne, zajmującej się monitoringiem Internetu, wynika, że zainteresowanie pracą zdalną rośnie wraz z rozprzestrzenianiem się zagrożenia koronawirusem. W ostatnich 30 dniach (dane z 19 marca) zamieszczono na ten temat 110 tys. wzmianek, które dotarły do 258 mln użytkowników (każde urządzenie

– telefon, komputer – jest traktowane jako nowy użytkownik).

– Dyskusje o koronawirusie oraz pracy zdalnej mocno nasiliły się przez weekend 14-15 marca, a od poniedziałku 16 marca obserwujemy już spadki – mówi Ewa Stachowiak z firmy SentiOne.

Warto podkreślić, że właśnie 16 marca zaczęła się „kwarantanna” w polskiej gospodarce; zamknięto m.in. szkoły, galerie handlowe, restauracje.

Prawdziwe obłożenie przeżywają dostawcy narzędzi do pracy zdalnej. Zainteresowanie aplikacją Google Hangout służącą do wideokonferencji wzrosło w ciągu miesiąca dziesięciokrotnie. Podobne wzrosty obserwują również polscy dostawcy tego typu rozwiązań. Pochodząca z Gdańska firma ClickMeeting, oferująca platformę webinarową do szkoleń, kursów online i spotkań biznesowych nawet na setki uczestników, obserwuje niespotykany dotąd ruch. <

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Więcej czytaj w wydaniu specjalnym „Wprost” „Praca na kwarantannie” na prenumerata.wprost.pl



Jakub Mielnik

zagranica

WIRUS I POLITYCY

Gorzka lekcja pokory

Kryzys przywództwa politycznego Zachodu w obliczu pandemii COVID-19 jest faktem, a nie tylko wymysłem chińskiej czy rosyjskiej propagandy. Liderzy po prostu nie mogli uwierzyć, że coś takiego może nam się kiedykolwiek przydarzyć.



> Prezydent Białorusi Aleksander Łukaszenko rekomendował narodowi absurdalne metody walki z koronawirusem

Przeżyliśmy wiele wirusów, przeżyjemy i ten. Ludzie na wsi na polach pracują, i na traktorach, nikt o wirusie tam nie mówi, bo traktor każdego wyleczy i pole też – takie rady dla swoich rodaków ma białoruski prezydent Aleksander Łukaszenko. Podzielił się nimi 16 marca, gdy Rosja zamknęła z powodu epidemii granicę z bratnią Białorusią. Prezydent rekomendował także obywatelom odkażanie się alkoholem. I to również od wewnątrz, za pomocą 40-50 gramów spirytusu dziennie, co ma ponoć skutecznie truć wirusy.

Gospodarskie rady białoruskiego przywódcy byłyby nawet śmieszne, gdyby nie ziało od nich grozą ignorancji i braku odpowiedzialności. Oczywiście można je uznać za efekt kompletnego oderwania skostniałego, postsowieckiego reżimu od rzeczywistości. Tyle że pandemia obnaża kryzys politycznego przywództwa nie tylko w despotiach na peryferiach Europy, ale także w dojrzałych demokracjach.

POLITYKA W CIENIU EPIDEMII

Pogubienie politycznej Europy jest łatwo wyczuwalne i jedym, co może to zjawisko tłumaczyć, jest skala zagrożenia, na którą najwyraźniej nie były przygotowane najbardziej nawet światłe rządy i instytucje. Choć przecież powinny. Epidemiolodzy od lat mówią o nadciągającej pandemii jakiegoś groźnego wirusa, którego nie da się izolować na ograniczonym terytorium. Koronawirus jest właśnie takim przypadkiem. Do świadomości europejskich elit rządzących docierało to jednak o wiele za długo. Tak jakby każdy odrobinę za długo przecierał oczy ze zdumienia, licząc, że gdzieś tam, ale w Europie taka epidemia nie może się przydarzyć.

Stąd niespójne reakcje, przyczyniające się do pogorszenia sytuacji. Włosi,



dzis znajdują się w opłakanej sytuacji, z rosnącą lawinowo liczbą zmarłych, dość długo nie mogli się zdecydować, jaką strategię przyjąć w walce z wirusem. Z jednej strony pozamykano uczelnie i szkoły, z drugiej rząd premiera Giuseppe Conte zwlekał z wprowadzeniem ogólnokrajowej kwarantanny. Główne obawy były natury ekonomicznej. Blokada Włoch mogła pogłębić petzający od dawna kryzys gospodarczy. Jego eksplozja może utorować liderowi populistów, Matteo Salviniemu, drogę do odzyskania władzy. Efekt tych rozterek jest taki, że Włochy są teraz epicentrum epidemii, kraj i tak trzeba było zamknąć na głucho, a kryzys – gospodarczy i polityczny – po opanowaniu wirusa jest niemal pewny.

Drugie epicentrum koronawirusa znajduje się w Hiszpanii i także tamtejsi politycy nie są bez winy. Działania rządu Pedro Sancheza skutecznie opóźniała szarpanina w koalicji. Antysystemowa dotąd partia Podemos bała się wzrostu wpływów koalicjanta, który kontroluje kluczowe resorty, od obrony i zdrowia po transport. Lider Podemos, Pablo Iglesias, blokował też wprowadzenie ogólnokrajowej kwarantanny bo liczył na przeforsowanie pakietu ochrony socjalnej, korzystnego dla jego elektoratu. Polityczne przepychanki trwały długo i dziś konserwatywna opozycja ma pełną rację mówiąc, że blokadę kraju wprowadzono o wiele za późno. W podobnym kierunku dryfuje także Belgia, praktycznie pozbawiona politycznego przywództwa z prawdziwego zdarzenia. Kryzysem zarządza tymczasowy rząd, skłonny tylko na czas zarazy, bo skłócenie ze sobą od zawsze Walonowie i Flamandowie nawet teraz nie byli w stanie się dogadać. Są jednak także politycy pokazujący, że twardo panują nad sytuacją.

WOJNA I JEJ WODZOWIE

Francuski prezydent Emmanuel Macron ogłosił wojnę z epidemią, apelując w wojskowym żargonie o mobilizację narodu i wysyłając ar-

W dzisiejszym świecie nie ma się gdzie ukryć przed koronawirusem – jak widać dotarł już nawet na Grenlandię

mię do budowy polowych szpitali dla zarażonych. Uważny obserwator znajdzie jednak w działaniach Macrona wiele sprzeczności. Bo jak można jednym tchem zakazywać rodakom wychodzenia z domu, by za chwilę mówić o konieczności utrzymywania dobrej formy poprzez częste ćwiczenia na świeżym powietrzu? Nie brak także głosów, że prezydent wykorzystuje epidemię jako pretekst do wstrzymania skrajnie niepopularnej reformy systemu emerytalnego. Także odłożenie drugiej tury wyborów regionalnych, w których prezydencka partia La République en Marche ma słabe notowania, postrzegane jest jako działanie polityczne, niezależnie od tego, co podpowiadają względy bezpieczeństwa.

Wizerunek Macrona, który wiele energii poświęcał dotąd na upominanie się o europejską solidarność na różnych poziomach, uderza także decyzja o zablokowaniu przez Francję eksportu artykułów medycznych. Restrykcyjne zapisy złagodzone dopiero po interwencji unijnego komisarza rynku wewnętrznego, Thierry Bretona. Komisja Europejska zagroziła po prostu Francji karami za naruszanie zasad wolnego rynku, obowiązujących w Unii.

Działania Bretona objęły również Niemcy, także mocno krytykowane, choćby we Włoszech, za brak pomocy dla sąsiadów w wielkiej potrzebie.



Utracona część WHO

CZEN WIEŚC, 20

Wiarygodność Światowej Organizacji Zdrowia staje pod znakiem zapytania z powodu pozytywnych ocen, wystawianych przez nią Chinom. Kraj ten zmierza co prawda do opanowania wirusa COVID-19, ale ponosi jednocześnie główną odpowiedzialność za doprowadzenie do pandemii, choćby poprzez zniszczenie pod koniec ubiegłego roku dokumentacji badań nowego wirusa i zastraszanie lekarzy alarmujących o epidemii. WHO sprzyja jednak Chinom, które są głównym sponsorem tej agendy ONZ. Stojący na jej czele etiopski lekarz Tedros Adhanom Ghebreyesus uważany jest za faworyta Pekinu.

Presja Komisji Europejskiej także i tu zadziałała.

Trzeba jednak oddać sprawiedliwość kanclerz Angeli Merkel, że była pierwszym europejskim przywódcą, który odważył się przyznać, że epidemia może objąć aż 70 proc. populacji. Tyle że niemiecki rząd niewiele z tym początkowo zrobił. Alibi dawał mu federalny charakter państwa niemieckiego, wedle którego każdy z landów sam decyduje o tym, jak walczyć z pandemią. Przez chwilę wydawało się, że Berlin pójdzie szlakiem krajów skandynawskich czy Holandii. Ich rządy uznały, że zbyt szybkie wprowadzanie powszechnej kwarantanny niepotrzebnie zmęczy obywateli i będzie kosztowne gospodarczo, a i tak nie zatrzyma choroby.

Skrajną postawę zaprezentował brytyjski premier Boris Johnson. Rząd Jej Królewskiej Mości postawił na odporność zbiorową,



panionkę, będzie ona dostępna dla całego świata, a nie tylko dla indywidualnych krajów.

PRZESPANE ZAGROŻENIE

Gdy szefowa Komisji Europejskiej Ursula von der Leyen wezwała UE do wsparcia Włoch w najtrudniejszych momentach epidemii, na jej apel nikt nie odpowiedział. Być może nie potraktowano jej poważnie także dlatego, że ona sama nie wydawała się dostatecznie przejęta sytuacją. Nasilenie epidemii zbiegło się ze 100 dniami jej urzędowania. Von der Leyen tak bardzo chciała się nimi pochwalić, że sprawiała wrażenie zaskoczonej, gdy dziennikarze pytali ją o epidemię, a nie dorobek jej Komisji.

Nie znaczy to wcale, że UE kompletnie zignorowała kryzys, o którym kanclerz Merkel mówi, że jest największym wyzwaniem od końca II wojny światowej. Stosowne procedury zostały uruchomione, podobnie jak fundusze. Zaskakiwani z dnia na dzień wzbierającą epidemią Europejczycy mieli jednak poczucie braku zaangażowania instytucji unijnych.

Krytyka tego postępowania została natychmiast uznana za efekt knowań Kremla i Pekinu, próbujących podkopać poczucie europejskiej jedności.

Wskazywano także, że UE nie może bardziej zaangażować się w walkę z epidemią, bo nie ma takich narzędzi: ochrona zdrowia to wyłączne kompetencje państw członkowskich.

Była to tylko wymówka. UE ma do dyspozycji przynajmniej kilka mechanizmów z zakresu zarządzania kryzysowego, koordynacji służb medycznych, ochrony granic czy swobód rynkowych, bardzo przydatnych w obecnej sytuacji. Aktywność Komisji stała się jednak bardziej widoczna dopiero wtedy, gdy poszczególne państwa zaczęły podejmować decyzje na własną rękę, często nie oglądając się ani na interes wspólnotowy, ani nawet na najbliższych sąsiadów. Zaskoczony zakazem eksportu niemieckich maseczek włoski premier musiał polegać na transportach z dalekich Chin, a jego hiszpański odpowiednik, premier Pedro Sanchez, zwrócił się o pomoc do księcia Mohammada bin Salmana, faktycznego władcy Arabii Saudyjskiej.

zakładając że lepiej, żeby zachorowało jak najwięcej ludzi bo to upowszechni odporność na wirusa. Brytyjskie służby medyczne miały się skupić wyłącznie na ochronie tych, którzy mogliby umrzeć.

Gdy jednak zespół rządowych doradców, pracujących w londyńskim Imperial College, ustalił, że taka strategia doprowadzić może do śmierci 250 tys. Brytyjczyków, premier Johnson szybko zrewidował swoje nastawienie. Poszło tym łatwiej, że za oceanem podobne kroki podjął także prezydent Donald Trump, dotąd otwarcie lekceważący zagrożenie.

USA nie tylko zamknęły swoje granice, ale, według europejskich mediów, próbowały także podkraść Europie szansę na szybki dostęp do szczepionki przeciw COVID-19.

Dietmar Hopp, właściciel niemieckiego laboratorium farmaceutycznego CureVac z Tybingi, ujawnił, że Donald Trump proponował mu miliard dolarów za wyłączność na szczepionkę na koronawirusa. I choć Białe Dom zaprzeczył tym doniesieniom, wywołany nimi skandal pozwolił niemieckim władzom na poprawienie wizerunku, nadszarpiętego początkowym niezdecydowaniem. Niemiecki minister gospodarki Peter Altmaier oświadczył dumnie, że Niemcy nie są na sprzedaż. Jego kolega z rządu, minister zdrowia Jens Spahn, zapewnił, że jeśli finansowany z publicznych pieniędzy instytut z Tybingi opracuje szcze-

^ Ursula von der Leyen, szefowa Komisji Europejskiej, zaapelowała o wsparcie Włoch, ale UE raczej zachowała obojętność



CZĘŚĆ WYŚCZ. 28

Czy UE stanie na straży naszego zdrowia?

Pandemia wywołała dyskusję nad przekazaniem Unii Europejskiej kompetencji w ochronie zdrowia. Jest to niemożliwe z jednego powodu: kraje członkowskie wydają na nią łącznie siedem razy tyle, ile wynosi cały budżet Unii.

Ursula von der Leyen chyba wyczuła, co się dzieje i obecnie dwoi się i troi, żeby Komisji nie zabrakło na pierwszej linii walki z wirusem. Czasami entuzjazm jest zbyt wielki – jak wtedy, gdy specjaliści muszą korygować optymistyczne zapewnienia von der Leyen, że szczepionka, na którą przyjdzie nam czekać przynajmniej półtora roku, będzie dostępna już za kilka miesięcy. Sygnał do 440 milionów Europejczyków został jednak wysłany: jesteśmy tutaj i pracujemy, żeby wszystko było dobrze. Lepiej późno, niż wcale.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Jakub Mielnik – szef działu Zagranica, @mielnikjakub



Kino domowe

Przełożone na niewiadomy czas festiwal w Cannes czy SXSW, zamknięte kina, odwołane premiery, zlikwidowane plany zdjęciowe. Świat filmowy zamarł.

Wobliczu pandemii i w czasie kolejnych dni spędzanych w samoizolacji zdajemy sobie sprawę, jak bardzo zmienia nasz dostęp do kultury dzięki serwisom streamingowym i VOD. Bo już nie trzeba czekać miesiącami jak nastoletni ja, aż Iluzjon Filмотeki Narodowej zaplanuje pokaz klasycznego arcydzieła. Wystarcza w miarę stabilne łącze z Internetem.

SERIALE DO NADROBIENIA

A przede wszystkim Internet znosi hierarchie. Nie dostajemy tu programu przygotowanego przez dyrektora festiwalu, tylko wskazujemy do oceanu propozycji. I właśnie czas spędzony w domu w czasie epidemii, może pomóc znaleźć w tej otchłani azymuty.

Warto nadrobić seriale. Nawet te starsze, jak „Prawo ulicy”, które lata temu wyznaczało drogę do nowej „jakościowej” produkcji, „Breaking Bad”, „House of Cards”. Ale przede wszystkim świeże, o których wciąż się rozmawia. W ostatnim czasie to głównie produkcje o młodości z „Euforią”, „Kontrolą”, którą 20-letnia Polka Natasza Parzymies podbiła świat, i „Sex Education” na czele.

Najciekawsze jest jednak odnajdywanie dialogu między twórcami. Platformy rzuciły koła ratunkowe do „W lesie dziś nie zaśnie nikt” Bartosza M. Kowalskiego (film akurat miał mieć premierę) i „Sali samobójców. Hejterowi” Jana Komasy (która była na ekranach ledwie 1,5 tygodnia, gdy zamknięto kina). A w tym samym czasie w Internecie zawisło „Boże ciało” tego samego reżysera i niewiele wcześniej - „Mowa ptaków” Xawerego Żuławskiego. Wszystkie te filmy – każdy w inny sposób i w innym stylu – współtworzą dyskusję o kondycji naszego społeczeństwa u progu trzeciej dekady XXI wieku.



PRZECIĄŻONE ŚWIATŁOWODY

W czasach kryzysu nie tylko my uważniej patrzymy w lustro. W samoizolacji warto odkryć, jak opisuje siebie Ameryka. Seriale „Little America” i „Spisek przeciwko Ameryce”, fabuła „Zaginione dziewczyny” Liz Garbus, dokument „Amerykańska fabryka” Julii Reichert i Stevena Bognera, a nawet – również dostępny już on-line – „Joker” Todda Phillipsa wyrosły z tego samego lęku przed zalewem przemocy, tęsknoty za usychającą tolerancją i wartościami, jakie łaknący poczucia siły ludzie, stracili po drodze.

Dzisiaj dystrybutorzy na swoich stronach fejsbukowych przedstawiają całe listy adresów, pod jakimi można znaleźć

ich filmy. Unijny komisarz apeluje do serwisów o zmniejszenie jakości streamingu, aby przeciążone światłowody wytrzymały nasze kwarantanny. To moment, gdy wielu ludzi wraca do ważnych dla nich tytułów albo, uzupełniając luki w erudycji, na kanapach organizuje retrospektywy ulubionych reżyserów. Ale też próbuje zrozumieć rzeczywistość,

która stanęła na głowie. I na to platformy mają receptę. Autorzy m.in. „Jestem legendą”, „World War Z”, „Miasta ślepców” od dawna badali mechanizmy wybuchu paniki w czasie epidemii. Najcelniej zaś wszystko przewidział Steven Soderbergh. W jego „Contagion. Epidemii Strachu” wirus z Chin przerywa normalne funkcjonowanie Ameryki. Kto wie, może jak wszystko wróci do normy, świat zacznie uważniej słuchać nie tylko naukowców, ale i artystów? <

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Więcej czytaj w wydaniu specjalnym „Wprost”
„Kultura bez wychodzenia z domu”
na prenumerata.wprost.pl



Literatura pandemiczna

Większość z nas spędza ostatnio czas w domu, unika kontaktów z ludźmi, pracuje „zdalnie”. Bombardowani informacjami o rosnącej liczbie zakażonych, czujemy niepokój, który zamienia się w prawdziwy strach. Ale przecież literatura jest dobra na wszystko. I teraz też pomaga zrozumieć czas, w którym żyjemy.



Pisarze od dawna interesowali się epidemiami. Dla wielu z nich stawały się one papierkiem lakmusowym kondycji społeczeństwa. W epidemicznym klasyku, „Dżumie”, noblista Albert Camus pokazywał zarówno podłość, jak i poświęcenie, które budzą się w ludziach w sytuacji ekstremalnej. Podobnie świat z powieści „Huzar na dachu” Jeana Giono okazywał się zniszczony nie tylko dlatego, że pandemia pochłonęła tysiące ludzi, ale też dokonała spustoszenia w ludzkiej naturze. Zarówno w „Miście ślepców” José Saramago, jak i „Mszy za miasto Arras” Andrzeja Szczypiorskiego zaraza rodzi przemoc. Tyle że w powieści Polaka przemoc i terror są wykorzystywane do celów politycznych. Z kolei o strachu „systemowym” opowiada „Gorączka” – powieść Mary Beth Keane, historia dziewczyny, która była tzw. „pacjentem zero”.

W czasie epidemii też trudniej niż zwykle uciec od myślenia o śmierci. Literatura uzbraja nas w narzędzia radzenia sobie z lękiem. Są przynajmniej dwa słynne dzieła o przeciwstawianiu się zarazie w sposób zupełnie inny niż to robili bohaterowie „Dżumy” i „Huzara na dachu”. W „Miłości w czasach zarazy” Ga-

briela Garcii Marqueza całą zarazę świata – sensie dosłownym i metaforycznym – udaje się przezwyciężyć bohaterowi przez pół wieku zakochanemu w jednej kobiecie. Nieśmiertelny „Dekameron” Boccaccia, liczący sobie kilka stuleci zbiór nowel, zaświadcza zaś, że literatura może uleczyć, albo przynajmniej stać się schronem od opętanej chorobą rzeczywistości. Dawać wytchnienie. I to jest najbardziej optymistyczne przesłanie, jakie w światowym piśmiennictwie pandemicznym da się znaleźć.

Nie mówiąc już o tym, że literatura to najprostszy lek na samotność. <

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Więcej czytaj w wydaniu specjalnym „Wprost”, „Kultura bez wychodzenia z domu” na prenumerata.wprost.pl



Dzień koronawirusa

Polacy nie tracą poczucia humoru nawet w trakcie epidemii. Żarty z koronawirusem w tle zalewają internet, a ich fala kulminacyjna jeszcze przed nami.



Poraz pierwszy w historii Facebooka tablice znajomych wyglądają podobnie. Dominuje jeden temat – koronawirus. Przeważają wiadomości o kolejnych zarażonych, ofiarach śmiertelnych, dramatycznej sytuacji we Włoszech, odwołanych meczach i koncertach. Co jakiś czas wzrok przyciągają jednak obrazkowe żarty. Głównie memy. Na przykład kultowa scena z „Misia”, w której pracownica poczty upiera się, że nie ma takiego miasta jak Londyn, jest ewentualnie Łądek Zdrój. W nowej wersji pani ze zdziwieniem reaguje na hasło „koronawirus” – zna tylko serial „Korona królów” i klub piłkarski Korona Kielce. Kolejny mem: twarz najśłynniejszego polskiego świadka - nomen omen - koronnego ps. „Masa” z podpisem: Koronawirus do Polski dotarł już kilka lat temu.

Nie brakuje też prześmiewczych zdjęć przedstawiających domowe sposoby zabezpieczenia przed zakażeniem - bańki po wodzie zakładane na głowę albo maseczki zakrywające zamiast ust całą twarz.

Jak na każde przetłomowe wydarzenie, internet na epidemię koronawirusa zareagował błyskawicznie.

Choć doskonale zdajemy sobie sprawę ze skali zagrożenia, potrafimy podejść do niego również z dystansem. Memy, filmiki czy zabawne historyjki pokazują, że Polacy nie tracą poczucia humoru. Żarty na temat koronawirusa pomagają oswoić się z nową rzeczywistością, ale są też krzywym zwierciadłem, w którym odbijają się społeczne stereotypy, i zapowiedzią zmian, jakie wywoła epidemia.

POGROMCY SMUTKU

Duża część koronawirusowych memów skupia się na opisie stereotypowego Polaka, otyłego wásacza, który ręce zaczął myć dopiero w obliczu epidemii (głównie na prośbę żony), a gdyby jednak zaraził się koronawirusem, zrobiłby wszystko, żeby przekazać go sąsiadowi. Starsze pokolenie przedstawione jest z kolei jako grupa fanatyków religijnych, bardziej niż skutków epidemii obawiających się zamknięcia kościołów. W tym zestawie nie mogło zabraknąć cwaniaka, który kombinuje, jak zarobić parę złotych na towarach obecnie deficytowych, czyli papierze toaletowym i środkach higienicznych.

Obywa się również samozwańczym informatorom przekazującym reszcie społeczeństwa „tajne wieści ze sprawdzonych źródeł”. W ostatnich dniach w internecie pojawiło się mnóstwo postów i komentarzy, których autorzy przekonywali, że ich znajomi, pozatrudniani na różnych ważnych stanowiskach, w sekrecie dostarczyli im informacje o planowanych działaniach władz w walce z epidemią. Szczególną popularność zyskał news, wedle którego stolica miała zostać odcięta od reszty kraju, a sklepy spożywcze zamknięte. Warszawa tak huczała od plotek, że oficjalnie je zdementowano. Z czasem tego typu rewelacje stały się obiektem drwin. Na ich podstawie zaczęły powstawać internetowe pasty, czyli krótkie humorystyczne



Kiedy Xi Jinping kichnie podczas spotkania ze światowymi liderami



historyjki. Źródłem informacji nie jest w nich już mąż koleżanki z pracy, tylko „matka kolegi, którego przyrodnia siostra rozmawiała z fryzjerką, u której strzyże się pewien wojskowy”. Sama sensacyjna wiadomość również przybrała formę hiperboli – dotyczy wydarzeń wyraźnie abstrakcyjnych i nieprawdopodobnych.

Na żarty z polskich stereotypów czy fałszywych informatorów niemal wszyscy reagują z uśmiechem. Są jednak memy podszyte lękami dużo bardziej realnymi niż ten, że zabraknie papieru toaletowego. Przykład? Zdjęcie przedstawiające dwie grupy ludzi kilka tygodni po zakończeniu epidemii – ubranych w garnitury biznesmenów i bezdomnych ogrzewających się przy dogasającym ognisku. Ci pierwsi to producenci makaronu i środków higienicznych. Drudzy – właściciele hoteli czy linii lotniczych. Na razie to tylko żartobliwa scenka, ale trudno oprzeć się wrażeniu, że prorocza.

Kiedy większość żartów z koronawirusa to nabijanie się ze stereotypów, wbijanie szpilek w tych, którzy z higieną nigdy nie byli za pan brat (na zdjęciu z satyrycznego cyklu Polska Mistrzem Polski wąsacz komentuje znad umywalki, w której myje ręce: „Nawet przyjemne”) albo snucie apokaliptycznych wizji, niektórzy poprzez humor starają się zarazić innych optymizmem. Na facebookowym profilu „Grześ Ratownik” pojawiło się wideo z ambulansu. Odziani w antyzakażne stroje sanitariusze w drodze do kolejnego wezwania tańczą w rytm piosenki z popularnego amerykańskiego filmu „Ghostbusters”. Oprawa muzyczna nieprzypadkowa, bo w białych kostiumach i maskach antywirusowych rzeczywiście przypominają pogromców duchów. Filmik zdobył na Facebooku sporą popularność – udostępniono go już ponad 12 tys. razy.

Prof. Małgorzata Bogunia-Borowska, socjolożka z Uniwersytetu Jagiellońskiego, przewiduje jednak, że największa fala koronawirusowego humoru dopiero przed nami. – Obecnie znajdujemy się w momencie szczytowym rozwoju epidemii. Codziennie słyszymy o kolejnych zakażonych, również o ofiarach śmiertelnych. Żarty mają więc na razie dość subtelną formę. Gdy nastrój zagrożenia minie, pojawią się też takie na granicy dobrego smaku albo nawet tę granicę przekraczające. Wzrośnie również ich ogólna liczba. Taki mechanizm obserwowaliśmy już w przypadku zamachu na WTC czy innych katastrof – tłumaczy.

Uważa, że wpływ koronawirusa na nasze poczucie humoru nie ograniczy się do internetowych memów czy filmików. – Ważne wydarzenia, również te tragiczne, odciskają swoje piętno na wielu dziedzinach życia, np. na języku. Wydaje mi się, że koronawirus trwale wbije się w świadomość społeczną i stworzy nowe skojarzenia językowe. Przede wszystkim słowo „korona” już zawsze będzie kojarzyło się z epidemią. Może więc być odbierane negatywnie – prognozuje.

ŚMIESZNE DO CZASU

Gdy internetowy humor z koronawirusem w tle przybiera na sile, sytuacyjne żarty na ten temat przestają śmieszyć. – W ciągu ostatnich kilkunastu dni zauważyłam ogromną zmianę w podejściu do zagrożenia. Jeszcze dwa tygodnie temu, gdy ktoś kaszlnął np. w biurze, współpracownicy żartowali, że może zarazić ich koronawirusem. Dziś mówią to samo, tyle że już zupełnie poważnie. Dotarło do nas, że zagrożenie jest realne – mówi prof. Bogunia-Borowska.

Te obserwacje potwierdzają przykłady ze świata sportu. Jego przedstawiciele długo podchodzili do zagrożenia z dystansem, trochę je bagatelizując. W swoim stylu zażartował z epidemii znany



**OTWIERAĆ KUŻWA!
POLICZYŁAM!**

48 OSÓB WESZŁO !!!



DEMOTYWATORY.PL

**Jest rok 2025
Na oddział zakaźny przychodzi
starsza kobieta
"Dzień dobry, ja na kwarantannę"
"Przecież epidemia już się skończyła"
"Ale ja na dzisiaj mam termin"**

KWARANTANNA



trendy

ŚMIECHEM W WIRUSA

ze specyficznego poczucia humoru skoczek narciarski, Piotr Żyła. – Wczoraj nie odpowiadałem na pytania dziennikarzy, bo nie chciałem was zarazić koronawirusem – śmiał się przed kamerami Eurosportu po kwalifikacjach do konkursu w Trondheim. Dzień później już nie było mu do śmiechu. Z powodu pandemii konkurs został odwołany, a sezon przedwcześnie zakończony.

O ile żart Żyły, nawet jeśli średnio udany, nikomu krzywdy nie zrobił, o tyle przykład innego sportowca pokazuje, że zbyt żartobliwe podejście do tematu może mieć opłakane skutki. Francuski koszykarz występujący w drużynie NBA Utah Jazz Rudy Gobert podczas konferencji prasowej żartował z zagrożenia koronawirusem, ostentacyjnie dotykając wszystkich mikrofonów na sali. Z uśmiechem na twarzy klepał też po plecach kolegów z szatni. Kilka dni później... zdiagnozowano u niego koronawirusa. Co więcej, okazało się, że na COVID-19 chorują też inni zawodnicy, którzy mieli kontakt z Gobertem – jego klubowy kolega Donovan Mitchell oraz Christian Wood z Detroit Pistons. Obie drużyny grały ze sobą 7 marca, więc bardzo prawdopodobne, że do zakażenia doszło właśnie wtedy.

Teraz Gobert kaja się w filmikach, które wrzuca na Instagrama. – Pragnę przeprosić wszystkich, których naraziłem na niebezpieczeństwo. Mam nadzieję, że ta historia będzie ostrzeżeniem dla innych. Nie popętniajcie mojego błędu, unikajcie niepotrzebnego kontaktu z ludźmi – apeluje. Wpłacił też pół miliona dolarów na walkę z epidemią.

PÓŁ ŻARTEM, PÓŁ SERIO

Wygląda na to, że Polacy wzięli sobie takie historie do serca. Choć na początku wydawało się, że może być zupełnie inaczej. Gdy tylko do studentów dotarła wiadomość o zamknięciu uniwersytetów, w mediach społecznościowych zaczęły się pojawiać zaproszenia na koronalia, czyli juwenalia w czasach epidemii. Swoją udział zadeklarowały tysiące osób, ale ostatecznie skończyło się na żartach. Oczywiście byli i tacy, którzy ignorowali apele o pozostanie w domu i unikanie jakichkolwiek zgromadzeń, jednak generalnie młodzież w obliczu epidemii zdaje egzamin z odpowiedzialności. Informacje o skali zagrożenia przemówiły im do rozsądku. Bary i kluby świeciły pustkami, jeszcze zanim rząd nakazał ich zamknięcie. – Polacy i w ogóle narody Europy Środkowo-Wschodniej mają w sobie gen przewidywania wydarzeń i odpowiedniego reagowania. Wynika to w dużej mierze z uwarunkowań historycznych. Starsze pokolenia pamiętają komunizm, katastrofę w Czarnobylu. Są więc przyzwyczajone do czujności w sytuacjach wyjątkowych – uważa prof. Bogunia-Borowska, podkreślając, że właśnie tej czujności zabrakło Hiszpanom czy Włochom, którzy w pierwszej fazie epidemii zlekceważyli zagrożenie. – Myśleli, że radością i normalnym życiem przegonią wirusa. U nas humor w obliczu epidemii też jest obecny, ale nie wpływa na podejście do zagrożenia.

Wpływa za to na ogólne samopoczucie, odwraca uwagę od negatywnych zdarzeń, a nawet działa jak środek znieczulający, o czym pisze trójka amerykańskich naukowców w „Filozofii dowcipu”. Przytaczają przykład pilotów myśliwców, którzy za pomocą czarnego humoru bronią się przed wpadnięciem w panikę podczas niebezpiecznych manewrów. Jeśli memy i żartobliwe filmiki spełniają podobną funkcję w czasach pandemii, oby krążyły po sieci jak najdłużej. <

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Karol Górski – dziennikarz działu Trendy



Paulina Socha-Jakubowska

trendy

TRADYCYJNE SMAKI



Kuchenne rekonstrukcje

Ser koryciński domowej roboty, z własnoręcznie upieczonym chlebem na zakwasie albo szynką pozbawioną polepszaczy. Polacy zgłębiają tajniki domowej produkcji kulinarnych dóbr, bo mają dosyć chemicznego posmaku produktów z supermarketów. Jednak dziś, gdy swobodne robienie zakupów chwilowo jest niemożliwe, taka domowa produkcja to również sposób na przetrwanie.

Kilka lat temu, w czasie urlopu, Sebastian Pazio postanowił wybudować wędzarnię. Drewnianą, po części zautomatyzowaną, z dymogeneratorem i grzałką podtrzymującą temperaturę. Uznał, że taka nowocześniejsza wersja będzie łatwiejsza w obsłudze, bo nie będzie musiał doglądać ognia. Gdy ktoś pytał, po co mu wędzarnia przy domu, odpowiadał, że wędliny, które kupował w sklepach, nie miały walorów smakowych, a jeśli już, to „chemiczne”. A on, wielbiciel mięsowi, chciał znów poczuć smak z dzieciństwa.

Dziś może się delektować własną szynką czy serami. Na święta wędzi schaby, polędwicę, grzyby i ryby, a nawet jajka ugotowane na twardo, które zniósł zielononóżki z przydomowej hodowli. Wędzi też śliwki, w planach ma sięgnięcie po warzywa, na facebookowym forum miłośników wędzenia przeczytał bowiem pełne ochów i achów recenzje. – Wędzić można nawet buraki czy marchewkę. Ale warto wiedzieć, jakie drewno najlepiej wydobędzie smak – mówi. Jego manufaktura wciąż się rozrasta. Tak samo jak rośnie zainteresowanie znajomych degustacją uwędzonych smakotyków. – Ktoś, kogo raz poczęstuję moją kielbasą, pyta, czy zrobiłem kolejną, i deklaruje, że chciałby więcej – żartuje. Dodaje, że jedynym konserwantem, którego używa, jest sól peklowa. Poza nią smak urozmaica czosnkiem i liśćmi laurowymi.

Tak jak grupy rekonstrukcyjne odtwarzają bitwy, miłośnicy kuchni odtwarzają dawne smaki. To nasze bogactwo

Z DAŁA OD „E”

I właśnie na tym polega fenomen kielbasy z domowej wędzarni. Jest pozbawiona długiej listy ulepszcaczy, czyli chemicznych dodatków do żywności znanych jako „E”. Tymczasem, jak jakiś czas temu ujawniono w opisywanym przez „Wprost” raporcie NIK, rekordzistka, dostępna wówczas na rynku kielbasa śląska, została nafaszerowana przez producenta aż 19 różnymi „E”. Najwyższa Izba Kontroli alarmowała wówczas, że dieta przeciętnego Polaka składa się w 70 proc. z produktów przetworzonych. Odpowiedzią na wszechobecną chemię serwowaną nam przez producentów żywności mają być produkty wytwarzane w domowym zaciszu. Pieczenie chleba, wędzenie sera czy robienie domowego jogurtu daje bowiem pełną kontrolę nad tym, co jemy. Jest zdrowe, ale staje się też coraz modniejsze.

Dlaczego? Doktor Magdalena Tomaszewska-Bolałek, badaczka kultury kulinarnej, kierownik Food Studies na Uniwersytecie SWPS, wyjaśnia, że ludzie szukają produktów z duszą, z tradycją, są bardziej wymagający, chcą mieć poczucie, że „dostają coś więcej niż tylko dżem”. A domowa produkcja na pewno dostarcza innych niż tylko konsumpcyjne wrażenia. – Chleb upieczony z chłopakiem czy przetwory robione całą rodziną wpływają na budowanie relacji – podkreśla. Zdaniem Bogdana Gałązki, szefa kuchni restauracji Gothic Cafe na zamku w Malborku, która serwuje potrawy inspirowane historycznymi przepisami z regionu, na rosnące zainteresowanie Polaków powrotem do kulinarnych korzeni wpływ ma jeszcze kilka czynników.

– To rosnąca wiedza ekologiczna i konsumencka, bo wiemy coraz więcej o tym, jak koncerny nas trują. A skoro świat zachwycił się polskimi smakami, francuscy szefowie kuchni oczarowani są naszymi serami i innymi naturalnymi produktami, przyszła pora, byśmy i my, po 25 latach fascynacji przetworzonymi gotowcami, wrócili choćby do wypiekania chleba w domach – mówi Gałązka. – Tak jak grupy rekonstrukcyjne odtwarzają bitwy, miłośnicy kuchni odtwarzają dawne smaki. To nasze bogactwo – dodaje.

Jakub Krężel ze Szczecina zainteresował się mleczarstwem w czasie studiów na uniwersytecie medycznym. Opowiada, że przypadkowo trafił na bloga poświęconego domowemu wyrobowi serów i postanowił zrobić własny. – Bardzo trudno było dostać niezbędne akcesoria. Nie działał w Polsce żaden sklep, który by się tym zajmował. Miałem już wtedy doświadczenie w branży IT, postanowiłem więc, że skoro nie ma takiego sklepu, sam go założę – wspomina.

Dziś w ofercie ma wszystko, o czym serowar może marzyć. Od podpuszczki, czyli enzymów ścinających białko mleczne (kazeinę), wyselekcjonowanych z żołądków cielęcych lub pozyskiwanych z hodowanych w laboratoriach mikroorganizmów (pleśni), przez kultury jogurtowe, po formy serowarskie. Ale w promowaniu domowej produkcji serów Jakub Krężel nie ograniczył się tylko do sprzedaży serowarskich gadżetów. Na YouTube prowadzi kanał i uczy serowarskiego rzemiosła. – Mam małe dzieci. Staramy się jak najwięcej produktów wytwarzać samodzielnie, bo chcemy, by jadły wartościowe rzeczy. Robimy sery, masło, jogurty, kefiry, lody na własnej śmietance. Pieczemy też chleb, a teś robi pyszne wędliny i kielbasy – opowiada.

Jego zdaniem kolekcjonerzy kulinarnych wrażeń, którzy w ostatnim czasie stawiają na produkty z domowych manufaktur, robią to z jeszcze jednego powodu. Chodzi o satysfakcję, którą się czerpie, wytwarzając coś własnymi rękami. – Można w dowolny sposób zmieniać przepisy i receptury, dodawać przyprawy. Poza tym dzielenie się własnymi wyrobami to ogromna frajda. Dziś na firmowe imprezy integracyjne przychodzi się z własnymi nalewkami, wędlinami,



chlebem i serami. Jeszcze kilka lat temu przynosiło się jedynie wódkę – podkreśla.

CZEKOLADOWE MLEKO OD BRĄZOWEJ KROWY

Promotor inicjatyw zero waste oraz slow food i szef kuchni Kuba Korczak prawie rok temu otworzył plenerową przestrzeń warsztatową oddaloną o 30 minut od Warszawy. Projekt „Raj – łąki do wynajęcia” znajdujący się w otulinie rezerwatu Natura 2000. W takich okolicznościach przyrody w sezonie letnim Korczak uczył swoich gości m.in. pieczenia, wędzenia, serowarstwa, zakładania miejskich ogrodów czy korzystania z dzikich roślin jadalnych. Jak mówi, stworzenie takiego miejsca to odpowiedź na rosnące zainteresowanie produktami żywnościowymi najwyższej klasy, produkowanymi lokalnie, z troską o ekologię i poszanowaniem zasad etycznych, nierzadko łamanych przez największych producentów żywności. – Przez lata ludzie chcieli jeść dużo i tanio, dlatego rynek opanowała plaga produktów kiepskiej jakości dostępnych w sklepach. Późno, bo późno, ale zaczynamy myśleć o tym, co jemy i jak to wpływa na życie nasze oraz na życie planety – mówi Korczak.

Kręzel mówi, że podstawowe akcesoria do produkcji serów to wydatek kilkudziesięciu złotych. – Oczywiście swoją domową mleczarnię można z czasem rozbudowywać o kolejne akcesoria, dodatki czy urządzenia, takie jak np. maselnica – zaznacza. Jeśli komuś metoda prób i błędów albo poradniki internetowe nie wystarczają, zawsze może połączyć weekendowy wyjazd do gospodarstwa agroturystycznego z odbywającymi się tam warsztatami z serowarstwa. Koszt? Jakies 700 zł, a ofert w sieci mnóstwo. Organizatorzy kursów zapewniają, że po dwóch dniach zajęć wyjeżdża się z wiedzą o tym, jak samemu zrobić ser koryciński, oscypek albo camembert.

Wielbiciele mięs na początek nie muszą kupować wędzarni. Wystarczy wypalona w ognisku beczka lub drewniana skrzynia nakryta wilgotnym workiem jutowym, czyli rzeczy, które można znaleźć na podwórku czy działce i które nic nie kosztują. – 400 zł wystarczy na zakup gotowej, choć małej, wędzarni. Do tego trzeba zaopatrzyć się w dobre mięso, które przed wędzeniem

▲ *Jakub Kręzel sprzedaje wszystko, co jest potrzebne do robienia sera, a na YouTube uczy rzemiosła serowara*

będzie peklowane. Warto dodać, że z kilogramowego kawałka szynki po wędzeniu zostaje 800 g produktu. Dlatego tak śmiesznie mnie etykiety wędlin, na których producenci piszą, że do wyprodukowania 100 g wędliny wykorzystano 100 g mięsa. To niewykonalne – zauważa Sebastian Pazio. Podkreśla też, że koszt produkcji np. domowej kiełbasy jest porównywalny z kosztem zakupu kiełbasy dobrej jakości w sklepie. Ale tylko produkcja domowa daje stuprocentową gwarancję tego, co znajdziemy w środku.

Kuba Korczak mówi, że zwrot ku domowej produkcji bardzo go cieszy. Zwłaszcza że uzmysłowił sobie, że „ludzie zapominają, skąd się bierze jedzenie, a dzieci nie wiedzą, jak wygląda krowa”. – Ostatnio trafiłem na informację o tym, że co 14. dorosły Amerykanin myśli, że czekoladowe mleko dają brązowe krowy, adzieci ze szkół w Kalifornii nie wiedziały, że sałata i cebula to warzywa. Zaś 30 proc. nie miało pojęcia, że do produkcji sera potrzebne jest mleko. To pokazuje, jak w cywilizowanym świecie oddaliliśmy się od natury. Dlatego tak ważne jest, by młodym pokoleniom pokazywać, a starszym przypominać, skąd się biorą jajka, jak powinny żyć zwierzęta, jak smakuje mleko prosto od krowy, a potem zamienić je w twaróg, masło, czy śmietanę. I ja to robię w swoim „Raju” – mówi. <

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Paulina Socha-Jakubowska – szefowa działu Trendy @PSJakubowska

WYWIADY

NA CZAS KWARANTANNY

czyli krzepiące rozmowy o dobrych uczuciach



Wszystkie rozmowy ukazały się we „Wprost” w latach 2013-2019



Bóg ma poczucie humoru

Wielu księży uważa, że zawsze będą mieli pełne kościoły, ale to złudzenie. Tyle że nadchodzący kryzys przyniesie oczyszczenie – przekonują **Jadwiga Basińska**, **Dariusz Basiński** i **Jacek Borusiński** z Mumio.



„Wprost”: Od kilku lat obchodzicie 21. rocznicę powstania Mumio.

Jacek Borusiński: To prawda. Trzy lata temu ustaliliśmy, że obchodzimy jubileusz 21-lecia i jesteśmy w tym konsekwentni.

Dariusz Basiński: Musimy się odmładsza, to już ten czas.

Teatry offowe zwykle mają życie intensywne, ale krótkie. Artyści najpierw są sobą zachwyceni, później się kłócą, a na koniec wszystko się kończy, w dodatku z wielkim hukiem. Jak wam się udaje tyle lat być ze sobą?

Jacek: Skończyłem teatrologię, pisałem pracę magisterską na temat teatrów offowych. Wyliczono, że tego typu projekty trwają średnio siedem lat. Tak więc już dawno nie powinniśmy istnieć. Nie jest tajemnicą, że w naszym przypadku zadziałał Pan Bóg.

I teraz wielu czytelników uzna, że to wasz kolejny żart.

Jacek: To nie jest żart. Naprawdę uważamy, że Bóg nas trzyma w kupie. Gdyby nie On, dawno by się wszystko rozważyło.

Miewacie kryzysy?

Jacek: Oczywiście. Pierwszą poważniejszą różnicę zdań mieliśmy zresztą chyba mniej więcej po siedmiu latach. Pomogło nam to, że mieliśmy wspólnego spowiednika.

Jadwiga Basińska: Przez jakiś czas nasz ksiądz mieszkał w Rybniku, wsiedliśmy więc w Katowicach do cinquecento i jechaliśmy do niego we trójkę, naburmuszeni, z pretensjami do siebie. Czekaliśmy w jego bibliotece i po kolei szliśmy do spowiedzi. Wracaliśmy odmienieni.

Dariusz: Pamiętam, jak się spowiadałem z zazdrości wobec Jacka. Kłuło mnie, że ma więcej propozycji ról filmowych niż ja. Ksiądz mi wtedy powiedział: „Dziękuj za tę sytuację. Spróbuj się modlić, żeby Jackowi szło jak najlepiej w tych filmach, żeby miał więcej ról”. Odwracał nasze myślenie.

Dariusz: Pamiętam, jak się spowiadałem z zazdrości wobec Jacka. Kłuło mnie, że ma więcej propozycji ról filmowych niż ja

Wróćmy do waszych początków. Na początku był Teatr GuGalandier, który Darek współzакładał.

Dariusz: Potem pojawili się Jacek i Jadzia.

Jacek: Najpierw ja. GuGalandier dostał akurat nową siedzibę przy Uniwersytecie Śląskim w Katowicach, na moim roku studiowała koleżanka, która już pracowała w tym teatrze. Za jej namową zagrałem w przygotowywanym wtedy przez teatr spektaklu i zostałem. Kiedy chcieliśmy rozszerzyć skład, daliśmy ogłoszenie, na które się nabrała Jadzia.

Naprawdę, trafiłaś do chłopaków z anonusu?

Jadwiga: Koleżanka, której się zwierzałam ze swych aktorskich pragnień, znalazła ogłoszenie na słupie ogłoszeniowym na uczelni. Poszłam na casting, było strasznie poważnie, chłopaki siedzieli w komisji. Darek początkowo nie chciał mnie przyjąć.

A później został twoim mężem.

Dariusz: W czasie przesłuchania Jadzia mówiła same smętne rzeczy i mnie to trochę przestraszyło. Pomyślałem, że nie potrzebujemy dziewczyny, która będzie nas jeszcze dosmucać.

Chyba recytowałaś Poświatowską, prawda?

Jadwiga: Tak. „Jestem Julią / mam lat 23/ dotknęłam kiedyś miłości / miała smak gorzki / jak filiżanka ciemnej kawy”...

Gdy w 1999 r. poszedłem pierwszy raz na wasz spektakl, śpiewałaś piosenkę pod tytułem „Smutek”, ale był to najśmieszniejszy numer, jaki słyszałem w życiu. Pamiętam, że dostałem takiego ataku śmiechu, że zacząłem się dusić. Nie mogłem przestać, myślałem, że przez was umrę.

Jacek: Takie reakcje lubimy najbardziej.

Jadwiga: Coś podobnego zobaczyłam w 1998 r. na festiwalu PAKA (Przegląd Kabaretów Amatorskich PAKA – red.). Właśnie w czasie „Smutku” zobaczyłam, jak Jacek Fedorowicz leży pod stołem, a wyciąga go spod niego zapłakany Staszek Tym. Jacek Fedorowicz też nie mógł oddychać.

Jacek: PAKA to był dla nas absolutny przełom. Festiwal miał wtedy niezwykłą rangę, jak się go wygrało, trafiało się na czołówki gazet. W jury zasiadali Marek Piwowski, Stanisław Tym, Jerzy Derfel, Andrzej Mleczko, Jacek Fedorowicz czy Wojciech Młynarski.

Dostaliście Grand Prix. Pojechaliście na festiwal kabaretowy jako Teatr Epty-a. Graliście spektakl pod tytułem „Kabaret Mumio”.

Jacek: Pomysł był taki, że to ma być kabaret w teatrze, na scenie była mniejsza scena, obok garderoba, tak, żeby było widać, że to jest przedstawienie w przedstawieniu. Inspiracją tej formy był „Cabaret Voltaire” Teatru Witkacego. Nie byliśmy kabaretem, tylko graliśmy kabaret.

Jadwiga: Ale do dziś przez tytuł tamtego spektaklu mówią o nas „kabaret”. My się do tego nie poczuwamy.

Jednak nazwa Mumio z wami została.

Dariusz: Nazwa „Teatr Epty-a” była nie do zapamiętania, a Mumio było sympatyczne. To lecznicza maź, osad skalny w jaskiniach Kaukazu i gdzieś tam jeszcze, znaleźliśmy produkt o tej nazwie w sklepie ze zdrową żywnością. Wtedy jeszcze z Dariuszem Rzontkowskim i Tomaszem Skorupą – to był skład pra-Mumia – postanowiliśmy, że będziemy się tak nazywać, ale nie „Kabaret Mumio”, tylko „Mumio”.

Dlaczego nie lubicie określenia „kabaret”?

Dariusz: Nie odnajdujemy się w tym nurcie. Bliski nam jest teatr. Przed Mumio

graliśmy w repertuarze dramatycznym, od Eurypidesa po Jarry'ego, Buchnera czy Gombrowicza. Kabaret to głównie komentowanie bieżącej rzeczywistości społecznej czy politycznej. Ze swojej natury efemeryczne. Poza tym nierzadko jest to parodia, często agresywna. A polityka to śmieciowe paliwo. Stabo nadaje się jako materia artystyczna. No, może Szekspir potrafił ją dobrze wykorzystać, ale w gruncie rzeczy była tylko temem dla uniwersalnych problemów. Przekonuje mnie to, co śpiewał Gintrowski w „Autoportrecie Witkacego”, że „polityka to w kryształach pomyje”.

Gdzie w takim razie szukacie komizmu?

Jadwiga: W sobie, u naszych dzieci, w życiu.

Jacek: Już podczas pracy nad pierwszym spektaklem zaczęliśmy szukać śmieszności w sobie, także w swojej rodzinie, przypominając sobie różnych wujków na wiejskich weselach. Okazało się, że mamy wielki rezerwuuar komizmu.

Wcześniej wszyscy próbowaliście się dostać do szkoły aktorskiej i wszyscy zostaliście odrzuceni.

Jadwiga: Dzięki Bogu. Wtedy nigdy byśmy się nie spotkali. Nie byłoby Mumio.

Jacek: Mnie na egzaminie powiedziano, że jak na aktora mam za długie ręce.

Dariusz: Myślę, że Mumio w takim kształcie by nie powstało, gdybyśmy kierowali się akademickim warsztatem i pewnymi kanonami aktorstwa. Potwierdziło nam to zresztą później wielu naszych znajomych aktorów.

Jadwiga: Ja w szkole aktorskiej bym zginęła. Gdy próbowałam się do niej dostać, byłam kompletnie niedojrzała.

Jacek: We trójkę jesteśmy jak trzy puzzle, które są zupełnie inne, ale jakoś do siebie pasują. Zresztą nie tak dawno pojawił się nowy „puzzle” – multiinstrumentalista Tomasz Drozdek, który tworzy warstwę muzyczną, ale nie tylko – często razem kreujemy scenariusze, wymyślamy nowe pomysły.

Waszym najnowszym spektaklem jest „Przybora na 102”, który gracie razem z Magdą Umer. Podobno Jeremi Przybora był kiedyś na Mumio i was polubił.

Jadwiga: Wiemy to od Magdy. W 1999 r. przyprowadziła pana Jeremiego na nasz występ do warszawskiej Harendy, wcześniej nas zobaczył w telewizji i mu



▲ Od lewej: Jadwiga Basińska, Tomasz Drozdek, Jacek Borusiński i Dariusz Basiński, czyli Mumio w komplecie

się podobno szalenie spodobało. Zadzwonił nawet do syna, Kota Przybory, któremu powiedział: „Nie uwierzysz, ale w telewizji zobaczyłem coś naprawdę śmiesznego!”.

W Harendzie mieliście okazję się poznać?

Jadwiga: Niestety nie. Było dużo ludzi, pan Jeremi nie miał siły przebić się przez tłum i przekazać pozdrowienia przez Magdę. Trochę szkoda, bo Przybora to moje dzieciństwo, jako dziewczynka śpiewałam jego „Szuję”, byłam zafascynowana aktorami z Kabaretu Starszych Panów, zakochana w Czechowiczu.

Dariusz: Ale chyba też niejako w Misiu Uszatkę!

Wolałeś Colargola?

Dariusz: Też nie. O ile Uszatek był dla mnie nudziarsko prze-mądrzały, to przestodzony Colargol w ogóle nie do przyjęcia. Smok Telesfor to był gość!

Jacek: Ja z dwojga złego wolałem Uszatka. U Colargola drażniła mnie woda zrobiona z folii.

Jadwiga: A ja chciałam być Arabelą.

Nie tylko ty... Oglądając spektakl o Przyborze, kilkakrotnie zastanawiałem się, które fragmenty są wasze, a które Przybory. Zastanawiałem się, dlaczego Mumio tak bardzo pasuje do Kabaretu Starszych Panów, który jest przecież zupełnie inną estetyką. I doszedłem do wniosku, że łączy was wizja świata. Śmiejąc się, nie krytykujecie ludzkich słabości, lecz je afirmujecie.

Dariusz: To prawda – nigdy nie zrobiliśmy spektaklu, w którym byśmy kogokolwiek atakowali, wyśmiewali, niszczyli.

Jadwiga: Przybora też kochał ludzi, z których się śmiał. Jego tanie dranie są przecież uroczy.

Jacek: My naszych bohaterów uwielbiamy w całości, z ich wszystkimi śmiesznościami i dziwactwami. A tak naprawdę to są wszystko dziwactwa, które kochamy w sobie.

Dużo macie tych dziwactw?

Jacek: Całe pokłady! Zresztą nie tylko my. Pomyśl, jakie głu-poty człowiek robi do lustra, kiedy jest sam w domu i wie, że nikt go nie widzi. Tyle że potem zakłada krawat, bierze teczkę i robi to, czego inni od niego oczekują.

Dariusz: Znajomy ze Stanów zwrócił mi uwagę, że tam każdy stand-uper śmieje się głównie z własnej grupy społecznej. Żyd z Żydów, katolik z katolików, kolorowy z kolorowych. W Polsce jest na odwrót – śmiejemy się z tego drugiego, innego. My w Mumio tego nie lubimy, dlatego tak nam po drodze z Przyborą.

Jak powstał spektakl?

Jadwiga: Ze spotkania. Magda Umer przyjechała do nas z tym pomysłem po raz pierwszy 10 lat temu.

Magda Umer jest od dawna bardzo zakochana w Kabarecie Starszych Panów. Nie jest zazdrosną kustoszką, która nie chce się dzielić Przyborą i Wasowskim z innymi?

Jacek: Wręcz przeciwnie! Uznała, że może użyć Mumio do tego, by ocalić Starszych Panów od zapomnienia. Ma w tej sprawie silne poczucie misji, jest przekonana, że Jeremi jej w tym z góry błogosławi.

Jadwiga: Magda nie jest w ogóle zazdrosna, chciała się zresztą w naszym spektaklu ukryć, co najwyżej być takim konferansjerem, który trochę mówi o Przyborze, trochę nas zapowiada, a trochę stoi z boku. To myśmy się uparli, że ma z nami grać i śpiewać.

Kto wymyślił, że będzie Ciotką Mizერიą?

Jadwiga: To był przypadek. Magda była u nas w domu, jedliśmy razem śniadanie, gadaliśmy, ktoś w pewnym momencie powiedział: „Zobaczcie, najlepiej się jednak rozmawia w kuchni”.

Jacek: Wymyśliliśmy, że w trakcie spektaklu poszczególni bohaterowie będą przychodzić do kuchni i opowiadać o sobie.

Jadwiga: I Magda sobie przypomniała, że Jeremi wymyślił kiedyś postać Ciotki Mizერიi, do której wszyscy przychodzą i się jej zwierają.

Na spektaklu, który oglądałem, Magda Umer kilka razy ugotowała się ze śmiechu. To wyreżyserowane czy spontaniczne?

Jadwiga: Oczywiście, że spontaniczne. Wojtek Borkowski zwrócił kiedyś Magdzie uwagę: „Nie możesz się tak ciągle gotować, to nieprofesjonalne”. A ona na to: „Posłuchaj, co oni mówią, i spróbuj się nie śmiać!”.

Z nazwiskiem „Przybora” wiąże się wasz udział w kultowych reklamach Plusa.

Jacek: Magda przekazała Jeremiemu kasetę VHS z naszym nagraniem, a Jeremi pokazał to synowi. Dzięki niemu Kot Przybora nas już znał i kilka lat później razem z Iwem Zaniewskim zwrócili się do nas, żebyśmy zrobili razem reklamy.

Dariusz: Wcześniej Iwo i Kot zaprosili nas, żebyśmy razem z nimi w Teatrze Polskim przygotowali galę dla Festiwalu Twórców Reklamy. Zrobiliśmy strasznie abstrakcyjny, kopnięty program, totalną antygalę. Branży się bardzo spodobało. Póź-

niej dostawaliśmy co jakiś czas propozycje udziału w reklamach, ale jakoś nie korzystaliśmy.

Bo jesteście z wyższej półki?

Jacek: Nawet nie o to chodziło. Baliśmy się, że nasze autorskie podejście do tego, co robimy, nie przełoży się na świat komercji. A poza tym szeroka rozpoznawalność nas nieco odstręczała. Ale oczywiście obawialiśmy się też reklamowej etykiety. Na szczęście Iwo zaproponował nam zrobienie pierwszej transzy reklam bez żadnych zobowiązań. Umowa była taka, że jak uznamy, że to nie jest nasze, wyrzucamy wszystko do kosza i zapominamy o sprawie. Inaczej byśmy się pewnie nie zgodzili.

Jak wyglądała praca na planie?

Jacek: Przy pierwszej transzy nie mieliśmy scenariusza, głównie improwizowaliśmy.

Jadwiga: Iwo miał genialny w swojej prostocie pomysł, żeby to była typowa sytuacja: biuro, kupujący, sprzedający i zwykła-niezwykła rozmowa.

Nigdy nie zrobiliśmy spektaklu, w którym byśmy kogokolwiek atakowali, wyśmiewali, niszczyli

Jacek: Kiedy zobaczyliśmy pierwsze efekty, uznaliśmy, że wstydu nie ma, ale ciągle czuliśmy, że ryzykujemy.

Ryzyko było po obu stronach. W Polsce nie robi się tak odchychanych reklam.

Dariusz: To prawda, nasza tradycja reklamy nie lubi autoironii, firmy nie potrafią się z siebie śmiać. Iwo narzekał, że ma całe segregatory świetnych scenariuszy reklam odrzuconych przez zleceniodawców tylko dlatego, że są śmieszne. A ich firmy przecież takie ważne i poważne.

Jadwiga: Zagrał va banque, powiedział Polkomtelowi, że albo ryzykują, albo rezygnują.

Jacek: Zaryzykowali, choć po obejrzeniu pierwszej transzy reklam branża była sceptyczna. Mówiono, że abstrakcyjny przekaz „nie trafi do targetu”.

Trafili.

Jacek: To, że nasze reklamy przekładały się na sprzedaż, zaskoczyło nawet nas. Dostaliśmy nagrody Effie za efektywne kampanie reklamowe.

Chciałem was jeszcze popytać o Boga i religię. To temat, który nie do końca się kojarzy z tak odjechanymi ludźmi, jak wy.

Dariusz: Był czas, kiedy byłem wrogiem Kościoła. Poza tym w dzieciństwie nauczono mnie postrzegać Boga jako strasznego sędziego, „który za dobre wynagradza, a za złe karze”.

To jest fragment „Głównych prawd wiary”.

Dariusz: Sprawdzając to, okazało się, że to nieszczęsne sformułowanie nigdy nie było elementem magisterium Kościoła. Ktoś przed wojną napisał taką formułkę. Służyła do katechizowania młodzieży w Polsce, Czechach i jakichś rejonach Niemiec. Przez lata utrwalano to w głowach milionów Polaków. Tymczasem oparta na tym katecheza buduje lękową religijność, której też byłem ofiarą. Szczęście w nieszczęściu, że kiedy się obraziłem na Kościół, bałem się obrazić na Boga. No bo skoro jest głównie groźnym sędzią, to jeszcze za karę da mi w łeb.

Czyli wiary w Boga nie straciłeś?

Dariusz: Z wiarą to w ogóle inaczej. Wierzyć, że Bóg istnieje, o czym dziś mówi otwarcie wielu poważnych naukowców, to jedna rzecz, a druga to wiara rozumiana jako zaufanie. Żydzi używali terminu „emunach” – „oprzeć się” o Boga. Jakoś tam w Jego istnienie wierzyłem, ale relacji z Nim nie doświadczałem. Nie wiedziałem, że jest bezwarunkową Miłością.

Jak się wyzwoliłeś z lęku przed Bogiem?

Dariusz: Myślę, że cały czas się wyzwalam. Cała nasza trójka jest od lat we wspólnocie neokatechumenalnej, to nam pomaga.

Jak się tam znaleźliście?

Dariusz: To był proces. W czasie, gdy byłem krytykiem Kościoła, czułem potrzebę duchowości. Przyjaciel polecił mi swojego spowiednika, byłem sceptyczny, ale zaryzykowałem. Ksiądz okazał się fantastyczny, pokazał mi Boga innego, niż dotąd znałem. Miałem wcześniej w życiu epizody depresyjne, zwierzyłem się księdzu, że boję się ich powrotu. A on mi na to: „Dlaczego się boisz? Nawet jak zostaniesz wariatem, to co w tym złego? Pan Bóg Cię nie zostawi”. Zaskoczyło mnie to. Ktoś inny na jego miejscu przekonywałby

mnie, że depresja na pewno nie wróci, a on odwrotnie. Że nawet jak wróci, to świat się nie skończy.

Jacek: Trafiłem do tego spowiednika tydzień po Darku.

Jadwiga: A ja dwa dni po Jacku. Wcześniej owszem, chodziłam do kościoła, ale niezbyt wiedziałam, po co.

Jacek: Ja do 12. roku życia byłem ministrantem. Poznałem wtedy Kościół jako instytucję. Mimo to coś mnie przy tym Kościele trzymało. Pamiętam jedną rozmowę z księdzem, bardzo się zastanawiałem, czy nie dać już sobie spokoju z tą religią, usłyszałem od niego: „Zaraz, zaraz, to jest także twój Kościół. Nie możesz go tak po prostu zostawić, mów, co ci się nie podoba, walcz i zmieniaj”. Pamiętam też niezwykle spowiedź w katedrze w Sosnowcu, nie wiem, czy ci opowiedzieć, bo uznasz mnie za wariata.

✓ Jacek Borusiński o kampanii reklamowej
Plusa: „Branża była sceptyczna. Mówiono, że abstrakcyjny przekaz nie trafi do targetu”



Nie uznam.

Jacek: Najwyżej w autoryzacji to wytnę... Otóż poszedłem do spowiedzi w przekonaniu, że to już ostatni raz. Miałem dość Kościoła, ale postanowiłem dać mu ostatnią szansę. Ksiądz, którego nie znałem, zaczął mówić do mnie po imieniu i rozmawiać tak, jakby mnie świetnie znał, mówił o rzeczach, o których nikt nie mógł wiedzieć. Później po kilku miesiącach poszedłem do niego po jakieś zaświadczenie, a on nie tylko, że mnie nie kojarzył, ale w dodatku był dość niemiły. Do dziś nie umiem tego wyjaśnić.

Dzięki tej spowiedzi zostałeś w Kościele?

Jacek: Tak.

A jak trafiliście do neokatechumenatu?

Dariusz: Dzięki Darkowi Malejonkowi, Robertowi Friedrichowi, Augustynowi Pelanowskiemu i książce „Radykalni” Marcina Jakimowicza.

Jadwiga: Nie znaliśmy ich zbyt dobrze, a pojechaliśmy z Malejonkami.

Jacek: Okazali się superludźmi – do tańca i do różańca.

Jadwiga: Takimi, którzy żyją wiarą, ale są prawdziwi, z krwi i kości. Potrafią się kłócić, ale przede wszystkim potrafią się godzić.

Dariusz: Byłem sceptyczny. Wszelkie wspólnoty źle mi się kojarzyły, ale okazało się, że w neokatechumenacie są normalni ludzie, którzy żyją autentycznym życiem. Żadnej lukrowanej rzeczywistości, zero tego, na co byłem uczulony, a co nazywałem wtedy kościółkowym gadaniem. Jesteśmy już tam 12 lat.

Kościół jest dziś w dużym kryzysie, nie tylko wizerunkowym. Afery pedofilskie, związki z polityką... Nie macie dość?

Dariusz: Miewamy, bo to boli, ale to jest nasz dom. Ostatnio trafiłem na wypowiedź kardynała Ratzingera z 1969 r. „Z obecnego kryzysu wyłoni się Kościół jutra – Kościół, który stracił wiele. Będzie niewielki i będzie musiał zacząć od nowa, mniej więcej od początku. Nie będzie już w stanie zajmować wielu budowli, które wznosił w czasach pomyślności. Ponieważ liczbą jego zwolenników maleje, więc straci wiele ze swoich przywilejów społecznych (...). Będzie wspólnotą bardziej uduchowioną, niewykorzystującą mandatu politycznego, nieflirtującą ani z lewicą, ani z prawicą. To będzie trudne dla Kościoła, bo ów proces krystalizacji i oczyszczenia będzie kosztować go wiele cennej energii. To sprawi, że będzie ubogi i stanie się Kościołem cichych”.

Te słowa są dziś aktualne w Polsce?

Dariusz: Myślę, że bardzo. Wielu księży w Polsce ciągle uważa, że zawsze będą mieli pełne kościoły, ale to złudzenie. Tyle że kryzys, który nas czeka, przyniesie oczyszczenie.

Widzę, że nie jesteście klerykałami.

Dariusz: Nie jesteśmy. Kościół klerykalny, z pewną szybką między księżmi a wiernymi, na naszych oczach się kończy. Ta idealizacja stanu kapłańskiego, to oczekiwanie, żeby widzieć w osobach konsekrowanych ludzi nieskazitelnych, jest dla wielu bardzo krzywdzące. Przecież święci to grzesznicy, którzy oddali całą swoją nędzę w ręce Chrystusa, żeby on w nich słabych mógł działać. Ale tu warunkiem jest autentyczność. Święci uważali się zawsze za grzeszników. Mieli oparcie w Bogu, nie musieli się pudrować. Niekoniecznie wszyscy byli zawsze grzeczni i uśmiechnięci. My dzisiaj znamy wielu świetnych, autentycznych księży czy zakonników. Gotowych również mówić otwarcie o swoich trudnościach. To oczywiście łatwiejsze jest we wspólnocie.

Ostatnio dużo się mówi o aferach seksualnych w Kościele.

Jak to przyjmujecie?

Jadwiga: Mnie to bardzo smuci, ale uważam, że grzechy Kościoła muszą być ujawnione.

Jacek: To, że Kościół jest grzeszny, to żadna nowość. Niezwykłe jest to, że w przeszłości umiał się z tych grzechów podnosić. Wierzę, że tak będzie i teraz.

Słyszycie głosy waszych znajomych, że w Kościele już nie widzą dla siebie miejsca.

Dariusz: Może trudno im się dziwić, kiedy z jednej strony, najczęściej w mediach, widzą jedynie grzechy Kościoła, a z drugiej – jeśli już wybiorą się na mszę – to podczas kazania często niestety słyszą moralizm oparty na lękowej religijności. Na oddalonych od Kościoła duszpasterstwo sakramentów już nie działa. Teraz

Mumio

Grupa teatralna założona w 1995 r. w Katowicach, przez pierwsze cztery lata działała jako Teatr Epty-a. Trzon grupy tworzą Jacek Borusiński, Dariusz Basiński i Jadwiga Basińska. Ostatnio dołączył do nich Tomasz Drozdek. Członkowie grają też w filmach (m.in. „Hi way”), popularność przyniósł im też udział w reklamach telefonii komórkowej. Z okazji jubileuszu w czerwcu, w Warszawie odbędzie się „Mumio Festival. Ktoś zapukał mi do buta, czyli 21 lat Mumio”. Artyści zagrają swój pierwszy spektakl pt. „Kabaret Mumio” w specjalnej jubileuszowej wersji, ale również multimedialny „Welcome Home Boys” i kolejny raz spektakl „Przybora na 102”. Całość zakończy gala jubileuszowa, podczas której Mumio zaprezentuje m.in. fragment najnowszego spektaklu, którego premiera odbędzie się na przełomie 2019/2020 r.

potrzebne jest wyjście do tych często nawet 80 proc. parafian, którzy omijają mury parafii szerokim łukiem. Potrzebna jest nowa ewangelizacja. To zresztą podkreślał Sobór Watykański II. Dobra nowina nie straciła nic ze swojej aktualności.

Widzicie grzechy Kościoła. Dlaczego więc ciągle w nim jesteście?

Dariusz: Bo poznaliśmy wiele cudów, które się dokonały w nim i dzięki niemu. W mojej wspólnocie jest np. człowiek, który był bezdomnym alkoholikiem. Przyszedł na wstępne katechezy, wszedł do wspólnoty, nikt go nie umoralniał, nie nawracał, on po prostu usłyszał Dobrą Nowinę o bezwarunkowym oddaniu się Chrystusa grzesznikowi. Uwierzył w to i doświadczył tego wybaczenia i tego Ducha z ogromną mocą. Jego życie się zmieniło, dziś ma żonę i dwójkę dzieci.

Brzmi cukierkowo.

Dariusz: Przeciwnie: to dramatyczna historia, tyle że z happy endem. Nie poznałbym jej, funkcjonując tylko w masowej, anonimowej parafii, gdzie ludzie się nie znają, bo spotykają się w tłumie raz na tydzień na mszy. Wspólnota to doświadczenia żywego Kościoła.

Jacek: I właśnie takie doświadczenie małego, ale bardzo bliskiego Kościoła jest uzdrawiające. Jak się jest we wspólnocie, to Kościołem są przede wszystkim ludzie, których się dobrze zna, zarówno z dobrej, jak i ze złej strony. Wiemy, że wszyscy jesteśmy grzesznikami, ale to nam nie przeszkadza, przeciwnie – pomaga.

W Mumio też się wspieracie?

Dariusz: Tak, i to jest dla nas ważne. W razie kryzysu możemy się razem modlić, prosić o wybaczenie.

Jadwiga: Umieemy też pokazywać sobie nawzajem własne słabości i szczerze o nich rozmawiać. To też pomaga.

Duchowość i poczucie humoru mogą iść w parze?

Jacek: Moim zdaniem nawet powinny. Najsmutniejszą i najpoważniejszą istotą na świecie jest szatan.

A Bóg?

Jadwiga: Musi mieć poczucie humoru, skoro nas stworzył i jeszcze z nami wytrzymuje. <

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Marcin Dzierzanowski – redaktor naczelny, m.dzierzanowski@wprost.pl [@DzierzanowskiM](https://twitter.com/DzierzanowskiM), [f](https://www.facebook.com/DzierzanowskiM)



Byłam zakapiorem

Koledzy po fachu patrzyli na mnie z politowaniem, testowali mnie, próbowali wyszydzić, wytykali najmniejszy błąd i czekali na potknięcie.

To było jak fala w wojsku – wspomina **Martyna Wojciechowska**.

Trudno było przebić szklany sufit do męskiego świata?

Wczesnie zaczęłam, jako mała dziewczynka w samochodowym warsztacie taty, kiedy podjęłam decyzję, że zostanę wyścigowym kierowcą motocyklowym. Moją motywacją nie była wtedy walka o równouprawnienie kobiet, ale potrzeba zrobienia czegoś, o czym po prostu marzyłam. Wtedy nie widziałam sufitu ani go nie czułam – byłam za mała, żeby to rozumieć. Dziś, ponad 30 lat później, wiem, że on wciąż wisi nad głowami kobiet. A ja faktycznie go przebiłam. I mam nadzieję, że w świecie uznawanym za męski utorowałam drogę innym dziewczynom, które być może nie są tak uparte jak ja.

Niewiele jest takich kobiet.

Zauważyła pani, że kobiety często mówią „udało mi się” coś zrobić, awansować, schudnąć, przebiec maraton? Nawet w lingwistyce wykazujemy przesadną skromność. Niestety kobiety czasem same rezygnują z marzeń, wycinają się z obrazka pod byle pretekstem – bo jestem kobietą, bo jestem za młoda, za stara, za mało przebojowa. Zanim dojdziemy do etapu realizacji, dochodzimy do wniosku, że nie warto. A przecież próbować zawsze warto.

Długo żartowałam, że jestem starą panną z dzieckiem i dwoma kotami. Chciałam w ten sposób puścić duże oko do kobiet, odczarować niemądry stereotyp

Mężczyźni mówili, co ma pani robić, a czego nie wypada?

W domu zostałam wychowana w przekonaniu, że mogę wszystko, rodzice wspierali mnie w realizacji, jak się miało potem okazać, abstrakcyjnych pomysłach. Ale poza domem wciąż słyszałam, że dziewczynie nie wypada, nie wolno albo że coś musi. Kiedy miałam 10 lat i przyjechałam do podstawówki na motoryncę, koledzy wzięli mnie na fortę wojskowe. To był test: „Chcesz się bawić w męskie zabawy, to co powiesz na to?”. Mało się tam nie zabiłam. Im bardziej miałam starte kolana, z tym większym zapętem pchałam motorynkę po piachu, pod górę i z górą. Ciągle chciałam udowodniać, że też coś potrafię. W czasach licealnych złamałam kręgosłup, bo założyłam się z kolegami, że zjadę na nartach z oblodzonej ściany przy złej widoczności. Byłam zaskapiolem. Zrozumiałam, że żeby być z nimi w bandzie, muszę być jak oni, więc miałam krótkie włosy, nosiłam się jak chłopak. Powiedzenie, że jestem jak baba, było dla mnie obraźliwe. A dziś to komplement. Zresztą pejoratywna konotacja tego określenia jest seksizmem. I to też trzeba zmieniać. Dużo czasu mi zajęło, żeby uwierzyć, że mogę robić rzeczy uważane za męskie na swój kobiecy sposób. Każda z nas może.

Nie zniechęcało, że mężczyźni nie chcieli pani w swoim świecie?

Przeciwnie, motywowało mnie. Mam taką cechę, że się nie poddaję. Im jest trudniej, tym bardziej się zacinam i nie odpuszczam, dopóki nie osiągnę celu. Jaką szkołę zafundowali mi panowie dziennikarze motoryzacyjni na początku mojej pracy w mediach, tylko ja wiem. Naprawdę niewiele osób by to wytrzymało. A ja nigdy się nie przyznałam, że jest mi przykro, bo uważałam, że to dowód słabości. Dziś mam odwagę mówić, że coś mi się nie podoba.

A co dokładnie?

Spotkałam na swojej drodze wielu wspólników, którzy odnosili się do mnie z szacunkiem. Tak jak prezes Mariusz Walter, który jako pierwszy we mnie uwierzył i pozwolił prowadzić program motoryzacyjny. Wtedy to była rewolucja. Ale generalnie ten świat wyglądał tak: panowie w tweedowych marynarkach, w odpowiednim wieku i ja, 22-latka, podająca się za dziennikarkę motoryzacyjną, przesadnie podkreślającą swoją kobiecość. Koledzy po fachu patrzyli na mnie z politowaniem, testowali mnie, próbowali wyszydzić, wytykali najmniejszy błąd i czekali na potknięcie. To było jak fala w wojsku. Z drugiej strony, ponieważ byłam jedyną kobietą, ciekawostką przyrodniczą, to przeprowadzałam wywiady z najlepszymi kierowcami rajdowymi i F1. Żaden ochroniarz nie ośmielił się mnie zatrzymać przy wejściu do parku maszyn.

Mężczyźni opowiadali przy pani seksualne dowcipy?

Często. Do tego aluzje o zabarwieniu erotycznym. Panowało przeświadczenie, że kobieta przy samochodzie może być tylko skąpo ubraną hostessą, więc sama się prosi. Dziś wiem, że to się nazywa molestowanie.

Jak zatem ocenia pani akcję #MeToo?

Jest ważna i potrzebna. Sama padłam tego ofiarą, więc cieszę się, że nareszcie mówimy o tym głośno. Ale przykład Kevin Spaceya pokazuje, że nadużywane nie są jedynie kobiety. Akcja #MeToo stała się ogólnosiątkowym protestem przeciw wykorzystywaniu władzy i pozycji. Jednak, jak we wszystkim, potrzebne jest wyważenie. Nie chciałabym, kosztem akcji, w relacjach damsko-męskich pozbyć się elementu flirtu. Ale w sytuacjach o charakterze profesjonalnym każdy powinien zastanowić się trzy razy, na co może sobie pozwolić.

Kobieta powinna przeglądać się w oczach mężczyzny. Tak myśli wielu.

Kobieta nie potrzebuje się przeglądać w niczyich oczach. Każdy z nas jest oddzielną, samostanowiącą jednostką. Długo żartowałam, że jestem starą panną z dzieckiem i dwoma kotami. Chciałam w ten sposób puścić duże oko do kobiet, odczarować niemądry stereotyp. Tego dystansu uczyłam się przez wiele lat. Wciąż jednak na wielu krańcach świata kobieta bez męża i dzieci jest bezwartościowa. W Polsce też pokutuje takie przeświadczenie. Na szczęście coraz rzadziej.



Musiąo być trudno żyć w zmaskulinizowanym środowisku i wciąż coś komuś udowadniać.

Cholernie. Ale nie chciałam się przyznać, że nie radzę sobie z tym, że jestem oceniana przez pryzmat płci zamiast kompetencji. Kulminacyjnym momentem, kiedy odbiłam się od szklanego sufitu, były przygotowania do startu w Rajdzie Dakar. Już jako doświadczona dziennikarka poszłam do znajomego z firmy motoryzacyjnej, bo chciałam poprosić o drobne wsparcie przy organizacji wyprawy. On powiedział mi prosto w oczy, że nie opta mi się pomóc, bo nawet jak pojadę na rajd, to i tak nie dojadę do mety. I zebym przestała się tuzić, bo to nie miejsce dla kobiety, że Dakar to nie żarty, więc lepiej, zebym przestała się w końcu wygłupiać. Zresztą do dziś słucham wywiadów zawodników z Dakaru, którzy wciąż mówią, że to męski świat, tylko dla prawdziwych facetów.

Czy jako szefowa traktowała pani surowo mężczyzn, żeby ukrócić próby siły?

Mam naturalną umiejętność wchodzenia w rolę lidera, która ujawniała się już w szkole. Ale zawsze posługuję się metodą konsultacyjną. Samo bycie zwierzchnikiem grupy nie jest równoznaczne z szacunkiem i uznaniem. Władza powinna wynikać z kompetencji, umiejętności przywódczych, ale też – opiekuńczych. Prawdziwy lider, samica alfa, to jest ktoś, kto potrafi jednoczyć ludzi wokół swojej idei, nie używając twardych środków przymusu, nie stosując metody kij i marchewki.

Mężczyźni mieli problem, że szefową jest kobieta?

Jeśli mieli, to się po drodze wykruszyli.

A kobiety zawsze panią wspierały?

Znam tę tezę, że gdy kobiety osiągną więcej, okopują się na stanowisku i nie promują innych kobiet. Miałam szczęście do szefowych, które dawały mi szansę. Ale rywalizacji między kobietami doświadczyłam w środowisku górskim. Kobiety w ekipach wspinaczkowych nie chcą współpracować z kobietami, dochodzi do konfliktów. Wanda Rutkiewicz była inna. Była wizjonerką. Stawiła na kobiety i odkryła w himalaizmie nową, kobiecą kartę. Jej ideą była niezależność, dlatego organizowała całkowicie kobiece wyprawy. Żeby nie było wątpliwości, czy to nie kolega niósł plecak, rozbił namiot albo podał kobiecie rękę. Przy tym wszystkim była piękna, seksowna, podkreślała swoją kobiecość. Nikt przed nią ani po niej nie zdobywał szczytów w takim stylu.

Lepiej pracuje się z mężczyznami czy kobietami?

Zależy. Jeśli chodzi o stanowiska kierownicze, pracuję głównie z kobietami. Lubię współpracować z matkami, bo są dobrze zorganizowane, nie mają pustych przebiegów, nie zajmują się plotkami, bo muszą wrócić do domu i ogarnąć równoległą rzeczywistość.

Sama jest pani matką samodzielnie wychowującą córkę. To trudne zadanie wychować świadomą siebie i swoich praw kobietę.

Martyna Wojciechowska

Podróżniczka, dziennikarka, kierowczyni rajdowa. Od lat prowadzi program „Kobiety na krańcu świata”. Jest pierwszą kobietą, która została redaktorką naczelną magazynu „National Geographic”, trzecią Polką, która zdobyła Koronę Ziemi, czyli najwyższe szczyty na każdym kontynencie, i pierwszą kobietą z Europy Środkowo-Wschodniej, która ukończyła Rajd Dakar.

Wyzwaniem wydaje mi się wychowanie synów. Nauczenie chłopców, żeby okazywali kobietom szacunek, nie korzystali z przywileju, że są mężczyznami, potwierdzali swoją męskość na poziomie innym niż przemoc czy tradycyjny podział ról – to prawdziwa misja. Ja staram się wychować niezależną, silną kobietę, ale nie chcę wypuścić jej w świat, w którym będzie musiała rozpychać się łokciami i ciągle udowadniać, że jest coś warta. Przebijając, jak ja, kolejne szklane sufity w patriarchalnym świecie.

Zna pani problemy kobiet na krańcach świata. Czy patriarchat na świecie w końcu upadnie?

Byłam w krajach, gdzie prawa człowieka, w tym prawa kobiet, to fikcja. Byłam tam, gdzie kobieta nie ma prawa głosu, gdzie nie inwestuje się w dziewczynkę, bo to marnotrawstwo. Lepiej edukować chłopca, bo on ma szansę z tego skorzystać, a rolę dziewczynki jest jak najwcześniej wyjść za mąż i urodzić jak najwięcej dzieci. Widziałam, jak instrumentalnie mężczyźni odnoszą się do kobiet, a one nie protestują. Według rankingów najgorszymi krajami do życia dla kobiety są Afganistan, Kongo, Pakistan. Jednym z największych problemów, obok braku dostępu do usług medycznych, edukacji, jest przemoc domowa. W krajach Ameryki Południowej istnieje przeświadczenie, że jeśli facet nie bije kobiety, to znaczy, że jej nie kocha. A więc, niestety, patriarchat ma się wciąż znakomicie.

I nie ma nic wspólnego z religią.

Na potrzeby porządkowania świata chcielibyśmy powiedzieć, że określone grupy społeczne czy religijne źle traktują kobiety, ale to nieprawda. Przemoc wobec kobiet występuje wszędzie. To się wiąże z poczuciem władzy, którą przypisuje się mężczyźnie. A przecież silny, pewny siebie mężczyzna wie, kim jest, nie ma potrzeby pokazywania wyższości w tak prymitywnej i prostackiej sposób. Jak powiedział Seneka, wszelkie zło rodzi się ze słabości.

Gdy spotkany podczas podróży kobietom dzieje się realna krzywda, próbuje pani reagować, dawać rady?

Czasem czuję, że to paradoks, bo jeśli zbuntuję jednostkę, zrobię jej wielką krzywdę. Ona za bunt przeciw mężowi może zostać pobita albo nawet zabita. Emancypacja to długi proces.

Patrzac w skali świata, czy my, Polki, nie przesadzamy, bojąc się o własne prawa? Co pani myśli o czarnych protestach?

Nie przesadzamy. Majstrowanie przy zmianach legislacyjnych dotyczących praw kobiet to poważne zagrożenie. Protestując tutaj, w świecie zachodnim, walczymy o prawa kobiet na całym świecie. Nie robimy tego tylko dla siebie, swoich córek czy swoich rodaczek. Robimy to także dla kobiet na krańcach świata. Obchodzimy właśnie setną rocznicę nadania praw wyborczych kobietom w Polsce, wymuszonego oczywiście, bo nikt by nam ich nie dał. A przecież są kobiety, które dopiero zaczynają iść tą drogą, np. w Arabii Saudyjskiej, gdzie prawa wyborcze otrzymały trzy lata temu, a dopiero w ubiegłym miesiącu zdobyły prawo do prowadzenia pojazdów mechanicznych. Jeśli one zobaczą, że my, Europejki, odpuszczamy, jeśli poczują, że nie umiemy tych wywalczonych praw obronić, utrzymać mocną ręką i nie dławimy w zarodku każdej próby odebrania nam choć części naszych wolności, to przecież dla nich nie ma nadziei.

Ale feminizm niektórych odstrasza.

Feminizm to nic innego jak równouprawnienie, czyli jedyny słuszny i sprawiedliwy podział ról. Wrócić do dyskusji o femi-

nizmie jest archaizmem. Nie wypada już tego robić. Niech bycie seksistą będzie łatką, z którą trudno się żyje. Na razie mamy kuriozalną sytuację, że to bycie feministką utrudnia życie.

W skali świata więcej kobiety łączy czy dzieli?

Więcej nas łączy. Drzemią w nas siła i mądrość. W swojej solidarności kobiety są mocne na każdym krańcu świata. Ciekawym przypadkiem odejścia od patriarchatu jest plemię Mosuo w Chinach Południowych, gdzie kobieta i mężczyzna nie zawierają małżeństwa, są tylko tak zwane związki chodzone. Mężczyzna przychodzi do kobiety wieczorem, wychodzi nad ranem. Kobiety mogłyby spać z kim chcą, jednak zwykle i tak spędzają większość życia z tym samym mężczyzną. Nie chodzi więc o związek, ale o możliwość decydowania. To piękny przykład, że gdyby mężczyźni zrozumieli, że mając wolność, my dokonujemy mądrych wyborów, być może cały

Byłam tam, gdzie kobieta nie ma prawa głosu, gdzie nie inwestuje się w dziewczynkę, bo to marnotrawstwo

system patriarchatu miałby szansę upaść, na rzecz równości i partnerstwa.

Podczas dalekich podróży spotyka pani Polaków?

Polacy są wszędzie. Obserwuję z radością, że wielu Polaków robi sobie roczną przerwę, tzw. gap year, i rusza w podróż po świecie. Niskobudżetowo, bacznie, z otwartą głową i sercem. Miałam wiele świetnych spotkań z rodakami w zupełnie nieoczywistych miejscach i zawsze mogłam liczyć na ich pomoc i życzliwość. Na przykład na targu bawołów na Sulawesi w Indonezji trafiłam na parę, która już od siedmiu miesięcy podróżowała dookoła świata. Byliśmy jedynymi nielokalnymi ludźmi w okolicy.

Ale wielu Polaków nie jest gotowych na eksplorowanie świata. Wciąż są w nas lęki i uprzedzenia.

Ze smutkiem obserwuję ideę tworzenia polskich stref – to nowa moda w turystyce.

Na czym to polega?

Biura podróży proponują za granicą przestrzeń tylko dla Polaków. Jedziesz,

powiedzmy do Maroka, a tam polskie jedzenie, polska obsługa, goście oddzieleni od obcokrajowców. Dla mnie ideą podróżowania jest wymiana międzykulturowa, uczenie się siebie, otwartość, tolerancja. A podróż do zamkniętego turystycznego getta raczej nie kształci.

Z drugiej strony przybywa tych, którzy gonią za ekstremalnymi przeżyciami.

Druga skrajność polega na tym, że kiedyś chcieliśmy się pochwalić nowym samochodem, a dziś największą zazdrość sąsiada wzbudza zdjęcie z podróży w społecznościowych mediach. Powstała nowa terminologia – nie idziemy na spacer, tylko na trekking i nie mamy wakacji tylko trip albo wyprawę. Padam ofiarą tej mody, bo nie ma przyjęcia, na którym ktoś nie odczuje potrzeby podzielenia się ze mną takimi doświadczeniami. Kluczowe zdania, które muszą wtedy paść, to: „Byliśmy poza szlakiem, bez biura podróży, pierwsi Polacy w okolicy”. A potem pokazują zdjęcia i widzę typowe turystyczne atrakcje, tylko inaczej podane. W dodatku często stosujemy podwójną moralność. Zamieszczamy na Facebooku zdjęcia plaży na Bali ustanej śmieciami, a nie zauważamy, że w Polsce niedługo będzie tak samo. Bo skoro 80 proc. ludzi w naszym kraju nie segreguje odpadów, to chyba znaczy, że ekologia nas nie obchodzi.

Rozpętała pani internetową aferę, broniąc na Facebooku plastikowych opakowań.

Proszę nie powtarzać nieprawdziwych zdań, których nigdy nie wypowiedziałam. Ja nie promuję plastiku, nie promuję szkła, nie promuję metalu ani papieru. Prawda jest taka, że bez plastiku nie wyobrażamy sobie żadnej dziedziny życia, od medycyny po transport. A więc sam materiał nie jest naszym wrogiem, to my, ludzie, jesteśmy swoimi największymi wrogami. Musimy w końcu zrozumieć, jakie zagrożenia niesie dla naszej planety brak segregacji, bo w rękach każdego z nas jest to, czy dany kawałek plastiku czy innego surowca wróci do obiegu przemysłowego, czy na zawsze zaśmieci naszą planetę. W tej chwili najważniejsza jest zmiana naszych przyzwyczajeń. W Polsce poziom recyklingu odpadów w 2020 r. zgodnie z wymogami UE musi osiągnąć 50 proc. Inaczej poniesiemy ogromne

kary i zatoniemy w śmieciach. Austriacy są już na poziomie 80 proc. Docelowo powinniśmy wdrożyć program „zero waste” i tu przykładem jest Japonia. W mieście Kamikatsu segregują odpady na 34 kategorie. A my nie umiemy segregować nawet trzech.

Czy na krańcach świata żyje się bardziej ekologicznie?

Prawdziwie ekologiczne są małe grupy społeczne, które biorą z natury tyle, ile jest im potrzebne. Dziś życie eko na skalę masową jest bardzo trudne. Zaburzyliśmy naturalny system i już tego nie cofniemy. Bycie eko kończy się wtedy, gdy ludzie, wspólnoty tracą kontakt z naturą i odcinają się od własnych korzeni.

Dlaczego tak się dzieje?

Dam przykład grupy etnicznej Badjao, morskich nomadów, mieszkających na łodziach i w chatkach zbudowanych na wodzie między Filipinami, Indonezją i Malezją. Żaden rząd się do nich nie przyznaje, nie mają więc opieki medycznej, edukacji ani paszportów. Wiedzeni tym, że lepsze życie czeka ich w mieście, porzucają łodzie czy wodne wioski, odcinają się od naturalnego źródła pożywienia i przenoszą do miasta. Tam, aby jeść, trzeba mieć pieniądze, a oni nie mają szans na rynku pracy. Widziałam dzieciaki Badjao, które żebrzą, są głodne albo wachają klej, żeby zabić poczucie beznadziei. Z czasem ci bardziej sprytni i przedsiębiorczy zaczynają korzystać z nowinek technologicznych, na przykład rybacy, którzy wykorzystują dynamit, żeby ogłuszyć

Ideą podróżowania jest wymiana międzykulturowa, uczenie się siebie, otwartość, tolerancja

ryby. Presja cywilizacyjna zmusza ich do tego, żeby łowili dużo więcej niż potrzebują, bo ryby można sprzedać. Grabieżcza gospodarka powoduje, że okoliczne wody są przełowione i w efekcie głodują wszyscy. Ludzie dostali do ręki zdobycze cywilizacji, choć nie byli na to gotowi, bo po prostu nie potrafili się z nimi obchodzić. Powstają też ogromne wyspy śmieci, co im nie przeszkadza, bo nie rozumieją, jak druzgocący ma to wpływ na środowisko. Zwłaszcza że do niedawna taki szklany, plastikowy pojemnik czy puszka były atrybutem statusu.

My, Europejczycy, rozumiemy zagrożenie, ale wciąż niewiele robimy.

Za zaśmieszenie planety w największym stopniu odpowiada pięć największych gospodarek Azji, głównie gospodarka chińska. Ale to nie oni są winni. Odpowiada za to cały świat, który produkuje w Chinach, bo chcemy wszystko mieć taniej. Zresztą nieważne, kto jest winien. Nadmierny konsumpcjonizm, niekorzystanie z odnawialnych źródeł energii, hodowla bydła na skalę masową, brak segregacji i przetwarzania zamiast spalania śmieci doprowadzą nas do samozagłady. A ja wierzę w oddolne inicjatywy, bo suma naszych działań może dać wielki pozytywny efekt. Choć brzmi to górnolotnie, każdy z nas odpowiada za tę planetę.<

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Agata Jankowska – dziennikarka działu Społeczeństwo, @AgataWprost



rozmawia **Leszek Bugajski**

rozmowy na czas kwarantanny

JERZY PILCH



Dziesięć kluczowych słów

20 lat temu **Jerzy Pilch** wspomniął w felietonie o karteczce z 10 słowami, którą odnaleziono w archiwum Alberta Camusa. Musiały one być dla francuskiego noblisty ważne. I wtedy też Pilch napisał swoją listę słów. Dzisiaj mu je przypominamy.

Nasze pokolenie nie pakowało się w 15 minut do jednej walizki i nie zostawiało wszystkiego za plecami. Dla nas przeprowadzki to istotne zdarzenia i na szczęście kojarzą się z wolnością. Tendencyjnie omijam mniej lub bardziej przymusowe emigracje.

I tymi przeprowadzkami można by napisać nasze biografie. Pamiętam moją pierwszą: w roku Pańskim 1962. Mam dziecięć lat, rodzice zdecydowali, że przeniosą się z Wisty do Krakowa. Niosę w sobie żal za światem, który zostawiam, poczucie straty. Ale i nadzieję na nowe atrakcje. Już wyliczyłem, że w Krakowie jest 30 kin, w Wiśle jedno. Przekonuje mnie to, osadza los banity.

W mojej Dąbrowie Górniczej działały dwa kina. Ale też mnie rzuciło do Krakowa na 20 lat.

Mnie tam bez mała cztery dekady przeleciały. Ale po nich wciąż zarabiałem nędzne pieniądze. Wszyscy mieli wyobrażenie, że w „Tygodniku Powszechnym” jest kran ze złotymi monetami. A tam tylko prestiż, zaśluga i galeria czcigodnych nieboszczyków. W Warszawie zaś dostałem konkretną propozycję, jak się okazało, ostatni etat w moim życiu. Najpierw redakcja „Polityki” stawiała mi Hotel Europejski. Potem wynajęli mi kawalerkę przy rondzie ONZ, na 12. piętrze. Na tamtejsze czasy to były warunki.

No i wrosłeś w to miasto. A teraz, po 20 latach, znów się przenosisz.

Ale tym razem dla mnie to właśnie przymus. Oby zbawczy. Nawet nie chcę na ten temat mówić w wywiadzie, bo w Polsce opowieści o słabościach są traktowane jako spowiedź trupa. Wywinąłem się i pozbyłem, chociaż przez najbliższe miesiące, może rok, a może lata całe, będę poruszał się na wózku inwalidzkim. A on nie mieści się w windzie. Trzeba składać, rozkładać, luzować – żeby wyjść gdziekolwiek, trzeba mieć permanentną pomoc. W mieszkaniu nie wszędzie dotrzesz. Właściwie ostatnie tygodnie spędziłem w tej sytuacji bez wyjścia. Zdałem sobie sprawę, że jest w kraju cała armia więźniów swoich mieszkań. I akurat wtedy podjęliśmy decyzję. Znaleźliśmy nowy apartamentowiec, przystosowany do potrzeb osób niepełnosprawnych, spodobało mi się. A więc Kielce. Tu czekam na gigantyczną zmianę: żeby móc na wózku samemu do łazienki dojechać i z niej wyjechać.

Też ci się trafiło.

No co ci mogę powiedzieć? Nie planowałem tego. Ale współcześnie technologia znosi odległości. Czy piszesz w Ulan Bator, czy w Mozambiku, masz tę samą łączność ze światem co na Hożej. Więc ja trzeci raz przeniosę swoje życie do nowego miasta i ciekaw, i pełen nadziei jestem...

Ale opisanie biografii przez przeprowadzki jest zbyt proste. Kiedyś, na wzór Alberta Camusa, napisałeś zestaw najważniejszych dla ciebie słów. Mogę cię z nich przepytać?

Jeśli musisz. To nie miała być lista najważniejszych pojęć mojego życia, moralnych drogowskazów czy kluczowych doświadczeń. Zapisalem gdzieś na kartce pod koniec 1999 r. kilka wyrazów i terminów. Mam teraz się z tego spowiadać? 10 słów po 20 latach?

Papier pamięta. Pierwszy był DOM.

Rodziny, ale nie moich rodziców, tylko dziadków. Stał w centrum Wisty, przed wojną mieściła się w nim rzeźnia Chlebków, bo tak nazywała się po pierwszym mężu babka – Maria Chmielówna-Chlebkowa. On jednak zabił się na motorze i wtedy

A w obu miejscach kultywowali te same obyczaje. Jeden pokój zamknięty, wszystko wysprzątane, patologiczny porządek, bo może ktoś przyjdzie. 30 lat minęło i nikt nie przyszedł. Odwrotnie, ja popłynąłem w swoją stronę.

Miedzy innymi w NAŁÓG. To drugie słowo z twojej listy.

Było, minęło. To samo z papierosami. A nawet lepiej, po latach, wiedziony czystą brawurą, zapaliłem jednego – momentalne zatrucie całego organizmu. Więc nałogi to już historia.

To już nie Kraków lat 70. i 80. Barcelona, Spatif.

Proszę cię, a „Baryteczka” na Sławkowskiej? Marek Sołtysik, Marian Stala, Tadeusz Lubelski...

Adam Komorowski. Działo się! A kiedy tak się uwrażliwiłeś na DOTYK?

Zawsze byłem wrażliwy. Kto kota lubi głaskaniem do ostateczności doprowadzić – ma naddotyk. Z dzieciństwa pamiętam dotyk lodowatej wody w potoku, mokrych kamieni, spierzchniętej skóry koleżanek, których plecy smarowało się masłem kakaowym...

Właściwie ostatnie tygodnie spędziłem w sytuacji bez wyjścia. Zdałem sobie sprawę, że jest w kraju cała armia więźniów swoich mieszkań

pojawił się mój dziadek, przyszły naczelnik poczty. Wyobraź sobie, jaką oni mieli sytuację psychologiczną: wdowa mieszka u teściów i nagle wprowadza się do tej trójki nowy mąż synowej. Ale to wszystko opowiedziano mi później. W dzieciństwie nie zaznałem tej historii. Dlatego do dzisiaj wraca do mnie w snach ta chałupa w środku miasteczka.

A co z domem rodziców?

Starzy należeli do klasy średniej, byli wrażliwi na rzekome prestiże. Bo jak już się człowiek przenosi do Krakowa, wypada mieć tam dwa, trzy pokoje z eleganckimi wersalkami albo kompletami meblowymi. Za Gomulki dorobili się tego. Ale ledwo się dobrze pod tą meblościanką poczułi, okazało się, że za Gierka to już za mało. W nowych czasach trzeba mieć i dom w Wiśle, i mieszkanie w Krakowie. Zagryźli zęby i za cenę wielu wyrzeczeń osiągnęli cel.

Może stąd to twoje wysublimowanie – dobre materiały, ubrania, specjalne pióra?

Może tak? Zawsze wszystko musiałem sam zbadać. Poczuć pod palcami skórę, len, jedwab. Henio Bereza mówił: „Na literaturze trzeba znać się jak na wełnie”. Pod koniec życia się z nim skumpłowałem. Wcześniej pozostawałem człowiekiem z Krakowa, ze środowiska Błońskiego permanentnie skłóconego z Warszawą, którą reprezentował Bereza. Aż nagle w podeszłym wieku zaczęło nam się nadzwyczajnie gadać. Siedział w tym swoim lilipucim mieszkanku na Widoku, w lodówce pusto poza litrem wódki, a siłę życiową czerpał z zachwyty, nie tylko nad młodością literaturą. Podobano mi się to.

Poza wódką zawsze miał serek homogenizowany i sok Dodoni, taki w litrowych puszkach. Henio był pięknie bezinteresowny. Nie szedł na kompromis,

nie chciał być giętki. Pewnie podpisałby się pod twoim kolejnym słowem: PISMO.

Nie miałem na myśli literackich periodyków, tylko pisanie ręcznie. Dzisiaj jest to technologia na wymarcie. A z nią tracimy własny charakter pisma. Mój – nieczytelny, odwróconego mańkuta, bo jak można było w Wiśle w 1958 roku być leworęcznym? Diabelstwo to było! I tyle. Owszem, prawdopodobnie z upodobania do przyciskania stalówki do papieru wziął się mój szacunek dla piór wiecznych, o których wspominałem. Otarłem się o kolekcjonerstwo, ale ono pochłonęłoby za duże środki. Więc, summa summarum, mam cztery pelikany i dwa mont blanki. Czegoś się dorobiłem w tej Warszawie. Jak rodzice wersalki.

A DZWON? Co ci z tym dzwonem wyskoczyło?

Znowu wracamy do Wisły. Tam dzwon kościoła ewangelickiego wyznaczał porządek dnia. Potężny dźwięk (bo to trzy dzwony były) rozlegał się rano o 6, przez co czasowicze pisali protesty, że spać nie idzie, w południe i kiedy ktoś umarł. A po okolicy niosło się pytanie: komu dzwonią. Kiery umrzną? Druga rzecz, że kościelny, kiedy sam pełnił dyżur, brał do pomocy kogokolwiek z ulicy. Kilka razy trafiło na mnie i chwilę później bujałem się na linach przytroczonych do żeliwnego serca. Ale nie ja pierwszy w literaturze wyskoczyłem z dzwonem. Pierwszy angielski wybór wierszy Miłosza to „Dzwony w zimie”. Ten tytuł nałożył się na moje wspomnienia i o wszystkim napisałem w książce „Tysiąc spokojnych miast”.

Czyli te dzwony porządkują poszczególne etapy dnia, roku, życia?

Dokładnie. Aż stają się dzwonami trwogi.

Ale wcześniej jeszcze jest TRAWA. Ja mam z tyłu głowy łąki na Orawie.

Czasem coś się tak wdrukuję w pamięć. Ale dla mnie „trawa” to nie odpoczynek i natura, tylko murawa. W Wiśle uwielbialiśmy grać w ośrodku olimpijskim. Stale nas stamtąd przeganiali. No i widzisz? Ty mówisz o łące, ja o stadionie, ale wszystko sprowadza się do jednego: uwielbiasz jakieś kilka metrów kwadratowych ziemi, a dostać się na nie niepodobna. I musisz z tym żyć.

I jeszcze Wisły Kraków żal. Kiedyś triumfowała w zestawieniach. A dzisiaj?

Za to pierwszy raz Cracovia walczy w ścisłej czołówce. Ich trenera po ostatnich

Jerzy Pilch

jeden z najpopularniejszych i najwybitniejszych polskich pisarzy współczesnych, brawurowy felietonista. Jako prozaik debiutował w 1988 r. i od razu został wyróżniony prestiżową Nagrodą Fundacji im. Kościelskich, w następnych latach zdobywał inne nagrody (m.in. Nike, Nagroda Literacka Gdynia) i wyróżnienia. Autor ponad 30 książek. Najnowsze z nich – opublikowane w 2019 r. – to proza „Żółte światło”, wybór felietonów „Widok z mojego boksu” i „Trzeci dziennik”.

zwycięskich derbach dziennikarz zapytał, jak uczci sukces. Odpowiedział, że ma jeszcze do skończenia „Żółte światło” Pilcha. Po 60 latach niezłomnego i wiernego kibicowania drużynie dożyłem szkoleniowca, który mnie czyta. Mogę w spełnieniu zamilknąć.

Gratuluję z serca. A naprawdę nie marzysz o wyłożeniu się na łące?

Szczerze mówiąc, już się kiedyś należałem, jak jeszcze one były bujne i kwitnące.

ŚWIATŁO.

Nie mam pojęcia, co mi strzeliło do głowy. Przecież żaden Goethe, Bóg, mistycy, protestanci czy katolicy. Z bliska każda religia wypada raczej chujowo.

Ale bojowo. Ósma jest MATKA. Dużo o niej pisałeś. Ale w „Żółtym świetle” ważnym bohaterem staje się ojciec. Także dlatego, że straciłeś go wcześniej i dzisiaj on do ciebie wraca? Ja noszę w sobie taką nierównowagę, od kiedy moja mama umarła w 1967 r. Ojciec żył kilka dekad dłużej.

Ojciec staje się mi bliższy. Przykładał wagę do ciężkiej fizycznej, uważał, że tylko przez kaprys nie startuje w kolejnych olimpiadach. Miał ambicje literackie i to on zaraził mnie tasemcową frazą.

Za książkę swojego życia uznał „Doktora Faustusa” Tomasa Manna. Otwierał tom, palcami zaznaczał koniec i początek nieraz całostronicowego zdania i mówił: „Patr, jaki fachowiec”. Nabierałem przekonania, że fachowcy piszą długimi zdaniami. I tak dawałem. Bez końca. A może po prostu przez te wszystkie lata nauczyłem się patrzeć na świat jak na materiał literacki? Zastępuję więc artystycznie wyeksploatowaną matkę świeższym nieco ojcem, o którym jeszcze dałoby się książkę czy opowiadanie napisać.

Zabrnęliśmy, Jurek, w jakiś ślepy zaułek z tą starością.

Trochę tak. To chyba przemilczmy już punkt 9. – **SKRZYDŁA.** Bo jakie my jeszcze możemy mieć skrzydła? Nawet pytać, kto mi dał skrzydła, nie idzie, bo nikt nie dał.

Ostatnie słowo: KONIEC. Myślisz o przemijaniu?

Lekarze już Kingę przygotowywali, że to lada chwila. Dzień i noc była przy mnie. Poszedłem na badania, fałszywa diagnoza, zwlekali z leczeniem, przestałem chodzić i pół roku przeleżałem w murach szpitala. Z czystym sumieniem mogę powiedzieć: otarłem się. Dziękuję bardzo, lepiej mi się żyło bez tej wiedzy.

Ja zaraz mam swoją operację. Mam nadzieję, że przeżyję. Wiesz, jak mówią: siedemdziesiątka to nowa czterdziestka.

Tak mówią. Ja ostatnio rozumiałem, że pora cenić każde bicie dzwonu.

A pamiętasz, co napisałeś w wydanym w 2014 r. „Drugim dzienniku”? „Spaceruj, ale nie przystawaj. Jak staniesz, gorzej niż byś usiadł. Oczywiście, z grozy spędzania reszty życia na siedząco czy też na stojąco, zastygnąwszy w jednym punkcie, nie zdajesz sobie sprawy. Nogi osłabły, ani wstać, ani kroku uczynić, ale przecież to przejdzie. Wszystko, łącznie z agonią i stępieniem pośmiertnym”.

Weź mnie, kurwa, nie denerwuj. <

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Leszek Bugajski – krytyk literacki. Autor ponad dziesięciu książek złożonych z tekstów o literaturze lub kulturze popularnej. Ostatnie to: „Kupa kultury” (2014) i „Margines centralny” (2015). Laureat kilku nagród – w tym im. Wyki.



Fundacja
im. Przemysława
Gintrowskiego

ZA WOLNOŚĆ W KULTURZE

NAGRODA IM. PRZEMYSŁAWA GINTROWSKIEGO

VEDYCJA NAGRODY



SZCZEGÓŁY NA WWW.GINTROWSKI.PL
LUB FUNDACJA@GINTROWSKI.PL

MECENAS KONCERTU:



PARTNER



PARTNER WSPIERAJĄCY:



PATRONI MEDIALNI:





Chłopak z dobrego podwórka

Dla mężczyzny bazą
jest jednak dom, miłość,
rodzina. W moim
przypadku w każdym
razie tak było i jest –
mówi **Zbigniew Boniek**.



Sylwester Latkowski: Chłopak z dobrego domu czy z podwórka?

Zbigniew Boniek: Z dobrego bydgoskiego podwórka. Mój dom był bardzo dobry, rodzice zawsze dbali, żeby mi niczego nie brakowało. Ale wszystkie umiejętności piłkarskie zdobyłem na podwórku, podwórko było wtedy zresztą jedyną atrakcją. W telewizorze jeden czy dwa programy, internet nie istniał.

Istniał jeszcze klub Zawisza Bydgoszcz.

Poszedłem tam, jak miałem dziewięć lat, i zostałem do 18. roku życia.

Co pana kręciło w piłce?

Wszystko.

Rodzice zachęcali do gry? Ojciec też grał w Zawiszy.

Kiedyś nawet był gdzieś blisko reprezentacji. Ale absolutnie nigdy mi nie mówił, żebym grał albo żebym nie grał w piłkę. Pierwszy raz przyszedł na mój mecz, gdy już grałem w pierwszej drużynie. Nie popychał mnie na boisko, sam chciałem. Pamiętam, że jak dostałem pierwsze stypendium sportowe, w zasadzie taką pierwszą wypłatę, to prawie się popłakałem. Schowałem ją do kieszeni, miałem chyba 16,5 roku. Pomyślałem, że jakby coś, to mogę już pomóc rodzicom, kupić pomarańcze czy ciasteczka Teatralne, które strasznie lubiłem. Że w końcu nie muszę nikogo o coś prosić.

Potem, już jako profesjonalista, musiał pan pracować na fikcyjnych PRL-owskich etatach.

Takie były czasy, że sportowiec musiał być gdzieś zatrudniony. Kiedy poszedłem do Widzewa, najpierw miałem jeden etat, potem dwa, potem trzy. Doszedłem do pięciu: Zakłady 1 Maja, Wifama. Fikcja fikcją, ale pierwszego trzeba było do każdego zakładu jechać po wypłatę. Pójść do oddziału zatrudnienia, z każdym się przywitać, podpisać listę, odebrać pieniądze. Pamiętam, że jak nadeszły czasy „Solidarności”, zaczęto ten system krytykować. Tyle że ci ludzie z „Solidarności” to też byli przecież nasi kibice. Kiedyś



▲ - Do tego, żeby coś w życiu osiągnąć, najważniejsze są fundamenty rodzinne - powtarza Zbigniew Boniek i wyraża wdzięczność żonie

usłyszałem: „Panie Zbyszku, czy to jest normalne, że pan ma pięć etatów w pięciu różnych zakładach pracy? To jest chore!”. Tacy zadowoleni patrzą na siebie, a ja trochę się przestraszyłem, bo dzięki tym pięciu pensjom człowiek przynajmniej zarabiał jakie takie pieniądze. I nagle słyszę: „Pan powinien mieć pięć etatów w jednym zakładzie, żeby nie tracić czasu na chodzenie”. I problem się skończył.

W rubryce „zawód” co pan wtedy wpisywał?

Brigada remontowo-budowlana, ślusarz i tym podobne. W różnych zakładach różnie. Dyrektorem nigdzie nie byłem (śmiech).

Pierwszy mecz w reprezentacji?

Chorzów, Polska – Argentyna, 2:1. Grałem wtedy z 60 minut, przegraliśmy. To chyba była wiosna 1975 r.

Mimo wszystko poczucie sukcesu? Że się udało od tego bydgoskiego boiska odbić?

Spokojnie, to nie było aż takie przeskoczenie do innego świata. Ta bydgoska piłka wcale nie była zła. Sukces sportowy tkwi w głowie, głowa jest najważniejsza. Od pasa w dół sportowcem jest każdy, ludzie różnią się od pasa do góry.

Kiedy pan zdecydował, że wyjedzie z kraju?

To, że wyjadę z Polski, czułem, jak miałem 21-22 lata. Wiedziałem, że chcę grać na Zachodzie, w dobrym klubie. Postanowiłem sobie, że do 26. roku jestem na AWF, a potem na cztery-pięć lat wyjadę. Pracę magisterską obroniłem jeszcze przed mistrzostwami świata w 1982 r.

I wyjechał pan grać w Juventusie.

To był wtedy chyba najlepszy klub piłkarski w Europie. Najważniejsze, że nie jechałem tam jako 17., 16. czy 15. element, tylko jako podstawowy zawodnik. Włosi mieli do mnie dużo szacunku.

Nie czuł się pan ubogim krewnym?

Wszystkie umiejętności piłkarskie zdobyłem na podwórku, podwórko było wtedy jedyną atrakcją

Miałem to szczęście, że znałem już trochę Europę, wiedziałem, jak wygląda Zachód. Nie miałem wrażenia, że tu w Polsce jest czerwona ziemia, komunizm, a za Odrą zaczyna się inny świat, bo ja po tym świecie trochę sobie wcześniej pojeździłem. Respekt zdobyłem już na pierwszym treningu. Wszedłem uśmiechnięty do szatni i powiedziałem: „ia non parla italiana”, czyli coś w rodzaju: ja nie mówić po włosku. Ale dwa miesiące i nie będzie problemu. Pośmiali się, ale było dobrze. Wszystko mi się na początku podobało, to, że jest inne podejście do sportowca, że piłkarz jest w centrum zainteresowania. Nie musiałem iść do sklepu mięsnego od zaplecza, żeby po znajomości kupić kawałek mięsa. A tak przecież było w Polsce.

Szybko się pan ożenił.

Żona też jest z Bydgoszczy, razem chodziliśmy do liceum. Wiem pan, dla mnie rodzina jest najważniejsza. Wiem, że wielu myśli inaczej. Uważają, że żona i dzieci są u mnie na drugim planie, bo ja nigdy nie lubiłem się nimi chwalić w mediach. Wiele gazet prosiło, żebym ich wpuścił do mieszkania, ale ja zawsze mówiłem: nie, dziękuję. Może dzięki temu to wszystko dobrze funkcjonuje i dalej, mam nadzieję, będzie funkcjonowało. W gruncie rzeczy to, że zrobiłem karierę, wybiłem się, że mogłem przyjść na trening pierwszy, a wyjść ostatni, to wszystko dzięki znakomitej chemii, którą mam z żoną. Do dziś zresztą. Znałem piłkarzy, którzy na trening wjeżdżali na piszczących kołach, a po treningu z mokrą głową uciekali do domu, „bo żona się nudzi”. Ja mogłem się całkowicie poświęcić piłce.

To jest rzadkość.

Ktoś kiedyś powiedział: „Nie chwal dnia przed zachodem słońca, a żony przed śmiercią”. Dlatego ja nie będę Wiesi publicznie chwalić. Ale powiem jedno: jak dwóch ludzi się kocha i sobie dobrze życzy, to jest najlepszy motorek napędowy do tego, co człowiek robi poza domem. Wie pan, że moja żona nigdy nie chodziła na mecze? Wziąłem ją dopiero na mistrzostwa Europy w Polsce, to był jeden z jej pierwszych meczów na żywo!

Nie żyła piłką?

Ani trochę! Pamiętam, jak przyszedłem do domu po finale superpucharu europejskiego. Wygraliśmy 2:0, ja strzeliłem wtedy dwie bramki. Nie mogłem wyjść ze stadionu, dziennikarze się o mnie zabijali, wywiady nie wywiady, jednym słowem bohater. Wchodzę do domu, a Wiesia do mnie: „No i co, jaki wynik?”.

Przykre?

Wręcz przeciwnie, bardzo fajne. Do dziś tak to funkcjonuje.

Jak pan ją poznał?

Przypadek. W życiu o wszystkim decyduje przypadek. Skończyłem podstawówkę, zastanawiałem się, gdzie iść. Radzili mi, że do zawodówki albo do technikum. Ktoś mi powiedział: do szóstego liceum. Dziwna to była decyzja, powtarzano mi: po co ci ogólniak? Chcesz grać w piłkę czy studiować? Ale poszedłem. Gdybym nie poszedł, nie poznałbym żony.

A kiedy uzmysłowił pan sobie, że musi zejść z boiska?

Wcześniej, jak miałem 32 lata, kończył mi się trzyletni kontrakt z AS Romą. Pielgrzymowali do mnie emisariusze z wielu krajów – z Anglii, z Włoch. Chcieli podpisać ze mną kontrakt na dwa lata, ale coś się we mnie stało. Podjąłem decyzję, że kończę, a wynikało to przede wszystkim z sytuacji, która była w reprezentacji Polski.

Zbigniew Boniek

były piłkarz, zaliczany do stu najlepszych piłkarzy w historii, grał w Zawiszy Bydgoszcz, Widzewie Łódź, Juventusie i AS Roma, trzykrotnie uczestniczył w finałowych turniejach mistrzostw świata. Prezes Polskiego Związku Piłki Nożnej (od 2012) i członek Komitetu Wykonawczego FIFA (od 2017)

To znaczy?

Wtedy w tej reprezentacji byli naprawdę fajni chłopacy, młodzi, utalentowani. Był Wdowczyk, Kubicki, Prusik, Tarasiewicz, Dziekanowski. Gdybym jeszcze tej drużynie pomógł, byłaby niezła paka. Mogłbym grać do 1990 r., do mistrzostw świata we Włoszech, ale nie widziałem żadnego wsparcia. Trener powtarzał, że on nie chce żadnego zawodnika z Zachodu. Stwierdziłem więc, że nie będę się wpraszał. Usiadłem z żoną i z dnia na dzień podjąłem decyzję, że kończę.

Co pan myśli o dzisiejszej piłce?

To przede wszystkim show-biznes. Jak myśmy grali, musieliśmy być przede wszystkim dobrzy na boisku. Wybiec na to zielone, strzelić gola, wytrzymać, dać się pokopać, pokopać innych. Dzisiaj są piłkarscy celebryci, którzy tak naprawdę nie są wielkimi piłkarzami. Jak zawodnik jest zdolny i młody, natychmiast wokół niego pojawia się grupa ludzi, którzy chcą przy nim zarobić. Szukają mu żony, żeby dobrze wyglądała marketingowo, żeby z tego można było zrobić książkę, a potem ją sprzedać. Kiedyś tej pompki medialnej nie było.

Mimo to sławę pan zdobył ogromną.

Ale przy tym wszystkim na szczęście zachowałem w życiu wewnętrzny spokój, umiar, chłodny stosunek do wszystkiego. Do tego, żeby coś w życiu osiągnąć, najważniejsze są fundamenty rodzinne.

Na szczęście zachowałem w życiu wewnętrzny spokój, umiar, chłodny stosunek do wszystkiego

I talent.

Oczywiście, w DNA, w genach też trzeba coś mieć. Natomiast wydaje mi się, że dla mężczyzny bazą jest jednak dom, miłość, rodzina. Za wielkim sukcesem najczęściej jest gdzieś z tyłu schowana jakaś „grande donna”, wielka kobieta, o której nikt mówi. W moim przypadku w każdym razie tak było i jest. <

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Sylwester Latkowski - reżyser filmowy, publicysta, w latach 2013-15 red. naczelny Wprost



rozmowy na czas kwarantanny

rozmawia **Katarzyna Skrzydłowska-Kalukin**

ANNA DYMNA

Nie zamierzam odpoczywać

Słyszałam: „Masz nazwisko i twarz Dymnej, to ci pomoże, ludzie ci ufają, niejeden potencjalny sponsor kochał się kiedyś w Marysi Wilczurównie”. Dlatego założyłam tę fundację – mówi **Anna Dymna**

Po co pani pomaganie? Kim by pani była, gdyby nie założyła pani Fundacji „Mimo Wszystko”?

Byłabym tym, kim jestem. Nadal bym pracowała w teatrze, ze studentami w Akademii Sztuk Teatralnych, prowadziłabym Salon Poezji, no i pomagałabym komu mogę, odruchowo, czasem niezbyt mądrze i chaotycznie.

Co to są za odruchy?

Głupio mi wciąż o tym mówić. Dla mnie to oczywista sprawa. Wychowałam się w domu, w którym pomaganie było czymś normalnym. Tak jak się oddycha, je i robi siusiu, tak samo pomaga się komuś, kto potrzebuje pomocy. Nikt mi też nie mówił: „masz być dobra”. Moja mama po prostu taka była, a ja na nią patrzyłam od urodzenia. Chciałam być taka jak ona. Byłam pewna, że wszystkie matki takie są. Jak ktoś leżał na ulicy, pochylała się nad nim, niezależnie, czy był pijany i brudny, czy trzeźwy i czysty. Jak pies był przywiązany do budy, to szła do niego i jeśli ktoś wołał: „Może być wściekły”, ona mówiła: „Jak to wściekły? On się przecież dusi”. I rozluźniała mu obrozę. Powtarzała: „Małgosiu, w każdym jest dobro”. Mówiła do mnie: „Małgosiu”. Czasem nie rozumiałam, jakie dobro jest w panu, który bije panią na Plantach. A mama tłumaczyła, że i jego można uratować. Z kolei mój ojciec, ścisły umysł, inżynier lotnik, wszystko umiał robić własnymi rękami. Zrobił mamie pralkę, piekarnik, odkurzacz. Zostałam wychowana w pewności, że to ode mnie zależy, w jakiej rzeczywistości będę żyć. Jak czegoś potrzebujesz, nie żądasz tego, tylko staraj się zrobić sama.

I dlatego założyła pani fundację i zajęła się pomaganiem?

Na pewno nie dlatego, że nie miałam co robić. Dużo grałam, uczyłam studentów, prowadziłam Salon Poezji. Miałam bardzo dużo pracy, zresztą tak jest do tej pory. Jednak aktor to specyficzny zawód. Wykonuję go od prawie 50 lat. Przez całe życie staram się wniknąć w głąb drugiego człowieka. Jeżeli gram jakąś postać,

✓ Zostałam wychowana w pewności, że to ode mnie zależy, w jakiej rzeczywistości będę żyć – opowiada Anna Dymna

bez względu na to, czy to jest potwór, czy anioł, zawsze jest to człowiek i staram się go zrozumieć. Aktorzy uczą się słuchać, wczuwać w czyjąś sytuację, przekazywać sugestywnie emocje. Ten zawód otwiera na drugiego człowieka. Po drugie, przez Marysię Wilczurównę, Barbarę Radziwiłównę i Pawlaczkę stałam się osobą publiczną. A że zazwyczaj grałam dobre postacie, ludzie uważali, że sama taka jestem. Zawsze pisali do mnie listy. Za komuny dzielili się swoimi marzeniami, refleksjami. A kiedy komuna upadła, wylało się morze nieszczęść i przychodziły dziesiątki listów dziennie. Ludzie opisywali swoje tragedie, bezradność wobec rzeczywistości, nędzę, cierpienie. Chcieli się



z kimś tym podzielić. Już się nie bali o tym pisać. Czytałam np.: „Znam tylko panią, z telewizora wprowadzie. Wychowuję pięcioro dzieci, zmarła mi żona, nie mam z czego żyć. Dzieci chodzą na zmianę do szkoły, bo mamy tylko dwie pary butów”. Ten mężczyzna nie podał adresu zwrotnego. Nie mogłam nawet odpisać. Jednak byli i tacy, którzy podawali adres i oczekiwali pomocy. Tych listów przychodziło mnóstwo i należało jakoś je sprawdzać, żeby nie pomagać głupio. Ale jak? Jakaś pani prosiła o 100 zł. Wystąpiłam. Za chwilę przysłała drugi list: „Proszę jeszcze kupić buty dla córki i płaszczyk, a mnie dać 500 zł”. Pomoc polegająca na dawaniu pieniędzy owocowała tym, że ludzie zaczęli żądać. Teraz nauczyłam się rozróżniać, co jest prawdą, a co nie. Wtedy nie wiedziałam, jak weryfikować prośby. Robiliśmy zbiórki...

Kto je robił?

Aktorzy. Koleżanki przecież też dostawały listy. Robiliśmy więc zbiórki, wysyłaliśmy paczki. Także do więzienia, bo różni ludzie do nas pisali, a ja uważam, że każdemu warto czasem pomóc, by wziął się w garść. Na każdym balu charytatywnym zbierałam pieniądze na jakiś cel. Czasem głupio było. Zdarzało się, że jakiś pijany facet poklepywał mnie i dawał 100 zł. Wiedziałam, że jak ktoś lubi Marysię Wilczurównę, to wrzuci mi do puszki pieniądze.

Aktorzy uczą się słuchać, wczuwać w czyjąś sytuację. Ten zawód otwiera na drugiego człowieka.



Pod koniec lat 90. moje pomaganie jednak się zmieniło. Ksiądz Tadeusz Isakowicz-Zaleski ma fundację, która w Radwanowicach pod Krakowem prowadzi schronisko. Zaprosił mnie na przegląd twórczości teatralno-muzycznej osób niepełnosprawnych intelektualnie. Nie znałam takich ludzi. Wychowując się w kraju komunistycznym, żyjesz w przekonaniu, że ich nie ma. Kiedy w 1973 r. wyjechałam ze spektaklem do Londynu, byłam przerażona, ilu tam ludzi na wózkach. Nie rozumiałam, że u nas są oni pozamykani w domach. Strasznie się więc bałam, kiedy jechałam do tych Radwanowic. Nie wiedziałam, czy mam coś mówić do tych ludzi, czy oni mnie zrozumieją. Jednak byłam ich ciekawa. Czytałam o nich książki. Nie mogłam pojąć, jak neurolog może pisać, że największą nagrodą za jego trudy życia jest kontakt z nimi. Pojechałam więc do Radwanowic. Było to dla mnie ogromne przeżycie. Wróciłam do domu z gorączką i nie mogłam już o nich zapomnieć.

Dlaczego?

Bo znalazłam się nagle na innej planecie. Innych uczuć, wartości. To mnie poraziło. W naszym obiegowym pojęciu piękna ci ludzie są brzydzy, dziwnie się zachowują. Czasem odpychają. Ale kiedy weszli na scenę, nagle zobaczyłam inne piękno, prawdziwe, wstrząsające, wzruszające. W dodatku do mnie dotarło, że dla nich jestem zwyczajnym człowiekiem. Przecież my, aktorzy, jesteśmy skrzywdzeni, bo wciąż postrzega się nas przez pryzmat zawodu. Kiedy robimy coś zwyczajnego, np. jedziemy na rowerze, to często słyszymy, że udajemy normalnych. W Radwanowicach znalazłam się wśród ludzi, którzy widzieli we mnie tylko jakąś panią, która się uśmiecha, do której można się przytulić, można sobie z nią popłakać, powiedzieć „mamo”, sto razy powtórzyć

▲ *Rozczarowanie zabija radość. Ja go do siebie nie dopuszczam. Bo kiedy zacznę narzekać, nie będę prowadziła fundacji – mówi aktorka*

to samo. Błyskawicznie znalazłam z nimi kontakt, bo jako aktorka umiem łączyć kontakt pozawerbalny. Następnego dnia znowu byłam w Radwanowicach. A ksiądz Zaleski patrzył i się uśmiechał. Widział, że połknęłam haczyk. Zaczęłam przyjeżdżać do nich regularnie, pomagałam terapeutom robić spektakle.

Co to pani dawało?

Kiedy pomożesz komuś, nawet na ulicy, a on się uśmiecha i dziękuje, to czujesz coś dziwnego i z chęcią zrobisz to drugi raz. Kiedy ktoś mi napisał: „Dziękuję, bo dzięki pani lepiej przeżyłem święta”, to mi się od tego jakoś lepiej oddychało. To jest jak narkotyki, wciąga. Wtedy z radością pomagałam ludziom niepełnosprawnym intelektualnie, nie biorąc za to odpowiedzialności. Ośrodek prowadziła Fundacja Brata Alberta, a ja tam bywałam. W 2003 r. nastąpiła jednak nowelizacja ustawy o zatrudnieniu i rehabilitacji osób niepełnosprawnych, na mocy której dorosłe osoby z niepełnosprawnością, w tym 26 podopiecznych księdza Zaleskiego, straciły prawo do korzystania z warsztatów terapeutycznych. W myśl zasady, że jeśli mają jedzenie i spanie, to już nic więcej im od państwa nie potrzeba. Wyobraziłam sobie, jak pozbawieni zajęcia będą się kiwali przy ścianach. I jak będą umierali, bo człowiek, który czuje się niepotrzebny, po prostu gaśnie. Dla wielu z nich te warsztaty są jedynym sensem życia i radością. Ksiądz Zaleski powiedział: „Pani Aniu, musi pani coś z tym zrobić”. I wtedy padła idea, że-bym założyła fundację. Tyle że uważałam się za ostatnią osobę, która może to zrobić. Słyszałam wtedy: „Ania, masz nazwisko i twarz Dymnej, to ci pomoże, ludzie ci ufają, niejeden potencjalny sponsor kochał się kiedyś w Marysi Wilczurównie”. Nie

Moi przyjaciele niepełnosprawni intelektualnie nie potrafią manipulować. Oni mnie ratują

miałam czasu na długie zastanawianie się. Spisałam cel, założenia, zakres działania, wymyśliłam nazwę „Mimo Wszystko”. Ze studentką ASP wymyśliłam logo i we wrześniu 2003 r. miałam zarejestrowaną fundację. W lutym 2004 r. na terenie

ośrodka w Radwanowicach otworzyłam Warsztaty Terapii Artystycznej „Mimo Wszystko”. Nasi podopieczni nawet nie zauważyli, że mieli być czegoś pozbawieni. Fundacja rozwijała się lawinowo. Prowadzimy wiele stałych projektów: Festiwal Zaczarowanej Piosenki, „Albertianę”, Akademię Odnalezionych Nadziei, konkurs poetycki „Słowa, dobrze, że jesteście”, ale moimi dziećmi, których nigdy nie opuszczę, są osoby z niepełnosprawnościami intelektualnymi. Książd Tadeusz podarował mojej fundacji – za złotówkę – 4 ha ziemi w Radwanowicach, a moja fundacja wybudowała tam z 1 proc. i otworzyła na swoje 10-lecie „Dolinę Słońca” – codzienne warsztaty terapeutyczno-rehabilitacyjne. To jest pięć budynków. Dwa podarowała Fundacji Brata Alberta, jeden użytkujemy razem. Mamy tam pracownie malarskie, komputerowe, tkackie, salę doświadczania świata, małą salę teatralną, gimnastyczną, rehabilitacyjną. To jest dom pełen słońca, nawet w pochmurne dni. Możemy jeszcze przyjąć wielu podopiecznych. Podobne warsztaty terapeutyczne moja fundacja wybudowała nad morzem, w Lubiawie.

Pani podopieczni przyjeżdżają na warsztaty. Jednak największym lękiem rodziców niepełnosprawnego dziecka jest to, co się z nim stanie, kiedy oni umrą.

Dlatego teraz marzę o zbudowaniu dla nich ośrodka stałego pobytu. W Polsce potrzeba takich miejsc jest ogromna. Marzę, żeby zbudować taki dom przynajmniej dla 30 osób, i pod Krakowem, i nad morzem. Ale wybudować to jedno. A utrzymać? Moja fundacja działa głównie dzięki darczyńcom, którzy przeznaczają dla niej 1 proc. podatku. Polacy jednak lubią zrywy, jednorazowe akcje. Ja zajmuję się ludźmi, którzy nie roją. Nigdy nie będą inni, ładniejsi, zdrowsi, nie założą rodzin i nie skończą żadnej uczelni. Trudniej mi się więc zbierać pieniądze. Nie mogę zaoferować darczyńcom efektu „wow!”. Część pieniędzy dostają od NFZ. Jednak nigdy nie wiem, czy dostaną następne i ile. A przecież musimy mieć gwarancję ciągłości działania. Mam też problem z polityką, która wchodzi we wszystkie dziedziny naszego życia. Muszę być apolityczna. Przestrzeń pomocy ludziom chorym powinna taka być. Nie mogę dać się w to wciągnąć, bo rządy będą się zmieniać, a moi podopieczni potrzebują

Anna Dymna

Aktorka filmowa i teatralna. Popularność przyniosła jej rola Ani Pawlakówny w filmie „Nie ma mocnych” (1974), grała też m.in. także Barbarę Radziwiłłównę w serialu „Królowa Bona” (1980) i „Epitafium dla Barbary Radziwiłłówny” (1982), Marysię Wilczurównę w filmie „Znachor” (1981). Aktorka krakowskiego Starego Teatru, w którym występuje od 1973 r. Uczestniczka akcji charytatywnych i współpracowniczka organizacji pomocowych. Założycielka Fundacji „Mimo Wszystko”, która prowadzi ośrodki terapeutyczne dla dorosłych osób z upośledzeniem intelektualnym, konto fundacji: SANTANDER BANK POLSKA SA 651090166500000 00103737343

pomocy stale. Muszę o wszystkim mówić spokojnie, bo każde słowo powiedziane w złości zamienia się w kamień i może trafić we mnie rykoszetem, zabić. Muszę znosić hejty, złe słowa spokojnie, brać co chwilę głęboki oddech i sprawić, żeby temu, kto we mnie uderzył, zrobiło się głupio. Czasem mi się to udaje. Czasem wiele kosztuje, za wiele. Najgorzej, że naprawdę nie rozumiem, dlaczego tak jest. Do naszego życia weszła agresja, która jest już męcząca dla wszystkich. Dusi nas spirala nienawiści, o której mówił książd Tischner. Na szczęście moi przyjaciele niepełnosprawni intelektualnie nie potrafią manipulować. Oni mnie ratują. I dają mi siły. Przysięgam, chciałabym, żeby na chwilę wszyscy politycy stali się niepełnosprawni intelektualnie i znaleźli przestrzeń, w której możemy być zwykłymi ludźmi, którzy szanują drugiego człowieka. Może by zrozumieli, jakie to jest cenne i jakie chwile szczęścia przynosi.

Co by było z pani podopiecznymi, gdyby nie mieli ośrodka?

Znam kobietę, która samodzielnie opiekuje się dwójgim dorosłych całkowicie niesamodzielnych dzieci i nie jest w stanie dowiedzieć się, co im będzie przysługiwało od państwa, kiedy umrze. Zadała pytanie, czy dzieci po jej śmierci będą razem. Usłyszała, że jak będą miejsca, to tak, ale jak nie będzie, to się je rozdzieli. Ci ludzie żyją w rozpacz. Często takie fundacje, jak np. księdza Zaleskiego, ratują im życie. Moja fundacja może sprawić, że nasi podopieczni będą godnie żyć i chwilami będą szczęśliwi. Jednak muszę utrzymać wybudowane ośrodki, a więc także sztab pracowników: terapeutów, lekarzy, psychologów, prawników, księgowie. Nie mogę sobie pozwolić na to, że wydam złe złotówkę. Niektóre ustawy są alogiczne, nie pozwalają pomagać. Ale nie mogę z tym nic zrobić. Obserwuję też, że fundacje są traktowane często jak rywal państwa, chociaż je z własnej woli wspierają.

Uważa pani, że państwo zawiodło?

Wie pani co? Jest takie uczucie, które zabija radość. To jest rozczarowanie. Ja go do siebie nie dopuszczam. Bo kiedy zacznę narzekać, kiedy będę rozczarowana, to nie będę prowadziła fundacji. Nie będę miała siły. Pracuję w niej jako wolontariusz. Jestem, bo chcę. Muszę więc uruchamiać w sobie radość. Wiem, że czasami robię za takiego głupka – znowu Dymna mówi: „zmieniamy świat na lepszy”. Jednak dopóki żyję, będę ludziom powtarzać, że życie mimo wszystko jest piękne. Ratuje mnie mój zawód. Nie poradziłabym sobie z emocjami, gdyby nie to, że wieczorem maluję się, przebieram w kostium i wchodzę w inny świat. Gram teraz w trzygodzinnym przedstawieniu Moniki Strzępki. Prawie cały czas jestem na scenie, a przecież nie jestem już młoda, mam uszkodzony kręgosłup i wszystko mnie boli. Jednak po każdym przedstawieniu czuję, że się udało. To dodaje sił.

Bierze pani pod uwagę emeryturę?

Nie. Myślę, że gdybym teraz odpoczęła, tobym się już nie podniosła. I jak każdy aktor, który kocha ten zawód, marzę, żeby umrzeć na scenie. No, może za sceną, żeby ludziom nie sprawić przykrości widokiem. <

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Katarzyna Skrzydłowska-Kalukin – dziennikarka „Wprost”

@KaSkrzyKal



rozmawiała **Paulina Socha-Jakubowska**

rozmowy na czas kwarantanny

MACIEJ MUSIAŁ

Pora burzyć mury

W Polsce mamy właśnie czas stawiania murów w rodzinach, między ludźmi, między emocjami. A mury można burzyć tylko wspólnie. Może przydałoby się zatem szukanie jedności – mówi **Maciej Musiał**, aktor.

Maciej Musiał jako sir Lazo w serialu „Wiedźmin” – Każdy chciałby tam być, zobaczyć to, dostać nowe inspiracje – mówi

Jesteś bardzo zachowawczy w wywiadach. Żeby nie powiedzieć, że nudny.

Chcesz, żebym ci powiedział, co mnie wkurza?

Pewnie.

Wkurza mnie postmodernizm. Myślę, że Quentin Tarantino musi odejść.

Dlaczego?

W 1994 r., kiedy film „Pulp Fiction” wygrał na Festiwalu w Cannes z „Czerwonym” Kieślowskiego, kino zmieniło swój bieg i stało się lustrem popkultury, którym w dużym stopniu jest do dzisiaj. Tyle że dzisiaj świat tego nie potrzebuje. Może to było potrzebne wtedy, nie wiem, bo urodziłem się rok po sukcesie filmu Tarantino.

To o co chodzić powinno w kinie dzisiaj? O zadawanie pytań?

O próbę zobaczenia tego, czego nie widać. Mamy bardzo dużo do zrobienia na świecie w kwestiach klimatu, relacji, otwarcia się innych i nie zrobimy tego, oglądając tylko filmy z superbohaterami, którzy puszczają oko do kamery, mówiąc, że wszystko powinniśmy mieć w dupie. Musimy być naiwni, dbać o naszą niewinność, otworzyć się na ośmieszenie, nie rozmawiać tylko o tym, co jest bezpieczne. Tymczasem generalnie mamy wszystko w dupie. Chodzi o to, by tak nie było. Ale wiesz, dlaczego niechętnie dzielę się podobnymi przemyśleniami? Bo uważam, że od publicystyki są mądrzejsi ludzie w tym kraju.

A ja myślę, że ci mądrzy trafiają, ale do ograniczonej grupy odbiorców. Ta „publicystyka” w twoim wydaniu może przydałaby się np. młodszemu?

Może. A może myślę, że gdybym zobaczył siebie na okładce, pomyślałbym „co za gość, za kogo on się ma”.

W „Wiedźminie” wcieliłeś się w postać Sir Lazlo. Po raz drugi widzowie Netflixa zobaczyli Musiała. Boisz się, jak tym razem przyjmą cię rodacy?

Nie boję się. Mam małą rolę. Pewnie będą jakieś komentarze. Ale jestem pewien, że każdy chciałby się ze mną zamienić, być tam, zobaczyć to, dostać nowe inspiracje. Jest taki cytat z Sapkowskiego: „Zawsze trzeba działać. Żle czy dobrze, okaże się później. Żałuje się wyłącznie bezczynności, niezdecydowania, wahania”.

Czyli nie zraziło cię wszystko, co wydarzyło się po serialu „1983”? Festiwal

rodzimych krytyków punktujących scenariuszowe wpadki, który pani Holland nazwała nawet „brandzłowaniem się hejtem”. Zresztą jak Zawierucha zagrał u twojego ulubieńca, Tarantino, żartem z jego roli też nie było końca. Ogólnie chyba mamy problem z tym, by cieszyć się z sukcesów „naszych”, za to uwielbiamy szukać dziury w całym.

Żałowałem, że nie było chęci zobaczenia czegoś więcej, bo jestem pewien, że w tym serialu („1983” – red.) jest bardzo dużo wartościowych rzeczy. Zdaję sobie sprawę ze skomplikowania scenariusza, ale jestem z tego projektu absolutnie dumny. Miałem 19 lat, gdy zaczynałem go robić. Dziś można go obejrzeć w 140 krajach. I to, co się działo po premierze, na pewno nie podcięło mi skrzydeł. Było wręcz odwrotnie. A może to wszystko było mi potrzebne, bym nie czuł się zbyt pewnie, zbyt pysznie.

Miałeś taki moment?

Miałem. Chyba po tym „Forbesie”.

Wielki sukces. Amerykański „Forbes” umieścił cię na liście „30 under 30”.

Zobaczyłem, że ludzie trochę inaczej zaczęli na mnie patrzeć. I przez chwilę się w tym zatraciłem.

Co to znaczy, że „inaczej patrzeć”?

Chciałem trafić w tygiel środowiska artystycznego. I dopiero, gdy tam trafiłem, zrozumiałem, że **lubię swój rozmans z komercją**

Gdy szedłem do Krakowa, do szkoły teatralnej, byłem chłopcem z „Rodzinki.pl”. Czujesz energię od ludzi, czy chcą z tobą pić wódkę, czy nie. Czy jesteś cool w ich oczach, czy nie...

Nie byłeś cool?

Nie. Po to szedłem do Krakowa. Za wszelką cenę chciałem coś zmienić, być kimś innym. Chciałem trafić w tygiel środowiska artystycznego. I dopiero gdy tam trafiłem, zrozumiałem, że lubię swój rozmans z komercją. Udowodniłem, że można chodzić własnymi ścieżkami, przetałem jakieś szlaki. Jako producent zrobiłem serial dla Netflixa i w nim zagrałem, to coś, co nikomu wcześniej w Polsce się nie udało. Dziś czuję, że ludzie biorą moje pomysły na poważnie, słuchają mnie. Mój kolega nazywa to „merytologią”. Skończyłem jakiś projekt, więc dlaczego miałbym nie zrobić kolejnego. Mówią za mnie liczby, nie opowiadał już bajek, w które ktoś chce wierzyć albo nie. Moja bajka już raz się spełniła. Dlatego ludzie chcą iść ze mną.

O co chodziło w tym zatracaniu się?

Po tym rankingu, na imprezie prestiżowego magazynu, zobaczyłem, że wszyscy chcą ze mną spędzać czas, imprezować, tak nagle. Wcześniej tak nie było. W takim imprezowym uniesieniu spędziłem ten wieczór, czułem się naprawdę mocny. A potem przeanalizowałem swoje zachowanie i przestraszyłem się. Doszedłem do wniosku, że nie tędy droga.

Pojawił się strach, że ludzie będą do ciebie Ignać, wykorzystywać cię, bo chcą, żebyś otworzył im drzwi do kariery?

Ja chcę się dawać wykorzystywać, twórczo, młodym scenarzystom, pisarzom, reżyserom z ciekawymi pomysłami. Dziś

dobry projekt jestem w stanie przedstawić odpowiednim ludziom w Stanach, którzy mogą sprawić, że trafi on na największe platformy streamingowe. Dzięki temu, że przeszedłem amerykańską ścieżkę, wiem, jak to robić.

Chcesz być ambasadorem?

To się nazywa bycie producentem.

Ale nie chodzi mi o aspekt wykonawczy, a raczej budowanie pewnego klimatu sprzyjającego sięganiu po polskie pomysły.

Ambasador polskiej kultury? Możemy to tak nazwać. Na pewno nie chciałbym się dzielić swoją wiedzą w polskim środowisku filmowym z kimś innym niż młodzi twórcy.

Dlaczego? Skoro masz know-how, patent na Netflix'a, mógłbyś teraz być coachem wyjadaczy spragnionych sukcesów za oceanem.

✓ W serialu „1983” (Netflix) Maciej Musiał nie tylko grał, ale był jednym z pomysłodawców całości



Nie będę. Ale jeśli ktoś, kogo lubię, czuję, kto mnie zachwyci, zapyta o to, bez problemu sprzedam mu swój patent.

Po co ci telewizja?

Żeby zarabiać pieniądze.

Serio?

To wszystko kosztuje, każda wersja scenariusza, każdy dzień na planie, który chce się kupić. Po Krakowie jestem pewien, że nie ma nic złego w komercji. Z czystym sumieniem będę prowadził dobre programy rozrywkowe, mogę robić reklamy, zdarza mi się prowadzić event. Moja amerykańska menedżerka pyta, o co chodzi w Polsce, skoro ja się wstydzę dodatkowych projektów. W Ameryce jest inaczej. Tam każde dobre komercyjne zlecenie jest powodem do zadowolenia.

Czuję, że Kraków cię rozczarował. To życie artystyczne, po które tam pojechałeś, nie jest tak ekscytujące?

W postlupowskich ruchach teatralnych i tzw. teatrze krytycznym przekonującym przekonanych, który stawia się wyżej intelektualnie i moralnie od widza, nie zobaczyłem nic, co by mnie porwało w kontekście dzisiejszego świata. Poza tym w tym artystycznym świecie jest ogromna ilość hipokryzji, walki o wartości, a później ich łamania. Zawiodłem się. Dziś sztuki chcą szukać u młodych ludzi. Nowe pokolenie reżyserów teatralnych z naszej szkoły jest interesujące i inspirujące. Ale myślę, że jest jeszcze wiele murów do zburzenia. Dzięki „Wiedźminowi” zrozumiałem np., że ekstremalnie ciężko jest robić międzynarodową karierę, siedząc w Polsce. Można czekać na „Zimną wojnę”, ale wtedy i tak trafiasz do jednego procenta ról granych przez obcokrajowców i zauważanych.

Ty nie chcesz czekać.

Muszę się pozbyć akcentu. Ale można to zrobić, tylko mieszkając tam.

Szukasz mieszkania w Londynie?

Skąd wiesz?

Strzał. Gdy dzwoniłam, by umówić się na wywiad, byłeś w Londynie.

Żyjemy w złotym wieku telewizji, kontentu. Nigdy nie powstawało tyle seriali, nie było takiego zapotrzebowania na aktorów. Jestem młody, właśnie skończyłem studia. Chcę spróbować tam pomieszkać.

To dlaczego nie Stany?

Bo pracuję też tu. Bilety są tanie, leci się krótko. Poza tym tu jest piłka nożna, a nie jakiś football amerykański.

Nie wiedziałam, że jesteś fanem piłki.

Ale wiem za to, że jesteś wierzący. We wszystkich wywiadach, których udzielasz, mówisz o Bogu. I to nawet nie dlatego, że dziennikarz pyta. Sam inicjujesz. Odwołujesz się.

W Bogu znajduję siłę. Szczególnie w dzisiejszym świecie, tak dalekim od idei, cynicznym wobec nich, bezpiecznym, w którym żyjemy, mając podniesioną wysoko gardę, przez obecność w Kościele naturalnie musisz się mierzyć z takimi pojęciami, jak cierpienie, miłość, wiara, cierpliwość, nadzieja. Nie możesz być wobec tego cyniczny, musisz opuścić gardę. To dla mnie jest totalnie uzdrawiające. To daje supermoc. W relacjach między ludźmi, w wierze w to, co może się zdarzyć. Wierząc w Pana Boga, wierzę w coś więcej, odwołuję się do czegoś większego

niż ja sam. Dlatego o tym mówię. Mam poczucie, że spotkałem Pana Boga, On mnie dotknął.

Łatwo być dzisiaj osobą wierzącą, katolikiem? Pytam w kontekście tego całego zła płynącego z Kościoła, o którym ciągle się dowiadujemy.

Dla mnie najważniejsza jest relacja z Bogiem. Jest kościół u dominikanów, kościół w Toruniu, Los Angeles, Ameryce Południowej, gdziekolwiek pojadę, idę się spotkać z Bogiem. Jak ktoś mi mówi o tym, co go razi w Kościele, odpowiadam, że rozumiem...

Czyli ciebie też to razi?

Nie chcę wchodzić w tę dyskusję. Po wiem to jeszcze raz: dla mnie najważniejsza jest relacja z Bogiem.

Ale skoro ci na niej zależy, to pewnie zależy ci też na ludziach, których wiara została czy zostaje wytawiana na gigantyczną próbę.

Wierzę w Tróję Świętą. Duch Święty sam też przychodzi i działa. Może to już trwa? Jestem starszy, coraz ciężiej przychodzi mi opisywanie rzeczy jako prawd, pewników. Ciężiej przychodzi mi stawianie nie też.

Czego życzylibyś abp. Jędraszewskiemu?

I to pytanie ma nie mieć kontekstu politycznego? Nie można odpowiedzieć niepolitycznie.

Spróbuj.

Byłem w Berlinie podczas obchodów 30-lecia upadku muru berlińskiego. Koleżanka z Ameryki spytała mnie, jaki jest duch tego miejsca, czy trzeba obok symbolu przechodzić z zadumą, czy to dla nas miejsce smutne, czy może można się śmiać. Odpowiedziałem, że to radosny, piękny symbol tego, jak wspólnie możemy burzyć mury. Kolejny Amerykanin, który był tam z nami, opowiedział, że tuż po upadku muru przyleciał do Berlina i to był czas, gdy młodzi ludzie dostawali młotki i mogli wyburzać pozostałości po murze. Mówię o tym, bo w Polsce mamy czas stawiania murów w rodzinach, między ludźmi, między emocjami. A mury można burzyć tylko wspólnie. Może przydałoby się zatem szukanie jedności.

Sam z tym symbolicznym młotkiem chyba już zacząłeś burzyć. Wsparte społeczności LGBT. Ludzi nazwanych przez hierarchę „tęczową zarazą”.



▲ *Marzenia są motorem napędowym moich działań – mówi aktor. – Trzeba mieć je wielkie, największe. Ja takie mam.*

Maciej Musiał

aktor i prezenter. Pomysłodawca, producent wykonawczy i główny bohater pierwszego polskiego serialu Netflixa „1983”. Również na Netflixie Musiał można oglądać w serialu „Wiedźmin”.

Miałem poczucie ataku jednej strony na drugą. Czułem, że nie chcę się bić, walczyć. Używanie strasznych określeń przez niektórych komentatorów robi bardzo wiele krzywdy. Ale krzywdę robi też założenie garnka na głowę i odprawienie udawanej „mszy”. Zrozumiałem, że ta wymiana ciosów tak może trwać i trwać. Dlatego chyba nadeszła pora, by jakieś gesty wobec siebie zacząć robić. Ale żeby nie było tak dołująco, to mam wrażenie, że moje pokolenie potrafi ze sobą rozmawiać bez stawiania murów, w tym jest jakaś nadzieja.

Jaki czynnik sprawił, że będąc na świeczniku od kilkunastu lat, odkąd byłeś dzieckiem, nie zatraciłeś się w tym?

Mądrzy ludzie wokół mnie. Menedżer, najlepszy w Polsce, przyjaciele, dwójka bardzo ambitnych, fantastycznie rozwijających się gości. Mama. Mam mądrą mamę. Ale też to, że miałem moment, gdy mi odbiło. Byłem w podstawówce, zagrałem w pierwszym serialu. Moja paczka powiedziała wtedy: „Musiał, sorry, już nie jesteś z nami”. Po roku samotnego siedzenia w ławce doszedłem do siebie. Na pewno pomagają mi wiara, pasja. Potrafię znajdować pasję i totalnie się im poświęcać. I zawsze szukam nowych dróg.

Boisz się marzyć?

Żartujesz? Marzenia są motorem napędowym moich działań. Trzeba mieć je wielkie, największe. Ja takie mam. O największym, artystycznym, nie powiem ci, bo próbuję właśnie je spełnić. <

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Paulina Socha-Jakubowska – szefowa działu Trendy @PSJakubowska



Moja muzyka rośnie ze mną

Posiadanie dzieci sprawia, że człowiek zadaje sobie pytanie, w jakim świecie one będą żyły. Niezależnie od tego, jak widzi aktualną sytuację, zaczyna myśleć, że może zasługujemy na trochę mądrzejszą politykę – mówi **Bartosz „Fisz” Waglewski**

Pamiętam, jak pierwszy raz usłyszałem pana muzykę. Z kasety magnetofonowej.

Mogło tak być. Moje pokolenie jeszcze zbierało puszki po zachodnich napojach, spędzało całe dnie, kopiąc piłkę na podwórkach, oglądało teledyski w MTV. A dzisiaj mamy po 40 lat. O tym właśnie jest płyta „Radar”. O zmianach w życiu i odnajdywaniu nowego sposobu poruszania się po rzeczywistości. O próbie zapanowania nad chaosem.

Przychodzi moment, kiedy ma się go dość?

Dla mnie przyszedł. Współczesny świat wciąga, atakuje przesytą i nadmiarem informacji. Koncertowanie to jeden wielki zamęt. Większość czasu spędzamy w busie, szuramy się z miejsca w miejsce, wychodzimy na scenę. Adrenalina buzuje. Kiedy zaczynałem grać, napędzało mnie, że nie wiedziałem, kiedy wyjadę, ile zarobię, co przyjdzie kolejnego dnia. Ale po drodze postanowiłem mieć dzieci i wszystko mi się przemeblowało. Nauczyłem się, że nie muszę być na każdy telefon i na każde wezwanie. Że nie potrzebuję ciągle trzymać ręki na pulsie, wszystkiego wiedzieć i wszystkiego mieć. Zajmują mnie inne rzeczy. Gdy żona zdecydowała się na etat, razem przedzieraliśmy się przez enigmę prawa pracowniczego. A w czasie strajku nauczycieli musieliśmy jakoś ogarnąć naszą młodzież. Proza życia.

„Radar” jest hymnem na cześć codzienności. Opowieścią o domu, do którego się wraca, o wywiadówkach w szkole dzieci, o chwilach, kiedy „uprawia się nic” z bliskimi.

To też zmiana: zacząłem doceniać rytuały. Kiedyś wydawało mi się, że zagrażają one mojej wolności, zawężają pole wyboru. Dzisiaj dają mi poczucie bezpieczeństwa. Odprowadzanie dzieci do szkoły, poranna kawa, zakupy, praca nad tekstami. „Radar” powstał z radości z czasu, w którym jestem. Gorzej, jeśli człowiek zada sobie pytanie, co dalej. Nie wiem, czy za 10 lat będzie mi się chciało wyjść na scenę i przez dwie godziny śpiewać, krzyczeć i opowiadać historie do mikrofonu. A nie jestem aktorem. Nie potrafię oszukiwać i ukrywać zmęczenia.

Andrzej Łapicki mówił, że z aktorstwa się wyrasta.

Nadzieja w tym, że moja muzyka rośnie ze mną. Tak jak publiczność. Dzięki temu

dialog ze sceny wydaje się naturalny. Mamy naprzeciwko siebie ludzi, którzy rozumieją, do czego się odnosimy.

Zmieniają się też pana tematy. Kiedyś śpiewał pan: „Nie tykam wrednej gęby polityki”. Dzisiaj już poświęca pan jej miejsce na płycie.

Polityka puka do drzwi i wchodzi do domu nieproszona. A czasami wdziera się do niego z butami. Nie tylko przez reformę szkolnictwa. Nawet w czasie zwyczajnych wypadów z rodziną za miasto. Uwielbiam te eskapady, Polska kryje piękną dziką naturę. Odkrywamy ją na Roztoczu czy w Bieszczadach, a nagle pojawiają się panowie, którzy biegają ze strzelbami za dzikami albo wycinają drzewa. I znów: dzieci dają inny punkt widzenia. Sprawiają, że człowiek zadaje sobie pytanie, w jakim świecie będą żyły. Niezależnie od tego, czy widzi aktualną sytuację jako ideową wojnę czy jako starcie dwóch obozów, zaczyna myśleć, że może zasługujemy na trochę mądrzejszą politykę. Zastanawiać się, czy w czasach niezdrowego, choć skutecznego łapania wyborcy są w niej jeszcze pytania, jak moglibyśmy się porozumieć i jaką chcemy zbudować rzeczywistość.

Polityka puka do drzwi i wchodzi do domu nieproszona. A czasami wdziera się do niego z butami. Nie tylko przez reformę szkolnictwa.

A ta pana dawna niechęć do polityki nie była też cechą pokolenia? Generacji zmęczonej dyskusjami o przełomie ustrojowym, której parlament kojarzył się z wąsami, za dużymi garniturami i aferami łapówkarskimi?

To wszystko wydawało mi się nieatrakcyjne. Ale odnoszę wrażenie, że chociaż szliśmy po zatartych śladach, potykając się po drodze, zachowywaliśmy wspólną myśl przewodnią. Wiedzieliśmy, że żegnamy szary, smutny PRL, z jego donosami, trzymaniem paszportów pod dywanem i kompleksami. Że spoglądamy w stronę Europy, wychodzimy w świat, stajemy się coraz bardziej otwarci. A dzisiaj? Nawet znajomi muzycy, którzy nie śledzą na okrągło wiadomości, mają poczucie, że ktoś stosuje dość nachalnie metodę „stopa w drzwiach”. Sączy do ucha przekonanie, że ostatnie dekady były błędem i wypaczeniem. I ja – człowiek, który zawsze wierzył w ewolucję, nie rewolucję, jedną nogą zdążył stanąć w dawnym ustroju, ale w dorosłe życie wchodził już w nową Polskę – słyszę nawoływania do przewrotu. Tyle że tym razem, mam wrażenie, nie tyle konserwatywnego, ile miejscami wręcz brunatnego.

Już 19 lat temu śpiewał pan: „Po mieście chodzą gówniarze z emblematami Wehrmachtu”.

Wtedy to miało zupełnie inne znaczenie. Dorastałem na Ursynowie, gdzie mieszały się różne środowiska. Na trzecim piętrze mieszkał wykładowca filozofii, obok niego taksówkarz, a dalej rodzina, w której mąż potwornie pił. Pod koniec lat 80., na osiedlach, wśród rodziców moich kumpli, alkoholizm był ogromnym problemem. Każdy z sąsiadów miał własną interpretację rzeczywistości. A my, młodzi, jeździliśmy na deskorolkach, słuchając muzyki. Ursynów był już okablowany, więc podgląda-

liśmy świat. Fascynowałem się zagranicznym hip-hopem – dla mnie rewolucyjnym, jeśli chodzi o sposób produkcji muzyki, samplowania, wyrażania emocji. Każde podwórko miało swoje bandy, w których obowiązywały odmienne narracje. Jedni chodzili na mecze Legii, inni pisali na murach „Skinhead”. Mnie to hasło się kojarzyło z postpunkiem, ale szybko zmieniło znaczenie. Ci skinheadzi rekrutowali się spośród ludzi, z którymi kiedyś bawiłem się żołnierzykami. Później więc, choć drogi nam się rozeszły, bywało, że pozostawaliśmy w dialogu. Ale nie potrafiłem zrozumieć ich sposobu myślenia.

▼ Dzisiaj muzyka jest świetnie zaśpiewana i zagrana, ale już nie opowiada o świecie tak, jak utwory Cobaina, Dylana, Marleya – ocenia Fisza



Teraz pan kokietuje. Czego pan nie rozumiał – neofaszystów krzyczących: „Bij Żyda”?

Właśnie tego. Mogłem jeszcze zrozumieć zachwyty nad faszystowskim mundurem. To były dobrze skrojone ubrania. Ale nie wiedziałem, jak można patriotyzm łączyć z fascynacją Hitlerem. Później w czasach szkoły średniej ci skinheadzi zapisywali się do pierwszych bojówek narodowców KPN-u. Jeszcze do końca nie zerwali z koszul swastyk, ale uzupełniali je o białe-czerwone przepaski. Ciągłe jednak byli marginesem. Dzisiaj już nie widuję na ulicach tysiąch facetów z flekami. Są za to ONR-owcy z fa-langami. Co jest dla mnie zaskakujące, mainstreamowa polityka próbuje kokietować te środowiska. Rodzą się nastroje pozostające w kontrze do świata, który przywitałem z takim entuzjazmem.

Może to jest ta różnica? Dzisiejsi 20-latkowie wychowali się w tym świecie. Nie pamiętają prowizorki lat 90., handlu ze szcęk pod Pałacem.

No i tych wcześniejszych puszek, które – jak panu mówiłem – kolekcjonowałem jako dzieciak. W 2019 r. to brzmi śmiesznie, a przecież tak było. Miałem kolegę, którego mama pracowała w Peweksie. Wchodziłem do niej do pokoju, patrzyłem na zielone 7 Up, na wiszącą koto lampy reklamę Marsa i byłem oczarowany. To był totalnie niedostępny świat. Z jego głodem jako dzieciak wszedłem w nową rzeczywistość agresywnego kapitalizmu. Ze swojej perspektywy obserwowałem kolejne etapy, jakie przechodziliśmy. Na początku liceum jednych było stać na nową deskorolkę, a innych nie. Na jakiś czas podziały stały się namacalne i przenosiły się na inne sfery życia. Ale w końcu minęło nam zachłystanie się wszystkim, co kolorowe. Przestało być obciążeniem wyjście na ulice w kurtce z lumpeksu czy jeżdżenie starym samochodem. Przypomnieliśmy sobie, że największą wartością jest poznanie drugiego człowieka. Jeszcze mocniej sobie to uświadomiłem, gdy otworzyły się nasze granice. A kiedy można już było jeździć po całej Europie bez paszportu? Pokochałem to.

Myśli pan, że bardziej docenia otwartą Europę ktoś, kto pamięta, jak słowaccy celnicy na granicy przeszukiwali pół samochodu, żeby sprawdzić, czy nie przewozi się o butelkę wódki za dużo?

Kiedyś strażnicy nie chcieli nas wpuścić na Słowację. Uważali, że zmyśliłmy sobie koncert. Nasz trębacz musiał grać hejnał tak długo, aż uwierzyli, że jesteśmy muzykami. Jako 40-latek mam sporo podobnych wspomnień. Ale też żyją we mnie historie mojego ojca o tym, jak wyglądało muzykowanie w PRL, kiedy – chcąc wyjechać na koncerty – trzeba było się spodobać specjalnej komisji. Mam wrażenie, że w wielu politykach tli się tęsknota za tym sposobem myślenia, za kontrolowaniem ludzi, wydawaniem zakazów i nakazów.

A łapie się pan jeszcze na polskim kompleksie za granicą?

W dziedzinie kultury nie czułem go nigdy. Polska zawsze miała świetnych artystów, znanych nie tylko w bloku wschodnim, lecz także na świecie. Gdziekolwiek wyjeżdżałem, w europejskich sklepach

znajdowałem winyle Republiki, Maanam, Tomasza Stańki. Wszyscy wiedzieli mniej więcej, kim byli Wajda czy Kieślowski. Dzisiaj nieźle sobie radzi sztuka.

A na co dzień?

Na co dzień kompleksy trudniej zupełnie zagłuszyć. Najmocniej zauważam przepaść w myśleniu o przestrzeni publicznej i wspólnocie. U nas ono raczkuje. Pamiętam, jak brat w jednym ze skandynawskich krajów zaparkował samochód częściowo na krawężniku i troje ludzi, bardzo kulturalnie i z szacunkiem, zwróciło mu uwagę. Często mam zgrzyty estetyczne. Chociaż Warszawa i Polska zmieniają się szybko, ciągle malujemy zabytki na różowo, wszędzie wieszamy reklamy i stawiamy billboardy. Odnoszę też wrażenie, że wszystko jedno, czy to warszawska Praga, czy miasteczko Wilanów, ciągle mamy problem z agresywnym sposobem komunikowania się, brakiem czułości.

Kiedy na pana koncerty przychodzą 20-latkowie, widzi pan, że są inni od pana pokolenia?

Ze sceny nic nie widzę. Czerń i trzy reflektory walące po oczach.

Wie pan, o co pytałem.

Widzę dużo różnic. Brakuje mi dzisiaj spotkania człowieka z człowiekiem, bo wszystko załatwia się SMS-ami, e-mailem, przez internet. Brakuje podwórek wypełnionych dziećmi, biegającymi od rana do wieczora z piłką. Albo fetyszu płyty – dzisiaj w serwisach streamingowych słucha się poszczególnych utworów, które akurat wpadną nam w ucho. Pamiętam też ze swoich wczesnych lat nienasycecie. Na koncertach od pierwszych nut rzucano się plecaki i ruszało w pogo, robiło młynki, skakało. A teraz? Tłum rąk w powietrzu z komórkami w dłoniach. Ale nie jestem skostniałym dziadkiem, który by się obrażał na zmiany. Uczę się ich.

Jan Komasa po „Sali samobójców” mówił, że dostrzegł w młodych ludziach gigantyczne znudzenie. Że nic na nich nie robiło wrażenia. Informacje, muzyka, ekipa filmowa, która chodzi po ich liceum.

W latach 90. trwała walka, żeby zmniejszać dystans między artystami a widownią. W hip-hopie MC stawiali na tej samej wysokości, co słuchacze, w klubach techno często nie oświetlano DJ-ów. A i tak muzyka budziła emocje. Tacy Beastie

Bartosz „Fisz” Waglewski

Ur. 1978 r., muzyk, wokalista. W czasach naporu „ulicznego hip-hopu” jako jeden z pierwszych pokazywał bardziej wysublimowane oblicze tego gatunku. Jego eksperymenty z odmiennymi stylami łączą rozpoznawalne, autorskie teksty. W różnych formacjach wydał niemal 20 płyt. Rok temu ukazał nagrania z Fisz Emade Tworzywo „Radar”.

Boys. O rany, jak oni łączyli punkrockową zadziorność z muzyką afroamerykańską! Może dzisiaj każdy jest na tyle oddany swojemu wizerunkowi w internecie, że nie potrzebuje autorytetów, które wyznaczałyby mu drogę? A może właśnie od tego jest muzyk, żeby wchodzić tylnymi drzwiami i zabawiać króla?

Nie czuje pan tu mniejszego głodu świata?

Dzisiaj nie ma subkultur, punkowców, metali. Zostali hip-hopowcy, ale ten hip-hop też się zmienił, zbliżył do mainstreamu. Widać młodzi ludzie nie potrzebują mundurów, muzyka stała się tylko dodatkiem do mile spędzanego wolnego czasu. Z jednej strony, świetnie, bo eklektyzm jest dla mnie ogromną wartością. Od 15 lat nie pamiętam tytułu osób na polskich koncertach, co dzisiaj na Kortezie, Organku czy na naszym skromnym Tworzywie. Ale to, co my nazywaliśmy „alternatywą” – Primus, Tom Waits czy Nirvana – teraz by nie zaistniało.

Dlaczego?

Pamiętam, jak fani się oburzali, że Nirvana leci w MTV o 12 albo radio puszcza ich numery między Madonną a George'em Michaeliem. Padały głosy, że „sprzedali się” i „skomercjalizowali”. Ale na dzisiejsze czasy to muzyka zbyt brudna, zbyt autentyczna, zbyt krzykliwa. Za bardzo drażni. Przeszkadzałyby odbiorcy, który chce się ogolić z radiem w tle. Muzyka współczesna jest świetnie wyprodukowana, świetnie zaśpiewana, świetnie zagrana. Ale już nie opowiada o świecie, jak kiedyś utwory Kurta Cobaina, Boba Dylana, Boba Marleya.

A pana dzieci? Jakie stworzą pokolenie?

Na razie żyją w eklektycznym świecie. Rozumiem to, sam najpierw byłem metalowcem, potem słuchałem postpunka, rapu. Dzisiaj dzieciaki są otwarte na wszystkie nurty. Umieją przeskakiwać ze stune'owanego hip-hopu na Metalikę.

W dziedzinie kultury nigdy nie czułem kompleksu. Polska zawsze miała świetnych artystów, znanych na świecie. Dzisiaj nieźle sobie radzi sztuka

A w życiu?

Tego jeszcze nie wiem. Ale niedawno wróciliśmy na osiedle, w okolice, w których się wychowałem. Jakoś udaje nam się uchować dzieciaki przed ostatecznym wkręceniem w świat internetu. Co prawda rano widziałem, że jak tylko Mikołaj wstał, włożył na głowę słuchawki, odpalił grę Fortnite i połączył się ze współgraczami w sieci. Ale teraz, w czasie naszej rozmowy, jest na powietrzu. Opowiadał ostatnio o zabawie w kwadraty z kolegami, co mi przywołało wspomnienia. I tym chciałbym je zarazić. Przekonaniem, że na podwórku jest więcej ciekawych rzeczy niż przed monitorem. Że wystarczy włączyć wyobraźnię i spotkać innych ludzi. Chciałbym, żeby nie straciły tego entuzjazmu, który towarzyszy poznawaniu drugiego człowieka, innych kultur, żeby zwiedzały świat. I jeszcze potrafiły się nim prawdziwie zachwycić. <

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Krzysztof Kwiatkowski – szef działu Kultura, @krz_kwiatkowski



Jest tylko czas teraźniejszy

Po co takich ludzi jak Ola się reanimuje? Po co się ich bierze na OIOM, po co ich się ratuje, skoro za chwilę ich się zostawia? Jeśli jesteśmy tak oszczędni, to skasujemy ratowanie – mówi **Ewa Błaszczuk**.

Przypadek w sekundę wszystko może zmienić.

Tak jest. Ale dopóki nas to nie doświadczy, odsuwamy od siebie tę myśl.

W pani życiu wszystko zmieniło się w 2000 r., kiedy nagle zmarł pani mąż, a córka zapadła w śpiączkę, w której jest do dziś.

Dużo się zapomina. Teraz to nie jest tamto życie, które było wtedy. Od 2000 r. nabudowałam wiele nowego. Już jest inny czas. Jak mówią mądrzy ludzie, naprawdę istnieje tylko czas teraźniejszy. Bo to, co wyobrażamy sobie w przyszłości, to są oczywiście ważne plany i życzenia, ale mogą się okazać bardzo śmieszne. Nauczyłam się, że przy nieprzewidywalności zdarzeń trzeba umieć korzystać z czasu teraźniejszego, z tego, co jest blisko, jutro. Spędziłam ostatnio dużo czasu w Los Angeles, robiłam tam sztukę. Chociaż nie musiałam martwić się o to, co jest tu, bo łączyłam się przez Skype'a z Olą i z Manią i wszystko dobrze funkcjonowało, to i tak wróciłam stamtąd z głębokim poczuciem, że jeszcze bardziej będę doceniać to, co mam. Bo dopiero z oddalenia można spojrzeć na swoje życie z szerszej perspektywy. Trzeba doświadczyć czegoś zupełnie innego, żeby wiedzieć, ile znaczy dla mnie ten dom, to miejsce, to życie. Okazuje się, że dla mnie znaczy bardzo dużo. To, że jestem z Europy, z Polski, stąd, z tego miejsca, w którym teraz rozmawiamy. W 2000 r. wiele osób mówiło: sprzedaj to, wyprowadź się, tu się stało tyle złego. Nieprawda, to jest moje miejsce. Wiedziałam, że tu jest mój dom, tu są drzewa, które sadziliśmy z Jackiem, i że w ogóle nie wchodzi w rachubę, żeby to miejsce opuścić. Gdy jestem w samolocie i on zbliża się do lądowania w Warszawie, to wiem, że na granicy Żoliborza i Bielan jest taka kropczka i to jest moje miejsce. I to jest bardzo, bardzo cenne.

Co to znaczy, że żyje pani teraźniejszością?

Poruszam się małymi krokami, etapami. Nie planuję za daleko, nie próbuję wyobrazić sobie odległej przyszłości ani jakiejś całości. Step by step i następny.

Czy musi się zdarzyć coś trudnego, żeby nauczyć się tak żyć, czy zawsze pani taka była?

Mój ojciec wychowywał mnie tak, że nie wtrącał się do planowania mojego czasu, dopóki nie przynosiłam ze szkoły ocen niższych niż czwórki. Nie opłacało mi się więc źle uczyć. Przychodziłam ze szkoły, robiłam, co trzeba, lekcje, słupki i byłam wolnym człowiekiem. Chodziłam sobie na basen, do kina, na pianino. Dlatego wcześniej nauczyłam się organizować swój czas. Ale oczywiście moment przedstawienia się na kompletnie inne życie, na inny zakres obowiązków, jak mój po 2000 r., jest trudny. W dodatku trzeba uczyć się tych nowych rzeczy, kiedy jest źle, kiedy wszystko trzęsie się emocjonalnie, bo ktoś blisko jest chory i nie wiadomo, co będzie.

Mówi teraz pani o mężu czy o dziecku?

Mąż nie chorował długo, to się stało szybko. Byliśmy całą rodziną w Zakopanem, pojechaliśmy tam na święta i na Nowy Rok, jeździliśmy na nartach. 2 lutego Jacka nie było już na świecie. Sto dni później Ola zadławiła się tabletką i zapadła w śpiączkę.

Nawet nie miała pani czasu na żałobę.

Nie miałam. Bardzo szybko musiałam się zebrać. To był trudny okres, ale już tego nie pamiętam. Ja jestem teraz. Na

coraz więcej się odważam, a nasze życie jest coraz lepiej zorganizowane, na tyle dobrze, że mogłam pojechać do Los Angeles. Wiem też wprawdzie, że już nie wyjadę po raz kolejny na tak długo. Ale tylko dlatego, że nie chcę, bo jest to możliwe.

Kiedy umawialiśmy się na rozmowę, mówiła pani: tego dnia jadę do Krakowa, gram, śpię w samochodzie, potem znowu gram, może być tylko niedziela.

Tak, bardzo dużo pracuję. Chyba zawsze tak było.

Nauczyłam się, że trzeba umieć korzystać z czasu teraźniejszego z tego, co jest blisko, jutro

Przeglądałam, kiedy i jakie role pani grała. Tam nie ma żadnej przerwy. Nie ma tam czegoś takiego: mąż mi umarł, nie mam siły grać, dziecko mam chore, odpadam.

Praca jest dobrym wentylem w trudnych sytuacjach. Trzeba się jakoś rozwijać, pieniędzy trzeba mieć na tyle, żeby nie cierpieć z powodu ich braku. Bo kiedy skupiamy się na trudnościach bytowych, to jest przeszkoda w rozwoju, zarobić trzeba więc tyle, żeby to się spięło i żeby wszystko mogło się toczyć do przodu. Staram się łączyć w życiu różne wątki i dążyć do harmonii, nawet jeśli jest bardzo ciężko.

Tylko jak dążyć do harmonii, kiedy jest bardzo ciężko?

W życiu rzeczy dzieją się naprawdę, a ja mam zawód, w którym mogę skorzystać z iluzji. I żeby tam wszystko wyszło dobrze, te trudne rzeczy muszę wyłączyć. Gdybym na scenie myślała o Oli, emocjonalnie położyłabym rolę. Poza tym człowiek w rozpacz zaniedbuje się. A mój zawód zmusza mnie, żebym o sobie dbała. Mam fajnie, bo przed występem zajmują się mną fachowcy, ubierają, czeszą, malują, a to daje odskocznię. Oglądam inne architektury, inne ciuchy, inne światy i ten nastrój przenosi się na życie. Po przygodzie artystycznej ma się większy luz, większy potencjał, żeby pójść do trudnych spraw.

W pani życiu wydarzyło się ich wiele. Niektórym wystarczyłaby jedna, żeby się żałować.

Może byłoby mi trudniej się trzymać, gdyby to drugie się nie stało? Jest coś takiego jak przekroczenie masy krytycznej, kiedy wydaje nam się, że więcej nie może się dziać. I wtedy trzeba się uspokoić. Tego też mnie chyba nauczył tata, że jak sytuacja jest bardzo napięta, trzeba usiąść i się uspokoić. Napięcie, rozpacz, strach to nie są kompani do myślenia, to jest skażone. Tata wiedział, co mówi, bo latał samolotem, w młodości był oblatywaczem. Oczywiście, że nie do końca zapanujemy nad rozpaczą, nad strachem, coś się zawsze w nas trzęsie, ale trzeba trzymać lejce, nie wpadać w histerię. I ja to chyba umiem. Jeśli uspokoi się sytuację, można lepiej zaplanować, co dalej, jakie kroki muszę teraz wykonać. Zadaniowość – to chyba wszyscy psychiatrzy zalecają. Wykonałam zadanie, jest zrobione i mogę teraz przejść do następnego. Nie da się np. od razu zbudować kliniki, trzeba po kawałku.

Jak pani budowała klinikę po kawałku?

Na początku było to biurko, które wciąż tu stoi, kupione za dwa złote na jakimś targu. Przy nim siedziała i do tej pory siedzi Marzanka, czyli Marzanna Żakowska, która prowadzi nasz sekretariat. I mieliśmy ten pokój. No i tyle. Zaczęliśmy robić koncerty i zbierać pieniądze. Krok po kroczku. A zaczęło się dlatego, że zobaczyłam, że nie ma takiej choroby jak śpiączka. Ani takiego miejsca, w którym można ją leczyć. Kiedy szukałam pomocy dla Oli, pewna pani profesor powiedziała mi: „Wie pani, jakie dobre są hospicja?”. A przecież to nie jest ten kierunek! W hospicjach się godnie odchodzi, a tu się toczy walka o przywrócenie do życia. Bo po co takich ludzi jak Ola się reanimuje, po co ich się bierze na OIOM, po co ich się ratuje, skoro za chwilę ich się zostawia? Jeśli jesteśmy tak oszczędni, to skasujemy ratowanie. Po co ratować, skoro potem nie bierzemy już żadnej odpowiedzialności za pacjenta? Zobaczyłam, że w systemie brakuje ogniwa.

Rozmawiałam też z twórcą takiej kliniki, jak nasz dzisiejszy Budzik, w Innsbrucku, profesorem, który przyjechał do Polski. Żałowałam głośno, że u nas



▲ *Kiedy sprawa dotyczy życia i śmierci, mundurki i preferencje nie mają znaczenia. Przy tego typu akcjach trzeba się trzymać daleko od polityki – mówi Ewa Błaszczak*

tego miejsca nie ma, a on mówi: „To proszę zrobić. Jest pani osobą publiczną, ma pani kolegów, proszę zacząć”. I choć nie mogłam sobie tego w ogóle wyobrazić, zabrałam się za tworzenie kliniki. Budziłam się mokra o czwartej nad ranem i myślałam gorączkowo, co ja w ogóle robię. Ale robiłam. Nie przejmowałam się tym, że część środowiska medycznego wyśmiewa się, że aktorka będzie budzić dzieci, przyjdą do niej koleżanki i będą wybudzać, ha ha. Myślałam sobie, no dobra, śmiej się. Ale dlaczego ma przyjść do mnie koleżanka? Do mnie przyjdzie wybitny profesor w tej dziedzinie. I tak się zaczęło.

Zainteresowali się mną Bożena Walter i jej mąż, bo znali Jacka, mojego męża, pracował dla TVN. Profesor z Innsbrucku miał rację, pomogło mi, że jestem kojarzona, że funkcjonuję w medialnym środowisku. TVN bardzo mi pomagał, kiedy zaczęliśmy. Zresztą nasza pierwsza akcja zaczęła się w Polsce, przeszła przez TVN i zakończyła w TVP. Byliśmy jak klej, który połączył konkurujące instytucje. Kiedy sprawa dotyczy życia i śmierci, mundurki i preferencje nie mają znaczenia. Wtedy jednak i my zrozumieliśmy, że musimy być poza podziałami. Przy tego typu akcjach trzeba się trzymać daleko od polityki, od podziałów, bo emocje ludzkie bywają nieprzewidywalne.

Jak wyglądało pani życie przed 2000 r.?

Też dużo pracowałam zawodowo. Było kolorowo, dużo towarzystwa, nasi znajomi z filmu, z kabaretu, bo Jacek był twórcą kabaretowym, mój teatr, moje wyjazdy, Berlin, Monachium, Wiedeń. Plany, poznawanie. Późno zaczęłam życie rodzinne, bo długo nie byłam gotowa, żeby być odpowiedzialną. W końcu to przyszło samo. Poczułam też, że będę musiała robić coś jeszcze oprócz aktorstwa, bo ono już przestawało mi wystarczać. Sądziłam tylko, że to będzie coś małego, że może będę reżyserować albo pisać. Przyszło coś innego, z kompletnie innej strony. Nie mogłam tego podejrzewać. Teraz moje życie jest tym wypełnione, ale też bardzo potrzebny jest mi mój zawód.

Miała pani taką chwilę po wypadku córki, że poczuła pani, że za dużo już tego, że nie da pani rady?

Była smuga cienia w 2002 r., kiedy minęły złudzenia i trzeba się było przestawić na bardzo długą perspektywę. Albo na tragedię. Bo przez pierwszy rok czy dwa było dla mnie oczywiste, że to się zaraz skończy, że Ola wkrótce się obudzi. Aż kiedyś zauważyłam, że w tej śpiączce wyrosła z butów. Zaczęło do mnie docierać, że to nie musi się szybko skończyć. Może się też nie skończyć. Jednak myślę, że to tak zostało ułożone przez górę, żeby dało się wytrzymać. Jak człowiek jest na musiku, nie ma wyboru. A jest na musiku, bo tu siedzi jeszcze Mania, druga córka, która chce mieć wszystko piękne, normalne. I ma do tego prawo. Oczywiście, można się znieczulać, zachlać, zaćpać, zniszczyć, w jakikolwiek sposób uciec. Ale Ola leży i walczy, no i jest druga dziewczynka, zdrowa. Nie ma ruchu. Trzeba się z tego otrząpać, przestać używać słowa „ja” i do roboty. Zadaniowość.

Rozmawiałam kiedyś z kobietą, której dziecko umarło tuż po porodzie. Opowiadała, że ciągnęło ją w odrętwienie, leżała na fotelu i się nie ruszała, ale wstała, bo z drugiej strony było dwoje pozostałych dzieci.

Właśnie, nie ma zmiłuj. Mania mnie trzymała w rzeczywistości. To jednak był też specyficzny okres, w 2002 r. została założona fundacja Akogo. I ona też mnie podnosiła. Pamiętam, że ks. Wojtek Drozdowicz, z którym zakładaliśmy tę fundację, powiesił mi na furtce tulipany w plastikowej torbie. Miałam do pomocy taką panią z Azerbejdżanu, ona miała córkę Nataszę. Dałam Nataszy te kwiaty z furtki, bo byłam przekonana, że to dla niej. A ona wyjęła z bukietu list i mówi: „Nie, to dla pani”. Mnie wtedy do głowy nie przyszło, że mogą być dla mnie, chociaż wisiły przecież na mojej furtce. Myślę, że ta historia dużo mówi. Ale wyszłam z tego.

I założyła pani fundację, która zbudowała klinikę Budzik. Wielu ludzi w doskonałej kondycji psychicznej nie poradziłoby sobie z takim przedsięwzięciem.

Ale ja zostałam skierowana do Beaty Błęgowskiej, prawniczki, która jest z nami do dziś. Pomogła mi się tym zająć, za darmo. Tak samo architekci, pierwszy Budzik robili za friko. I jeszcze

Ewa Błaszczyk

Aktorka filmowa i teatralna. Na planie „Zmienników” poznała swojego przyszłego męża, Jacka Janczarskiego, autora scenariusza do tego serialu, a także tekstów kabaretowych i słuchowisk radiowych. Matka bliźniaczek Oli i Mani. W 2000 r. jej mąż zmarł, a sto dni później sześćioletnia córka Ola zapadła w śpiączkę. W 2002 r. Błaszczyk razem z ks. Wojciechem Drozdowiczem założyła fundację Akogo, działającą na rzecz dzieci wymagających rehabilitacji po urazach neurologicznych. W 2013 r. fundacja otworzyła przy Centrum Zdrowia Dziecka w Warszawie klinikę Budzik, w której leczą się dzieci w śpiączce. Do tej pory wybudowano w niej ponad 40 dzieci. W Warszawie fundacja tworzy kolejną klinikę, tym razem dla dorosłych.

zmontowali 12 osób dookoła, które też pracowały za darmo. Pomagało mi środowisko, dziennikarze. Trzeba wyjść do ludzi, nie wolno się izolować, bo wtedy jest ten fotel i te inne dzieci są osamotnione. Trzeba zrobić pierwszy krok, mały, nie od razu będziesz chodzić, uda ci się dopiero, jak poćwiczysz, ale musisz zacząć. To oczywiście jest nużące, uciążliwe, jak rehabilitacja. Nie chce się. Trzeba więc znaleźć błyskotki i fintifluszki, które to umilą. Wystarczy, że będzie energia od ludzi obok, że np. robimy koncert i zbieramy pieniądze. Że trzeba jakąś ulotkę wydrukować, chodźmy więc do drukarni i porozmawiajmy, żeby nam wydrukowali za darmo, a wtedy drukarnia mówi, że jeszcze coś dla nas zrobi. I zaczyna się toczyć kula śniegowa, a każdy nowy człowiek wnosi dodatkową energię.

Pani fundacja zaczęła tworzyć drugi w Warszawie Budzik.

Przy Szpitalu Bródnowskim. Będzie taki sam, jak dla dzieci, ale będzie przy nim też coś bardzo ważnego – stacja naukowo-badawcza. Teraz na świecie dużo się dzieje w neurologii i w neurochirurgii, naukowcy dokonują rzeczy, które do tej pory wydawały się niemożliwe. W stacji byłaby możliwość wprowadzania nowych technologii i metod. Musimy zebrać 40 mln zł. Na razie pracujemy ze specjalistami z Włoch, prof. Wojciechem Maksymowiczem i z PAN, żeby z komórek nerwowych z poronień naturalnych wypręparować materiał, który będzie można podać do mózgu. Jeśli chociaż w części można odtworzyć uszkodzenia mózgu, to nie rozmawiamy tylko o komie, ale też o wszystkim. To jednak wczesny etap, szukamy prawnych możliwości stosowania tego rozwiązania w Polsce.

Już ponad 40 lat występuje Pani na scenie.

Tak. Dużo się dzieje. Mam przygodę wpisaną w zawód, idę sobie do filmu albo do kabaretu, albo do teatru, albo do radia pośpiewać sobie i żyję.

Pani to lubi?

Oczywiście, że to lubię, inaczej bym tego nie wybrała.

Taka praca może zmęczyć. Kto ma ciągle fajerwerki, mógłby chcieć zrobić sobie coś nudnego.

W życiu! <

**Nie do końca zapanujemy nad rozpaczą i strachem,
ale trzeba trzymać lejcę, nie wpadać w histerię.
I ja to chyba umiem.**



Artysta z alei zadłużonych

Entuzjastą komuny nigdy nie byłem. Ale ta komuna, jeśli chodzi o mnie, ma do dziś w rękawie jednego asa. Ten as nazywa się młodość – mówi **Bohdan Łazuka**.

Sylwester Latkowski: Czym jest dla pana męskość?

Bohdan Łazuka: Męskość? Dla mnie ważna jest strona wizualna. Gary Cooper, James Stewart, Gene Kelly to są mężczyźni. Kilku Polaków też bym wymienił, ale nie chcę, bo mógłbym kogoś ważnego pominąć. Mężczyzna to jest ktoś, kto potrafi skupić na sobie uwagę, nic szczególnego nie robiąc. Taki Marlon Brando, chyba w drugim filmie, siedział, tak jak my teraz, na fotelu i był przykryty gazetą. Reszta towarzystwa, m.in. Henry Ford, odgrywała jakąś fabułę, a on sobie spał w fotelu. I wie pan co? Ja się cały czas patrzyłem na tego przykrytego gazetą Brando. Dla mnie to był facet.

Tacy faceci to już dzisiaj przeszłość. Dziś nawet ubrania mężczyzn i kobiet przestają się różnić. Nie przeszkadza to panu?



Pod tym względem jestem konserwatywny. Pozwoli pan, że i o kobietach, i o mężczyznach będę mówił klasycznie. Ja myślę, że różnice płci nie zanikną. Natura ludzka lubi różnorodność, więc ta różnorodność przetrwa. Panie Sylwestrze, ja jestem już starszym panem, ale w moim pokoleniu, jak się zapraszało kobietę na kolację, to raczej łącznie ze śniadaniem. Dziś, jak patrzę na mojego syna, a niedługo też pewnie wnuka, to widzę, że dziś jest mniej poważne traktowanie tych damsko-męskich spraw.

Bo dzisiaj, jak pan na przywitaniu pocałuje kobietę w rękę, to ona może się obrazić...

O, wiem coś o tym. Ja, jak gdzieś wchodzę, wszystko jedno, do sklepu czy notariusza, i widzę kobietę, to staram się być dla niej szarmancki. Wie pan: „Dzień dobry, jak pani pięknie wygląda! Spodziewałem się, ale nie że aż tak pięknie! Troszkę

pani przesadziła...”. I wie pan co? One reagują albo śmiechem, albo oburzeniem. Niektóre biorą za telefon i prawie na policję dzwonią.

Pan zawsze był trochę jakby z innej epoki.

Ja to przejąłem od swoich mistrzów. Profesor Kazimierz Rudzki, wybitny erudyta, Ludwik Sempoliński, prof. Aleksander Bardini czy Stanisława Perzanowska, która wychowała Jaracza i Osterwę. No i mnie! Ale po co ja o tym panu mówię? Przecież dzisiejsi czytelnicy nie wiedzą, kto to był. Zanużają się...

Zdziwił się, że kiedyś aktor miał tylu nauczycieli. Bo dzisiaj młody człowiek, który chce robić karierę w show-biznesie, nie musi mieć mistrzów. Nie musi mieć nawet dykcji.

No właśnie...

Jak Bohdan Łazuka chciał zostać znanym aktorem, to co musiał zrobić?

Wie pan, ja całe życie chciałem przede wszystkim podobać kobietom. Dlatego poszedłem do szkoły muzycznej. Wyobraziłem sobie, że jak będę grał na saksofonie, to będę strasznie męski. Będę grał jakieś tam swingi, które zapewnią mi szalone powodzenie u pań. Tyle że nie trafiłem w dobry czas. Akurat wyzwolił nas przyjaciel ze wschodu, który oczekiwał, że do końca życia będziemy mu spłacać dług wdzięczności. I on saksofonu nie lubił, bo kojarzył mu się z kapitalizmem. Saksofon był więc wtedy skreślony z listy instrumentów w szkołach muzycznych. Wtedy zresztą dużo rzeczy było zakazanych: saksofon, Sinatra, guma do żucia, coca-cola, kolorowe skarpetki... Na szczęście miałem kolegę, Maniek Chyrzyński się nazywał, który był trębaczem. I on mi mówi: „Słuchaj, jest taki instrument, który się nazywa obój. Bardzo szlachetny, w każdej orkiestrze wręcz nieodzowny. Ma to samo krycie co saksofon, a studenci nie chcą na nim grać. Na obój na pewno cię przyjmą”.

Przyjęli?

Przyjęli. Mieszkałem w tym słynnym akademiku uczelni artystycznych przy Krakowskim Przedmieściu, vis-à-vis pomnika Adama Mickiewicza. A tam aktorzy, malarze, tancerze i muzycy, jednym słowem niespokojne dusze. I Maniek Kociniak mówi do mnie: „Co ty będziesz w tę rurkę tak dmuchał? Chodź do nas!”.

▲ *Bohdan Łazuka zawsze cieszył się powodzeniem u kobiet. Na poprzednie stronie: kadr z filmu „Motodrama” w reżyserii Andrzeja Konica (1971 r.)*

I wie pan co, panie Sylwestrze? Nie będę ukrywał, że polska muzyka na tym nie straciła.

Że poszedł pan do szkoły teatralnej?

Tym bardziej że w szkole, mając tak wybitnych profesorów, starałem się wszystko chłonąć. Tym bardziej że przyjechałem do Warszawy z Lublina, być może miałem jakiś kompleks prowincji. Chociaż z drugiej strony... Mietek Czechowicz, też z Lublina, nawet z tej samej ulicy. Wiesiu Michnikowski też z Lublina, widzi pan.

Lublin jest kulturotwórczy. Do dziś.

I do tego mówi się tam bardzo prawidłowo językiem polskim.

A pierwsza ważna rola?

Oj oj oj...! Ja się zawsze boję takich pytań! No dobrze, zaryzykuję: jeszcze zanim skończyłem szkołę teatralną, zagrałem w „Zemście”. Na wigilię Bożego Narodzenia w 1961 r. Partnerowałem Elżbiecie Czyżewskiej, która już nas niestety opuściła. Grałem Wacława. Ja widzę ten pana ironiczny uśmiech, proszę pana. Ale ja byłem wtedy ładny chłopak! Są panie, które mogą to zaświadczyć!

To była rola w Teatrze Telewizji.

U samego Hanuszkiewicza. Graliśmy w telewizji przy placu Powstańców, na żywo. Bo wtedy telewizja była na żywo. To była w sumie rozrywka, choć zupełnie inna niż to, co dziś się serwuje.

Jako młody aktor nie miał pan oporów, że to jest coś gorszego? Nie chciał pan Hamleta zagrać?

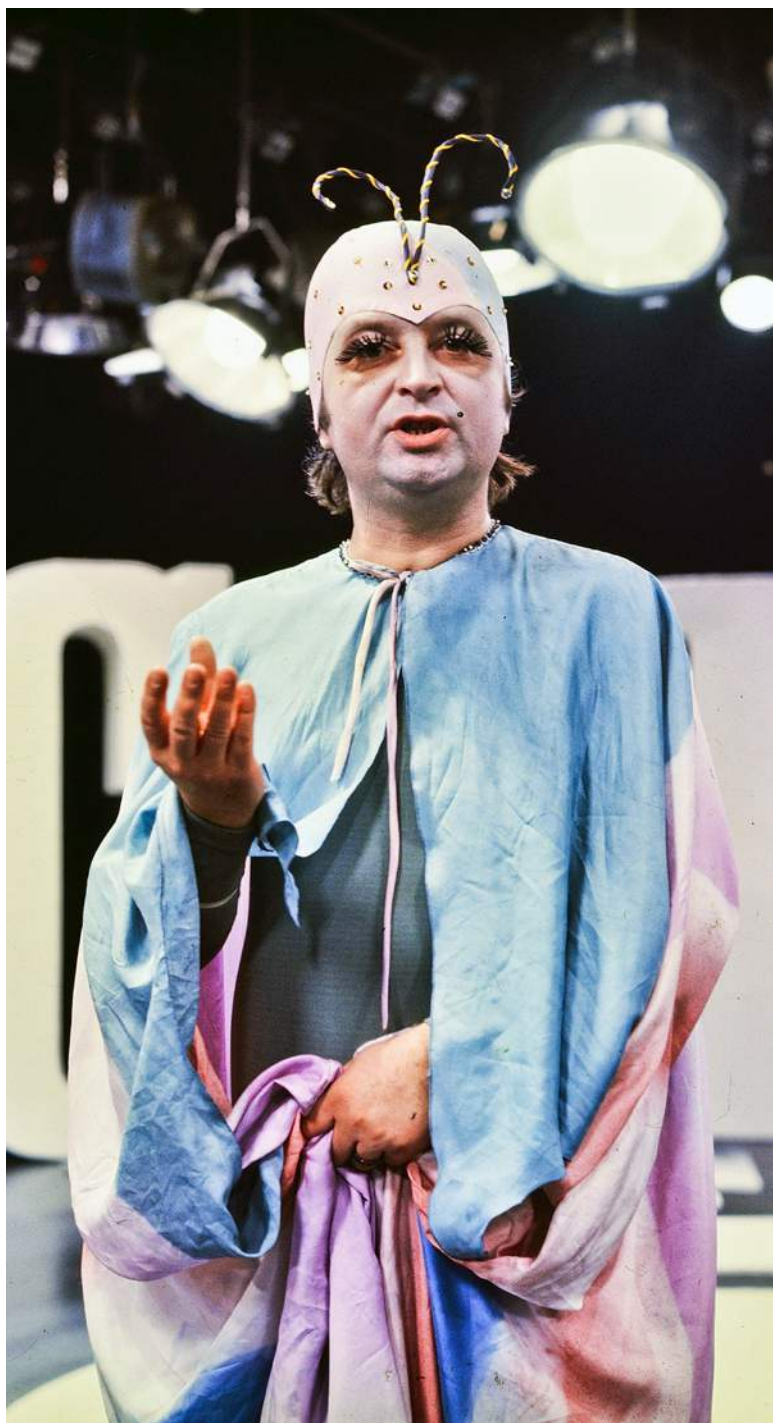
Wtedy nie było czegoś takiego, że aktor chciał, to grał. Ja do rozrywki byłem nominowany przez wspomnianych wcześniej wybitnych profesorów. W Sali Kongresowej w ciągu roku miałem 14 występów przy kompletach. Miałem przykazane przez mistrzów, żeby to zrobić. Wiedziałem, że muszę tych majstrów słuchać i tyle.

Bo wtedy szanowało się starszych aktorów.

Oj, panie Sylwestrze! Ja przed każdą próbą przychodziłem do teatru minimum godzinę wcześniej, bo się bałem, że ktoś ze starszych aktorów coś powie, a mnie to umknie. W moim teatrze mistrzowie nawet chodzili swoimi ścieżkami. Były na przykład dwie garderoby, nazywaliśmy to: aleja zaśluzonych i aleja zadłużonych.

Pan był...

> „Motylem jestem”
w reżyserii
Jerzego Gruzdy
(1976 r.)



**Ja widzę ten pana ironiczny uśmiech, proszę pana.
Ale ja byłem wtedy ładny chłopak! Są panie, które
mogą to zaświadczyć!**

...w zadłużonych, rzecz jasna. Z własnym lusterkiem przychodziłem do garderoby, bo przy teatralnych lustrach, takich normalnych, nie było dla mnie miejsca.

Dziś jest inaczej, wie pan o tym.

Wiem, wiem. Ja nawet na ten temat rozmawiałem z rektorem warszawskiej Akademii Teatralnej Andrzejem Strzeleckim. Ciągłe się upieram, że szkoła teatralna ma sens.

Bo ma.

Ale z drugiej strony, jaki? Mężczyzny tych aktorów Fredrą, Bałuckim, Zapolską, potem przechodzą na Moliера, Szekspira, że nie wspomnę o Gombrowiczu i Mrożku. A potem opuszczają szkołę i grają w reklamie, a jak im się poszczęści, to w serialu. To po co ich krępować wielką literaturą?

Tacy ludzie jak pan mogliby dużo młodych nauczyć.

A wie pan, że próbowałem. Nie wyszło. Nie o to chodzi, że nie rozumiem współczesnego teatru. Ja nawet jestem w stanie przyjąć, że teraz nawet jak Szekspira wystawiają, to genitalia muszą latać po scenie. Ja to jestem w stanie przyjąć, wie pan, tak naprawdę to nic nowego. Grotowski to już dawno wymyślił. Kiedyś opowiadałem młodzieży o kabarecie i piosence, tyle że oni nie byli tym specjalnie zainteresowani. Na koniec jeden podszedł do mnie i mówi: „Proszę pana, tak między nami, ile pan miesięcznie wyciągnie?”

Student akademii teatralnej?

Był na drugim roku. Odpowiedziałem mu: „A co, pan w izbie skarbowej pracuje czy w IPN?”. No bo co ja będę rozmawiał na takie tematy. Więc jak pan mnie pyta, jak jest ze współczesnym aktorstwem, to odpowiem panu tak, jak przed wojną jeden Żyd w rozmowie z drugim: „Co słychać, Moniek?”, „Dobrze”, „A w dwóch słowach?”, „Nie dobrze”.

Pan ma nostalgię za PRL?

Entuzjastą komuny nigdy nie byłem. Ale ta komuna, jeśli chodzi o mnie, ma do dziś w rękawie jednego asa. Ten as nazywa się młodość. Dzięki młodości zapomniało się o tym, co złe, po nocach się chodziło po tej Dziekance słynnej [akademik w Warszawie, gdzie mieszkali m.in. studenci szkoły aktorskiej – red.]. Stypendium na dwa dni starczało. I coś z nas, mimo wszystko, wyrosło.

Bohdan Łazuka

Wybitny aktor komediowy z zacięciem muzycznym, zagrał w ponad 60 filmach i serialach, od „Pan Anatol szuka miliona”, przez „Wojnę domową”, „Czterdziestolatka”, po „Świat według Kiepskich”. Występował w Kabarecie Starszych Panów (piosenka „Przeklnę cię”), kabaretach Olgi Lipińskiej, grał w warszawskich teatrach: Współczesny, Syrena, Kwadrat, Rozmaitości, Komedja

Piło się?

Odpowiem anegdotą. Znany aktor Aleksander Dzwonkowski mawiał zawsze: „Panie, przed wojną był taki reżyser, co obsadził sztukę samymi abstynentami. Byłem na tym i widziałem. Boże, takiej tragedii nikomu nie życzę!”.

Pan znowu jest niepoprawny politycznie, bo mówi pan, że alkohol jest ważny.

Stefan Kisielewski, co by nie mówić, wielki autorytet, powiedział mi kiedyś: „Wiesz co, Łazuczka, pić należy. Ale należy też robić pauzy”. Cała prawda.

W związkach z kobietami też pan robił pauzy. Panie Bohdanie, żeby była jasność, to nie jest zarzut, ja trzy żony miałem, mam troje dzieci, każde z inną kobietą. Pan jest lepszy, może się pochwalić czterema żonami. To więc nie zarzut, tylko pytanie: jak to jest, że nie można utrzymać jednego związku?

Jeżeli cztery kobiety dały mi się nabrać na Mendelssohna w pałacu ślubów, to chyba musi coś we mnie być. Inna sprawa, że człowiekowi zawsze się wydaje, że ten następny kwiatek będzie bardziej wonny.

Ale pan wrócił do swojej byłej żony.

Nigdy nie odchodziłem, to one odchodziły. Nie wiem, może myliły adresy? Człowiek był rozrzutny, po kilka mieszkań miał.

Typowy mężczyzna.

Typowy.

Trudnym człowiekiem był pan dla kobiet?

Oj, na forum publicznym wołałbym tego nie definiować.

Skromny pan nie jest...

Nie.

Można być skromnym, będąc artystą?

Odpada. Niezależnie od tego, czy to będzie kabaret, teatr, czy film. Odpada, panie Sylwestrze. Ja ciągle nie umiem być skromny, choć mam swoje lata. I cieszę się, że dziś rozmawialiśmy o karierze, a nie pytał pan, jak się czuję, jak moje zdrowie.

Teraz nawet jak Szekspira wystawiają, to genitalia muszą latać po scenie. Ja to jestem w stanie przyjąć, wie pan, tak naprawdę to nic nowego

Nie lubi pan takich pytań?

Nie że nie lubię, ale zawsze przypomina mi się taki głupawy kalambur z Czechowa: „Jak zdrowie?”, „Jak masło krowie!”. Bo wie pan, ja bym wołał, żebyśmy sobie mogli powiedzieć: „Gdzie dziś idziemy, Sylwek?! Jakie dziewczyny będą, jakie trunki?”. A nie: „Jak zdrowie?”.

Dlatego tak nie spytałem.

Bardzo to doceniam. I, jak mawiał Romek Polański, do zobaczenia na srebrnym ekranie! <

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Sylwester Latkowski - dziennikarz, reżyser dokumentalista, redaktor naczelny „Wprost” od 2013 do 2015 r.



Mowa miłości nie tylko na walentynki

W jaki sposób różnica zdań przeradza się w kłótnię małżeńską i jak z niej wybrnąć – pokazują na własnym przykładzie psycholog **Lucyna Kirwil** i językoznawca **Jerzy Bralczyk**, małżonkowie z wieloletnim stażem.



Czy państwa małżeństwo spełnia funkcję edukacyjną?

Lucyna Kirwil: Nawet o tym nie pomyśleliśmy...

Jerzy Bralczyk: W jakimś sensie wszystko pełni funkcję edukacyjną, także małżeństwo. Ale nasza książka „Pokochawszy” może być tak odbierana. Niektórzy czytelnicy mogą ją traktować jako opowieść z życia celebrytów...

L.K.: ...i żon celebrytów...

J.B.: ...a inni mogą ją uznać właściwie za poradnik czy podręcznik. Ale właściwie nie jest ona ani jednym, ani drugim – w każdym razie nie przede wszystkim. Jest raczej próbą wspólnej refleksji psychologa i językoznawcy nad funkcją języka w miłości, nad tym, jak miłość wyznajemy, jak o niej mówimy. Z odwołaniami do teorii naukowych, do literatury i filmu, a czasami do doświadczeń własnych, bo tego trudno uniknąć. Czytelnikom odpowiada też nasze poczucie humoru.

Zdradzają państwo jednak pewne intymne szczegóły, np., że żona ujęła pana swoim dźwięcznym „h”. Nawiasem mówiąc, pana uwadze nie uszło również przedniojęzykowo-zębowe „ł” przyszej teściowej.

J.B.: Bardzo piękne było, rzeczywiście. W ogóle lubię u żony jej głos i intonację, ale czy to szczegół intymny? Samo słowo „intymny” stało się dzisiaj raczej chwytem marketingowym, podobnie jak niektóre superlatywy czy hiperbole, takie jak „porażający” albo „fascynujący”. Kiedy używamy słowa „intymny”, kierujemy uwagę czytelnika na lekkie nieprzyzwoitości. A tego, o czym mówimy, nie trzeba ujawniać, to jest rzecz naturalna.

L.K.: Ale pani jest dyskretna. Uważa, że skoro powiedziałaś, co ciebie ujęło we mnie, to może to być intymne. Mnie się podoba takie podejście.

Pani jest doktorem psychologii, ale ma chyba mniej badawczy stosunek do męża?

L.K.: Trudno mieć taki stosunek do męża, bo gdybym zajęła się każdą sferą jego osobowości i inteligencji, mogłabym tomy napisać. Tak jest niezwykle. Ale jedną z jego zdolności ujawnię. Moim zdaniem mąż ma rzadki dar – pamięć podobną do wzrokowej, fotogra-

ficznej, ale ta jest typu słuchowego. Nawet po paru miesiącach pamięta i jest w stanie przytoczyć całe fragmenty z niewiele znaczącej rozmowy...

J.B.: Niechętnie widziałbym siebie jako człowieka, którego główną cechą jest powtarzanie po kimś. To tak, jakbym popętniał pewnego rodzaju nadużycie.

L.K.: Nadinterpretacja. Nie o to chodzi. Chciałam powiedzieć o rzadkiej zdolności, dzięki której łatwo zapamiętać nie tylko rzeczy wierszowane, rytmiczne, ale też cytować obszerne fragmenty prozy. Moim zdaniem dlatego mąż lubi mówić i rozmawiać.

J.B.: Pamięć jest ważną cechą, niewątpliwie, ale skłonni jesteśmy niżej oceniać tych, którzy odtwarzają coś z pamięci, jak na przykład Julien Sorel [bohater powieści „Czerwone i Czarne” Stendhala – red.], który znał Pismo Święte na pamięć. Cenię sobie umiejętność zapamiętywania, ale nie jest to coś, co bym kultywował albo chciał, żeby głównie temu przypisywano moje osiągnięcia.

Można się pokłócić serio o politykę, ale to nie zburzy małżeństwa. Wymiana zdań, upieranie się przy swoim - to wszystko jeszcze nie kłótnia

L.K.: Właśnie powiedziałam, że ta zdolność jest wyjątkowa, prawda?

J.B.: Nie zawsze chcemy powiedzieć to, co mówimy. Czasem prawdą jest to, co chcemy, a czasem prawdą to, co wychodzi. A wychodzi nam co innego.

Teraz rozumiem, dlaczego na pytanie, czy jest możliwa miłość bez kłótni, odpowiada pani w książce: „Na pewno jest możliwa, ale nie wiem, jak to się robi”. Myślę, że wielu czytelników z ulgą przyjęło to wyznanie.

J.B.: Przy małym zaangażowaniu emocjonalnym, przy dużej przewidywalności – które to stany wcale nie są najlepsze, bo niedobrze, kiedy jesteśmy w pełni przewidywalni i niedobrze, kiedy jesteśmy chłodni emocjonalnie – wtedy, rzecz jasna, jest możliwy związek bez kłótni. Czy ktoś się kłóci ze swoimi dalszymi znajomymi? No nie. Co innego z bliskimi, np. żona powiedziała coś z intencją pozytywną, a ja odebrałam to negatywnie. I już jest pewien rodzaj sporu. Albo ja mówię coś miłego, a żona reaguje niesymetrycznie, czyli kłótnia bierze się z braku oczekiwanej symetrii, co ty na to?

L.K.: Moim zdaniem kłótnię wywołuje naruszenie czyjejs samooceny, jego wizerunku samego siebie, poczucia własnej wartości. W pewnym sensie jest to niezgodność z oczekiwaniami, ale dotyczy ona głównie naruszenia oczekiwań odnoszących się do własnego „ja”. Można się pokłócić serio o politykę, ale to nie zburzy nam małżeństwa. Wymiana zdań, upieranie się przy swoim – to wszystko jeszcze nie jest kłótnią. Pojawia się ona, kiedy człowiek się zapiera i koniecznie chce z jednej strony postawić na swoim, a z drugiej udowodnić partnerowi, że ma on mylne poglądy, mniej wie na dany temat, do czegoś się nie nadaje. To sprawia partnerowi przykrość.

Kłótnia zaczyna się dopiero wtedy, kiedy te wywołane sporem negatywne emocje coraz szybciej przybierają na sile i, powiedziałabym, kiedy rosnące napięcie emocjonalne coraz bardziej ujawnia się w wypowiedziach i zachowaniu.

J.B.: Często jest więc chyba to, że człowiek czuje się niedoceniony, nieuwzględniony, zlekceważony. Chodzi mu o to, żeby nie być traktowanym gorzej.

L.K.: Ale spór przeradza się w kłótnię nie tylko dlatego, że traktujemy partnera gorzej. Też dlatego, że chcemy w sporze zwyciężyć. Z reguły jest tak, że w odpowiedzi na negatywny argument pojawia się argument jeszcze bardziej negatywny, kierowany w stronę partnera. Dynamika tego sporu jest duża.

Zrozumienie procesów oraz mechanizmów językowych kłótni wcale przed nią nie chroni?

J.B.: Nawet o kłótnię możemy się pokłócić.

L.K.: Jak pani widzi, mamy na ten temat odmienne zdania. Ja, specjalistka od kłótni, mówię, że istnieje coś takiego, jak spirala agresji w języku, a mój mąż mówi, że nie, przyczyna jest inna.

J.B.: A nie, niczego takiego nie powiedziałem.

Ludzie nie zawsze zadają takie pytania, na które odpowiedzi ich interesują, ale takie, które dają im możliwość zaistnienia

To może cytata na zgodę: „W miłości co jakiś czas trzeba powiedzieć, że się kocha” – to pana słowa. Czy walentynki to dobra okazja do tego?

J.B.: Niezupełnie, bo najlepiej, gdyby to wynikało z potrzeby wewnętrznej, a nie zewnętrznej.

L.K.: Ale proszę sobie wyobrazić nieśmiałego chłopca, który w okresie dorastania wstydi się swoich kolegów, rodziców, samego siebie. Postanawia podrzucić serduszek tej, którą sobie wybrał. To jedyna okazja.

J.B.: Bardzo ważne dla mnie jest to, że kiedy mówię o swoich emocjach, to mówię w znacznej mierze do siebie. Sam chcę to usłyszeć, sam chcę się w tym utwierdzić, sam uznać, że tak właśnie jest. Widzę w świecie wyrażanym bardzo wiele realności. Nawet jeżeli coś nie ma potwierdzenia w faktach, to jeżeli to zostało nazwane i opisane, jestem skłonny temu przypisać pewien rodzaj istnienia.

Czy wieloletni staż małżeński sprawia, że na spotkaniach czytelnicy dopytują o receptę na trwałe związki?

L.K.: Pytania jak pytania, ale komentarze i reakcje publiczności są czasem rozczulające. Na przykład przychodzą pary i mówią: „Państwo piszą, że od trzydziestu paru lat są w rozmowie, a my już od 45”. Była para, która od 60 lat jest razem, bo od szkoły podstawowej. Było też znakomite spotkanie, na którym jedna z par ze wzruszeniem zacytowała, że serce nie ma zmarszczek i cieszy ją, że o tym w książce nie zapominamy.

J.B.: Ludzie nie zawsze zadają takie pytania, na które odpowiedzi ich interesują, ale takie, które dają im możliwość zaistnienia. To pytania najprostsze, które – nie da się tego

ukryć – stawiają też czasem dziennikarce. Jak się państwo poznali? Albo: czy nie nudzą się państwo ze sobą? Kto częściej mówi „kocham cię”?

Nie mam tych pytań na liście.

J.B.: O, jak dobrze, jak dobrze.

L.K.: Często, nie zawsze zadane w taki sposób, jak teraz powiem, ale sprowadzające się do tego pytanie, to: „Jak przetrwać”? Przedstawiliśmy się w książce jako burzliwe małżeństwo.

J.B.: Zresztą była już pani tego świadkiem.

L.K.: I w związku z tym powstaje inne pytanie: jeżeli są kłótnie, to jak sobie państwo z tym radzą? Jak dochodzicie do porozumienia? Czy mąż mówi pani komplementy?

J.B.: Albo: kto częściej mówi komplementy?

A kto częściej mówi komplementy?

L.K.: Mąż oczywiście.

J.B.: Jak żona mówi komplement, to tego rodzaju, jak na początku rozmowy...

L.K.: Przepraszam, ale muszę to powiedzieć. Mąż na samym początku znajomości, gdy jeszcze nie było wiadomo, czy z tej maki będzie chleb, zabronił mi chwalić siebie.

Ale ten zakaz był przewrotny, bo z lektury książki wynika, że gdy tylko stawiał pan na swoim, to z miejsca zaczął pragnąć tego, czego wcześniej zabraniał.

J.B.: Śluszne spostrzeżenie. Chwalenie jest ujawnianiem tego, że myślisz o możliwości czegoś innego. Na przykład jeśli student na seminarium mówi mi, że mam rację, to odbieram to z niepokojem. To tak, jakbym słyszał: o, idzie pan równo. Gdybym się potykał co chwilę, to wtedy takie równe chodzenie byłoby wyjątkowe i warte odnotowania. Natomiast nie jest warte odnotowania, że miałem rację i tego rodzaju pochwały, zwłaszcza kiedy zrobiłem dobrze coś, co wszyscy inni też dobrze robią, nie cieszą. Jeżeli to by było coś oryginalnego, a nie np. ta wątpliwa pochwała, jaką żona wygłosiła...

Trudno pana pochwalić.

L.K.: Bardzo trudno.

J.B.: Nie, bardzo prosto. Tylko że w tej dziedzinie, którą uprawiam, odtworczość jest podejrzana. To jest przyczyna

nieświadomych plagiatów i bycia raczej naśladowcą. Nie lubiłbym być naśladowcą, ale może taki jestem.

L.K.: Proszę zaznaczyć, że bez prze-rwy kręcę głową na te wywody.

J.B.: Owszem, lubimy być chwaleni za rzeczy, na które nie zasługujemy czy też na które nie zapracowaliśmy, np. za urodę albo za talent, ale też czasami wolimy być chwaleni za pewne umiejętności, które się lokują w innym przedziale. Cały czas próbuję wrócić do tego, co jest tematem naszej rozmowy. Czyli jak miłość w języku może pomagać, sprawiać, że lepiej wyrażamy siebie, a dzięki temu lepiej kochamy. Pamiętam, że wpadłem na to, kiedy pisałem esej o Kapuścińskim i zauważyłem m.in., że on poznawał świat poprzez jego opisywanie. Bo język służy nazywaniu, opisywaniu i opowiadaniu. I tak jest też z miłością, że kiedy czegoś doznaję, to chciałbym to opowiedzieć. Rano, kiedy jem śniadanie, żona często opowiada mi film, jaki widziała.

L.K.: Od czasu, kiedy wydaliśmy książkę, nie mam czasu na filmy. Ty jesz śniadania z Emmą Bovary albo Anną Kareniną, a ja jeszcze śpię.

Czy są słowa alergeny, od których można dostać w związku wysypki?

J.B.: Wysypka to chyba przesada.

L.K.: W psychologii nazywamy je słowami kluczami, czyli takimi słowami, które nabrały znaczenia emocyjnego w indywidualnym doświadczeniu człowieka. Na słowo klucz reaguje się od razu silną emocją. Słowo, które wywołuje niepokój, lęk, wstręt, złość, może wywołać nawet furię u drugiej osoby. Ale słowo klucz może też rozbroić rozmaite napięcia, doprowadzić do tego, że druga osoba zrezygnuje z jakiejś reakcji, bo zrobi jej się miło. Może też być tak, że różne napięcia się zsumują, co spowoduje reakcję nieporównywalnie silniejszą w zestawieniu z siłą bodźca. Jedna uszczypliwa uwaga, druga, wreszcie pada coś zupełnie neutralnego, ale ktoś wybucha. W długotrwałym związku każda ze stron wie, jakich słów użyć, żeby tę drugą wprowadzić z równowagi. Każda strona też wie, jakich słów użyć, żeby tę drugą udobruchać, zadowolić, dać jej przyjemność. Mąż się bronił przed tym, by przyznać, że pamięć ma takie duże znaczenie, bo myślał pewnie o pamięci mechanicznej.



Dr Lucyna Kirwil

Psycholog ze specjalizacją w zakresie psychologii mediów, badaczka agresji. Zajmowała się także oddziaływaniem internetu na dzieci. Przez wiele lat wykładała w Szkole Wyższej Psychologii Społecznej. Prywatnie żona Jerzego Bralczyka.

Prof. Jerzy Bralczyk

Wybitny językoznawca, autor książek na temat języka polskiego, wykładowca uniwersytecki. Pochodzi z Ciechanowa. Od lat popularyzuje poprawną polszczyznę w audycjach, programach i felietonach. Specjalizuje się w języku polityki, reklamy, prawa. Wiceprzewodniczący Rady Języka Polskiego. Od ponad 30 lat mąż Lucyny Kirwil.

J.B.: No tak, tak. Jeśli chodzi o cytowanie, to chodzi o pamięć mechaniczną niewątpliwie.

L.K.: Ja natomiast chciałam powiedzieć, że co innego jest nauczyć się na pamięć i wyklepać, a co innego umieć wydobyć z pamięci zarejestrowane, uporządkowane frazy.

J.B.: Dziękuję, kochanie, traktuję to jako wyjście do przodu, żeby się wreszcie spotkać.

Jak wyjdę, to państwo się spotkają?

J.B.: Nie wiem, jeszcze będziemy musieli poważnie porozmawiać.

Czy zdarzyło się panu kiedykolwiek zapomnieć języka w ustach?

J.B.: O tak, i to nawet przy żonie.

To komplement?

J.B.: Zdecydowanie. Przecież bardzo często teksty, które się wygłasza w sytuacjach emocjonalnych, nie wymagają riposty. Chodzi o reakcję, i tą reakcją, którą ludzie cenią sobie, jest np. przytulenie się, uśmiech, pogłaskanie. Nie wiem, co ty myślisz o tym?

L.K.: Nie pamiętam sytuacji, żeby zdarzyło ci się zapomnieć języka.

Lubimy być chwaleni za rzeczy, na które nie zasługujemy czy też na które nie zapracowaliśmy, na przykład za urodę albo za talent

J.B.: Ja u ciebie tego też nie pamiętam. Dodam, że żona jest niezwykle sprawna językowo, co też jest jednym z elementów naszej bliskości. I ma niezwykle miły głos. Czasem zdarza mi się nawet do niej dzwonić, wiedząc, że nie odbierze. Tylko po to, żeby posłuchać jej głosu z sekretarki. <

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Małgorzata Fiejdasz-Kaczyńska - szefowa działu Społeczeństwo